

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/211

1965



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

D. BELL : **NOWOCZESNOŚĆ
I SPOŁECZEŃSTWO MASOWE**

W. A. ZBYSZEWSKI :
PRZYSZŁOŚĆ EMIGRACJI W ANGLII

J. MIEROSZEWSKI :
KOMUNIZM - NACJONALIZM - AFRO-AZJA
OBSERWATOR : **HISTORYCY SOWIECCY**

SPIS RZECZY

Daniel Bell:	<i>Nowoczesność i społeczeństwo masowe</i>	3
W.A. Zbyszewski:	<i>Przyszłość emigracji w Anglii</i>	26
Jan Darowski:	<i>Wulkan północy</i>	47
D.H. Lawrence:	<i>Kolibr</i>	54
" "	<i>Jaki wstrętny ten burzuj jest</i>	55
" "	<i>Dajcie nam bogów</i>	56
Adam Czerniawski:	<i>Albowiem</i>	58
Halina Korn:	<i>Wakacje kończą się we wrześniu ..</i>	61

WIERSZE

Kazimierz Wierzyński:	<i>Dyrygent</i>	71
" "	<i>Dialog przy fajce</i>	72
" "	<i>Końskie kolana</i>	72
" "	<i>Imiona</i>	73
" "	<i>Gniew</i>	73
Czesław Miłosz:	<i>Antypody</i>	75
" "	<i>Po drugiej stronie</i>	76
" "	<i>Sentencja</i>	77
" "	<i>Dytyramb</i>	77

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Komunizm — Nacjonalizm — Afro-</i>	
	<i>Azja</i>	78
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	86
S.W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	93

WOLNA TRYBUNA

A.J. Chilecki:	<i>Ewolucja w kierunku dyktatury</i>	
	<i>oświeconej</i>	95

SPRAWY I TROSKI

Witold Kuss, sen.:	<i>Polacy w Argentynie (dok.)</i>	99
--------------------	---	----

SĄSIEDZI

Andrzej Vincenz:	<i>Nowa literatura na Ukrainie</i>	106
Obserwator:	<i>Historycy sowieccy</i>	122

KRONIKA KULTURALNA

(m. l. d.):	<i>W oczach Londynu (dok.)</i>	129
—	<i>Komunikaty</i>	133

KSIAŻKI

Z.S. Siemaszko:	<i>List do Jana Huszczy</i>	134
Bogdan Czaykowski:	<i>Współczesna myśl polityczna</i>	144
Michał Chmielowiec:	<i>Krotochwilna egzegeza</i>	151
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	153



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	155
--------------	----------------------------	-----



W. Ledóchowski, Rada Organi-		
zacji Polskich w stanie Victoria,		
J. Ulatowski, I. Wieniewski:	<i>Listy do Redakcji</i>	156

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1965

INSTYTUT



LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dr. Dr S.N. Korzeniowski, Ladd., Ill. (USA) po raz trzynasty ..	73,50 F
Mieczysław Zarzycki, Berlin	21,60 „

DZIĘKUJEMY

Nowoczesność i społeczeństwo masowe

Drukowany poniżej esej — który w skróconej wersji wchodzi w skład książki pt.: „Drogi myśli amerykańskiej”, wydanej przez Artura M. Schlesingera, Jr. i Mortona White’a — jest streszczeniem części obszernej pracy pt. „Zanik dystansu”, poświęconej związkom pomiędzy strukturą społeczną a nowoczesną kulturą.

W każdej epoce powstają słowa, czasem zupełnie nowe, czasem stare, ale o zmienionym znaczeniu. Wprowadzone do dorobku kulturalnego, określają one odrębny charakter danych czasów. W chwili obecnej takim charakterystycznym, coraz częściej spotykanym terminem jest: *społeczeństwo masowe*¹. Używa się go różnie: raz, żeby podkreślić bezwład życia i jego zmechanizowanie, to znów żeby uwydatnić upadek kryteriów ocen i td. Różne światopoglądy, czy to arystokratyczne czy radykalne nadają mu odmienne znaczenia, dzięki czemu, mimo iż w założeniu jest opisowy, zrół się on z całym zespołem sądów i uczuć dotyczących współczesnego społeczeństwa². Jest rzeczą jasną, że nasza cywilizacja różni się bardzo od wszystkich poprzednich — ludowych, tradycyjnych, arystokratycznych, klasowych czy organicznych — przez to, że wprowadza imponującą liczbę ludzi na rynek publiczny — rynek towarowy, kultury, idei, decyzji politycznych. Jeżeli chcemy aby termin *społeczeństwo masowe* był użyteczny, a mam wrażenie, że może być

1. Inne typowe słowa naszych czasów: *kultura* z dwoma wariantami, *ludowa* i *masowa*; biurokratyzacja; alienacja.

2. Dla zapoznania się z różnorodnymi sposobami używania tego pojęcia patrz „Teoria o masowym społeczeństwie” w książce Daniel Bell, *The End of Ideology* (Glencoe, Illinois, 1960), a także William Kornhauser *The Politics of Mass Society* (Glencoe, Illinois, 1959) i Leon Bramson, *The Political Context of Sociology* (Princeton, 1961).

użyteczny, należy posługiwać się nim tak, żeby wolny od wszelkich powiązań politycznych, mógł scharakteryzować ową historyczną odmiennność naszej epoki.

I. WIELKIE SPOŁECZEŃSTWO

Kto kogo zna

Przypomnijmy sobie uderzający fakt, że w roku 1789, to znaczy w chwili gdy George Washington obejmował stanowisko pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych (właśnie ratyfikowano wówczas konstytucję, która kieruje dzisiaj naszym życiem) we wszystkich trzynastu stanach mieszkało niecałe cztery miliony osób, w tym 750 tysięcy Murzynów, którzy nie mogli wchodzić w rachubę. Była to ludność młoda, jej przeciętny wiek wynosił 16 lat i zaledwie 816 tysięcy mężczyzn przekraczało tę średnią wieku. Stosunkowo mało osób mieszkało w miastach. Stolica kraju, Nowy York, liczyła 33 tysiące mieszkańców.

Dzisiaj Stany Zjednoczone mają 180 milionów mieszkańców. Przeciętny wiek wynosi ponad 30 lat, a 130 milionów osób przekroczyło 14 lat. Około 40 milionów osób mieszka na wsi, lecz tylko połowa z nich posiada własne gospodarstwa rolne. Ponad 100 milionów Amerykanów żyje w ośrodkach miejskich (to znaczy w okręgach, w których znajduje się co najmniej jedno miasto liczące 50 tysięcy mieszkańców). Jeżeli zdamy sobie sprawę z liczby osób, które dzisiaj każdy zna, co więcej, z liczby tych, które zna pośrednio, wówczas uświadomimy sobie ogrom zmian jakie zaszły.

Na skutek mnożenia się kontaktów między jednostkami, zwiększonej możliwości poruszania się i dezintegracji grup narodowościowych i regionalnych, w Ameryce ostatnich czasów powstało, może po raz pierwszy prawdziwe *społeczeństwo narodowe*³.

Ameryka jednak dysponuje tylko nielicznymi naprawdę *narodowymi instytucjami*. W słynnej książce poświęconej życiu Hawthorne'a, napisanej w 1879 roku, Henry James zdumiewał się nad

3. Čwierć wieku temu Mencken stwierdził, że jednym z elementów który ułatwił powstanie społeczeństwa narodowego, jest fakt, że język „angielsko-amerykański” posiada właściwości gąbki; gardzi on precedensami gramatycznymi i syntaktycznymi, ma zdolność do zapożyczania i tworzenia nowych słów i jest jednolity na przestrzeni całego państwa. Mencken utrzymuje, że nie znajdziemy większego narodu, łącznie z Anglią, w którym język byłby do tego stopnia mową dla całego kraju. W Stanach Zjednoczonych istnieją co prawda pewne regionalne osobliwości, lecz są one znacznie mniej liczne i wyraźne niż na przykład różnice między włoskim mówionym na Sycylii i w Mediolanie, lub między niemieckim używanym w Berlinie i w Wiedniu. H.L. Mencken, *The American Language* (New York, 1940).

brakiem więzi społecznej w Stanach Zjednoczonych w tamtej epoce; nie było wtedy arystokracji, ani środowiska literackiego, ani sportowego, nie było wielkich uniwersytetów i trudno nawet powiedzieć, że istniało pojęcie narodu amerykańskiego. Kiedy James postanowił osiedlić się w Anglii jako uchodźca, utrzymywał, że za jego czasów sytuacja poprawiła się tylko nieznacznie.

James opisywał Amerykę w połowie dziewiętnastego wieku. W sto lat później więzy które tworzą instytucje, są nadal wątki — nie ma kościoła (tylko kilku teologów), nie ma środowiska prawników (są tylko prawnicy), nie ma społeczeństwa (tylko osobistości). Istnieje narodowy system partyjny, ale kilka zaledwie czołowych postaci narodowych. Jest rozwijające się środowisko intelektualne przy wielkich uniwersytetach (Harvard, Columbia, Chicago, Berkeley); jest elita kierująca, którą łączy raczej wspólna ideologia, niż więzy osobiste i znajomości; istnieją mniejsze grupy narodowe uczonych, wojskowych, dziennikarzy i td. Wszystko to jednak nie tworzy zwartej całości, która nadawałaby społeczeństwu amerykańskiemu wyraźnie określony charakter.

Poza kilku narodowymi „bohaterami” politycznymi, jak Roosevelt, Eisenhower czy Kennedy, czynnikiem, który związał wewnętrznie to wyłaniające się społeczeństwo narodowe, była kultura masowa. Rozwój filmu, radia i telewizji oraz fakt, że na przestrzeni całego kraju te same tygodniki są rozprowadzane tego samego dnia dzięki równoczesnemu drukowaniu ich w różnych miastach, sprawiły, że po raz pierwszy w historii powstał zespół obrazów, idei i rozrywek, które ofiarowuje się jednocześnie całemu społeczeństwu. Ponieważ nie ma określonych instytucji narodowych i środowiska o świadomości narodowej, społeczeństwo zespala ją wewnętrznie środki masowego oddziaływania. Zjawisko to osiągnęło takie rozmiary, że stało się rewolucją społeczną; jej pamiętną datą może być wieczór 7 marca 1955 roku, kiedy co drugi Amerykanin oglądał na ekranach telewizyjnych Mary Martin występującą w sztuce „Peter Pan”. Nigdy przedtem w historii tak wielu ludzi naraz nie słyszało i nie widziało tej samej osoby⁴. Ludzie ci byli tym, co Adam Smith nazwał Wielkim Społeczeństwem, ale było ono „wielkie” w stopniu, w jakim nie mógł on sobie tego wyobrazić.

Równość masy

Ideał równości, walka o prawa polityczne, ekonomiczne i społeczne, której najbardziej widocznym wyrazem były w dziewiętnastym wieku hasła dotyczące głosowania powszechnego i jednakowych praw do awansu, oraz fakt, że masy nie zgadzają

4. Leo Bogart, *The Age of Television* (New York, 1958) 1.

się na to, aby „wykluczano” je ze społeczeństwa, wszystko to staje się cechą charakterystyczną społeczeństwa masowego. Styl życia, prawa, normy wartości, pragnienia, dostęp do przywilejów, kultura, która była niegdyś wyłączną własnością elity, stają się udziałem wszystkich. W *demokratycznym* społeczeństwie masowym przynależność do tego społeczeństwa oznacza, że nie tylko korzysta się z dobrodziejstw, których ono dostarcza, ale, że ma się także prawo i możliwość wyboru; wyboru prawodawców, własnego zawodu czy zajęć, wyboru miejsca pobytu, przyjaciół, rzeczy, które pragnie się kupić; jednym słowem oznacza to, że posiada się prawo formułowania i wypowiedzania sądów we wszystkich dziedzinach życia, począwszy od polityki a skończywszy na sztuce.

Stało się to możliwe dzięki rozwojowi masowej produkcji i masowej konsumpcji oraz dzięki wynikłemu stąd zrównaniu różnych stylów życia. Od 1920 roku różnice między bogatym a biednym albo uległy zmianie, albo zaczęto pomijać je milczeniem; wielkie posiadłości skurczyły się, i nie urodzenie, ale sława zaczęła dawać pozycję towarzyską. Odmienny sposób ubierania się czy podróżowania zanikł prawie całkowicie. Istnieją co prawda różnice, lecz dotyczą one raczej stopnia, niż rodzaju, raczej ilości niż jakości.

Przeobrażenia jakie zaszły w sile roboczej były w dużej mierze przyczyną wielu zmian, które spowodowały powstanie społeczeństwa narodowego i masowej kultury.

W Stanach Zjednoczonych jeszcze w 1910 roku większość Amerykanów mieszkała na wsi, a ponad jedna trzecia ludności posiadała gospodarstwa rolne. W 1950 mniej niż jedna trzecia ludności mieszkała na wsi, i tylko piętnaście procent posiadało gospodarstwa rolne. Równie istotny był przeskok w składzie etnicznym sił roboczych zatrudnionych w przemyśle: czarni zastąpili białych, obywatele amerykańscy — cudzoziemców. W 1895 roku na przykład prawie połowa mieszkańców takich miast jak Nowy York czy Chicago mówiła źle po angielsku, lub nie mówiła wcale. W latach między 1900 a 1914 pracę fizyczną w przemyśle wykonywali prawie wyłącznie emigranci. Trzymali się oni uparcie własnej kultury i instytucji które stworzyli — pism, organizacji, kościołów; poza tym fakt, że skupiali się oni, jak w gettach, we własnych okręgach miasta, przyczyniał się do uwytłótniania odrębności językowych. W latach trzydziestych odrębność ta zaczęła zniknąć. Świeżo przybyli ze wsi Murzyni, którzy byli źródłem taniej siły roboczej, zastąpili emigrantów w wykonywaniu ciężkich prac w przemyśle; koło roku 1950 stanowili oni czwartą część niewykwalifikowanych i półwykwalifikowanych robotników oraz pracowników domowych. A społeczeństwo zasymilowało pod względem kulturalnym pierwsze pokolenie dzieci emigrantów.

Zmiana w kierunku ekonomii konsumpcyjnej wiąże się ściśle ze stosunkowo świeżą emancypacją kobiet. Koło roku 1910

wzrastające zapotrzebowanie na pracownice — stenotypistki, maszynistki, czy urzędniczek biurowe — dało zatrudnienie wielu samotnym kobietom w urzędach. Druga wojna światowa przyniosła nową zmianę: w klasie osób pracujących zawodowo znalazły się i mężatki. Praca kobiet zamężnych w przemyśle, przynosząca w wielu wypadkach podwojenie dochodów rodzinnych, doprowadziła do zwiększenia zapotrzebowania na trwałe dobra materialne, takie jak domy, samochody, telewizory i inne przedmioty luksusowe; zbyt ich stanowi podstawową cechę charakterystyczną rynku towarowego lat 1950-tych.

Może najbardziej doniosłym przeobrażeniem było ogólne „podniesienie poziomu” w kategorii pracy, co wyraziło się głównie zmianą proporcji liczby pracowników umysłowych i fizycznych.

W 1900 roku zaledwie piętnaście procent Amerykanów pracowało umysłowo (większość z nich stanowili mali, niezależni przedsiębiorcy). W 1940 procent ten podniósł się do dwudziestu pięciu (głównie na skutek zatrudnień w aparacie administracyjnym). Oblicza się, że w roku 1970 czterdzieści procent męskiej siły roboczej, czyli około dwudziestu milionów mężczyzn będzie pracowało umysłowo; wśród nich czternaście milionów zajmować będzie stanowiska kierownicze, administracyjne, techniczne i zawodowe; oni właśnie są jądrem wyższej klasy średniej w Stanach Zjednoczonych⁵.

Te zmiany w strukturze siły roboczej są oczywiście wynikiem poprawy sytuacji w szkolnictwie; w 1890 roku zaledwie siedmiu chłopców na stu w wieku 14 do 17 lat uczęszczało do szkół; w 1940 siedemdziesięciu trzech chłopców na stu w tym samym wieku uczyło się w szkołach; koło roku 1960 dziewięćdziesięciu na stu młodych ludzi uczęszczało do szkół średnich. Ten rozwój szkolnictwa jest imponujący jeżeli porównamy go z innymi krajami. W 1960 około 16 i pół miliona Amerykanów uczyło się w szkołach średnich co najmniej przez rok. A w 1970 ta liczba podniesie się do 22 milionów, przy czym 10 milionów ukończy wyższe studia.

W związku z szybko rozwijającym się procesem „podniesienia poziomu” powstaje problem kto staje się wyrocznią w dziedzinie upodobań i wzorem „kultury”. Niewątpliwie niewiele społeczeństw umie przystosować się do szybkich zmian. Istniejące instytucje — kościoły, system wychowawczy czy rodzi-

5. Przeobrażenia te przesłaniają inną ważną przemianę społeczną, a mianowicie stopień, w jakim społeczeństwo klasowe w Stanach Zjednoczonych staje się społeczeństwem „kolorowym”. Mimo, że Murzyni stanowią dzisiaj około dziesięciu procent siły roboczej, reprezentują oni 25 procent robotników niewykwalifikowanych oraz służby i pracowników domowych. Zasadnicze podniesienie poziomu w kategorii pracy mężczyzn dotyczy głównie białych i odbywa się kosztem Murzynów, których procent wśród niewykwalifikowanych i pół-wykwalifikowanych robotników będzie ciągle wzrastał.

na — są z natury konserwatywne i zwykle sięgają do wzorów z przeszłości. Natomiast społeczeństwo ulegające gwałtownym przeobrażeniom wprowadza nieunikniony chaos w dotychczasowe zwyczaje dotyczące postępowania, upodobań i strojów. W rezultacie jednostka pozbawiona tradycji społecznej nie dysponuje gotowymi receptami na zdobycie wiedzy „co należy robić aby żyć lepiej”. Społeczeństwo wiktoriańskie i po-wiktoriańskie uczyło „dobrych manier” pnącą się ku górze klasę średnią i wydawało książki o sposobie zachowania się przy stole, o etykiecie i t.d. Dzisiaj funkcje te spełniają środki masowego oddziaływania: wzorów postępowania dostarczają filmy, telewizja i reklamy. Środki te nie tylko budzą potrzeby, co było od początku zadaniem reklamy, lecz odgrywają dużo bardziej subtelny rolę w zakresie obyczajów. Przyczyniają się one do „podniesienia poziomu” upodobań, a potem szereg wyspecjalizowanych ośrodków bierze w swą władzę spragnioną kultury publiczność. Ci nowi „twórcy upodobań” — tygodniki dla kobiet, pisma poświęcone sprawom domu i jego wnętrza, pseudo-wyrafinowane periodyki jak *The New Yorker* czy *Esquire*, wreszcie takie instytucje jak Muzeum Sztuki Nowoczesnej — uczą ludzi sposobu ubierania się, meblowania mieszkań, kryteriów ocen, smaku w sztuce, wskazują jakie wina należy sprowadzać i jakie sery kupować; jednym słowem uczą stylu życia dostosowanego do sytuacji nowo-powstałej klasy średniej.

Mimo, że zmiany te wywierają początkowo powierzchowny tylko wpływ na styl życia — na sposób postępowania, stroje, upodobania, rodzaj wyżywienia i zwyczaje w rozrywkach — to jednak, prędzej czy później zaczynają one docierać do bardziej podstawowych, moralnych nawet, elementów: do struktury autorytetu w rodzinie i do ogólnych wartości, na których opiera się społeczeństwo. Żądza kultury staje się obecnie podstawą kultury, która była niegdyś „nadbudową” społeczeństwa, stworzoną na zasadzie wzorów dostarczanych przez pracę, rodzinę i życie religijne; rozpęd i gatunek tej żądzy nadają kształt innym dziedzinom życia.

A jednak tę nową kulturę masową, ludową, kulturę średniej klasy częściej oskarża się niż broni. W latach jej rozkwitu, to znaczy w ostatnim dziesięcioleciu, głosy krytyczne pod jej adresem wzrosły na sile. Na czym jednak polegają te oskarżenia?

II. OSKARŻENIE MASY

Od polityki do kultury

Jedną z cech charakterystycznych życia kulturalnego w latach 1950-tych było zaniepokojenie wywołane skutkami kultury masowej. Składało się na to wiele przyczyn, A jedną z nich był

nieprawdopodobnie szybki rozwój telewizji. Przedsiębiorstwo Nielson, organizacja zajmująca się badaniem zagadnień handlowych i określeniem stopnia zainteresowania klientów przemysłowej, stwierdziło w 1958 roku, że przeciętna rodzina amerykańska ogląda telewizję pięć godzin dziennie, a w styczniu, miesiącu zimnym, sześć godzin. Fakt, że telewizja tak wiele czasu poświęca z jednej strony płaskim i działającym nasennie komediom, a z drugiej stereotypowym filmom, gdzie stykamy się ze scenami przemocy i gwałtu, jak np. w westernach z cow-boyami czy też w walkach gangsterów w wielkich miastach, wywołał poważny niepokój, że upodobania narodowe ulegną nieodwołalnie deprawacji.

Drugą przyczyną będącą źródłem ogólnej troski związanej z masową kulturą, przyczyną bardziej nieuchwytną w swych skutkach, lecz mającą większe znaczenie społeczne, były zmiany jakie spowodowała druga wojna światowa w stosunkach Ameryki z resztą świata, a w szczególności z Europą. Po raz pierwszy Ameryka wysuwała, wprowadzie niezręcznie i nieśmiało, żądanie objęcia moralnego kierownictwa nad światem. Stany Zjednoczone były nie tylko największą potęgą militarną, lecz chlubiły się także pewnymi osiągnięciami — najwyższym poziomem życia, masową konsumpcją przedmiotów zbytku, brakiem konfliktów klasowych, dobrze działającym systemem rządów demokratycznych; utrzymywano, że osiągnięcia te są niepowtarzalne, gdyż złożyły się na nie historia i narodowe cechy Amerykanów, ale jednocześnie uważano, że reszta świata winna dążyć do ich zrealizowania.

W rezultacie, w Europie zaczęła rosnąć obawa, szczególnie wśród inteligencji, że dojdzie do „zamerykanizowania Europy” i w konsekwencji bądź do upadku kryteriów kulturalnych, bądź do rozbicia jedności kulturalnej. Amerykański brak zaufania do własnej przeszłości i teraźniejszości oraz dążenie europejskich intelektualistów do dokładnego zbadania podstawowych cech współczesnego życia amerykańskiego spowodowały, że skierowano intensywną uwagę na charakter kultury masowej.

Po wojnie ujawniły się szczególnie silnie następujące ogromne przemiany społeczne: integracja kulturalna w życiu amerykańskim dzieci pokolenia emigrantów, przekształcanie się klasy pracującej w burżuazję, rozwój podmiejskich dzielnic willowych, wzrost dochodów, który z kolei potęgował dążenie niższej klasy średniej do tego aby żyć lepiej w sposób widoczny, nowe bogactwo, którego wyrazem było nabywanie telewizorów, maszyn do zmywania talerzy, samochodów, a nawet zamikłowanie do bardziej wyszukanych dań; wzrastająca krzywa wyższego wykształcenia, która podskoczyła na skutek wprowadzenia Ustawy G.I. Równocześnie jednak ogromna nieśmiałość wywołana tym zmianami, brak pewności siebie w upodobaniach i postępowaniu stworzyły niepokój o „siebie samego” i troskę o własną „tożsamość”, zjawisko, które jest chyba jedyne w historii społeczno-kultural-

nej. Tytuły najlepiej sprzedawanych książek, takich jak *Samotny Tłum*, *Człowiek Organizacji*, *Sytuacja Poszukujących*, z których każda osiągnęła w tanich wydaniach nakład 200.000 egzemplarzy, wskazują na zainteresowanie jakim w obecnym dziesięcioleciu cieszy się popularna socjologia. A owo dążenie do samo-sprawdzenia wartości życia amerykańskiego powodowało skoncentrowanie uwagi na kulturze masowej, jako na nieodłącznym produkcie i symbolu nowych czasów.

W poszukiwaniu wyjaśnień dla nowego nerwowego niepokoju wywołanego kulturą masową należy wreszcie wziąć pod uwagę zmiany jakie zaszły w charakterze politycznego liberalizmu, a przede wszystkim politycznego radykalizmu. Liczba radykałów politycznych nie była nigdy duża w Stanach Zjednoczonych, lecz wypowiedane przez nich opinie wywierały daleko sięgający wpływ.

Krytykując życie amerykańskie w latach 1930-tych radykałowie występowali głównie przeciwko niesprawiedliwościom ekonomicznym i społecznym. W następnych dziesięcioleciach jednak, w których nastąpił rozwój dobrobytu państwowego i wyszła na jaw zdrada utopijnych marzeń na skutek bezwzględного postępowania komunistów w czasie procesów moskiewskich i podpisania układu Hitler-Stalin, wystąpienia radykałów straciły na sile i znaczeniu.

W latach 1950-tych krytyka polityczna przekształciła się w krytykę kulturalną. Częściowo chodziło po prostu o zachowanie pewnej postawy. Ponieważ intelektualista radykalny wyznaczył sobie rolę krytyka i ponieważ najważniejsze dolegliwości ekonomiczne zostały usunięte skierował on swe spojrzenie na wartości życia amerykańskiego. Jednocześnie środki masowego oddziaływania same mu się narzucały i dając mu możliwość pisania do gazet o wielkich nakładach otwierały drogę do popularności. *The New Yorker*, któremu w latach czterdziestych *Partisan Review* zarzucała konformizm, obecnie umieszcza regularnie krytyki Edmunda Wilsona, Dwight Macdonalda i Mary McCarthy. Terminy „wysoce kulturalny” (*highbrow*) i „niekulturalny” (*lowbrow*), które ukuł w 1915 Van Wyck Brooks w swym słynnym esej *America's Coming of Age* po to aby wprowadzić rozróżnienie między intelektualistą („który, w swym odosobnieniu znajdował się poza prądem”) i bezwzględnym człowiekiem interesu („który nie interesował się niczym innym jak tylko nabywaniem”), przywrócono znów do życia uzupełniając je nowym terminem „średnio-kulturalny” (*middle-brow*). Krytyka kulturalna stała się grą, a gra ta wciągała. Russell Lynes, naczelny redaktor *Harper's* spopularyzował te terminy w swym piśmie, a *Esquire* opracował dowcipną tabelę, która umożliwiała każdemu zakwalifikowanie siebie do jednej z tych trzech kategorii na podstawie upodobań w zakresie samochodów, przygotowywania sałaty, sposobu spędzania wakacji, urządzania wnętrza domu i td.

W rzeczywistości, pojmowanie „kultury” opierało się już nie

na poważnych dziełach sztuki, ale na sposobie w jaki organizowano i „realizowano” pewien styl życia. Krytyka kultury stała się więc po prostu zabawą snobów, w której brali udział ludzie zajmujący się reklamą, ilustratorzy pism, dekoratorzy wnętrz domów, wydawcy magazynów dla kobiet i grupa homoseksualistów z East Side, którzy uważali ją za jedną więcej modną rozrywkę.

Pomimo jednak, że krytyka kultury przybrała formę zabawy, stanowiła ona poważny problem dla intelektualistów, których zapraszano do odegrania pewnej roli, może dwuznacznej, w ramach tej właśnie kultury, którą zawsze pogardzali. Wielu krytyków radykalnych odnosiło wrażenie, że zapraszano ich do współpracy ze środkami masowego oddziaływania po to, aby byli „przynętą”, aby nadawali pismom o wielkich nakładach fałszywy, bo niewspółmierny, prestiż; wreszcie, zdaniem ich, zapraszano ich bo odkryto, że idee i problemy poważnej literatury mogą „poruszać masy”. Inni dopatrywali się jeszcze bardziej złowrogich zamiarów: czyż nie chodziło o to aby stępić ostrze i „poskromić” po prostu krytykę radykałów. W latach pięćdziesiątych stosunek poważnego krytyka i intelektualisty do rozwijającej się kultury masowej stał się sam w sobie delikatnym problemem i źródłem dłuższych opracowań i dyskusji.

Dla tych wszystkich powodów problemy związane z kulturą masową były dominującym tematem rozważań w tym okresie.

Wysoce kulturalny, niekulturalny i średnio kulturalny.

Różne formy oskarżeń wysuwanych przez poważnych krytyków pod adresem amerykańskiej kultury masowej można logicznie rozbić na cztery grupy zarzutów, dotyczących treści produktu kultury i sposobu w jaki jest on przyjmowany⁶.

Pierwszy z nich opiera się na stwierdzeniu, iż niedostatecz-

6. Najlepszym zbiorem esejów jest książka wydana przez Bernarda Rosenberga i Davida White, *Mass Culture: The Popular Arts in America* (Glencoe, Illinois, 1957), a w szczególności prace takich autorów jak: Harold Rosenberg, Dwight Macdonald, Clement Greenberg, Gunther Anders, T.W. Adorno, Irving Howe i Ernest Van Den Haag. Dwight Macdonald, który w tej grupie był czołowym krytykiem „kultury popularnej” niedawno podsumował swe poglądy w długim esej „Kultura masowa i średnia” (*Partisan Review* No 4, 1961). Najbardziej może wnikliwa dyskusja na temat kultury masowej odbyła się na zebraniu zorganizowanym przez Tamiment Institute i *Daedalus*; ukazała się ona w druku pod tytułem „Kultura masowa i środki masowego oddziaływania”, *Daedalus*, Wiosna 1960. Artykuły zawarte w *Daedalus* oraz opracowanie dyskusji ukazały się w *Culture for the Millions*, wyd. Norman Jacobs (Princeton, 1961). Do zgrupowania zarzutów przeciwko masowej kulturze w czterech kategoriach posłużyła nam, z pewnymi zmianami, sugestia, którą wysunął Nathan Glazer na zebraniu zorganizowanym przez Tamiment Institute. *Kultura dla milionów* (ibid.), XII-XIII.

nie zachęca się pracę twórczą. Wysuwa się tu szereg przyczyn: wysoce kulturalna publiczność nie jest wystarczająco liczna aby mogła popierać nowe i eksperymentalne dzieła teatralne, muzyczne czy literackie; popularna sztuka przynosi większe dochody niż prace poważne, co skłania artystę do porzucenia właściwego mu zadania jakim jest tworzenie wysokiej kultury; i wreszcie, ponieważ rynek decyduje o upodobaniach, każda twórczość na szeroką skalę czy to w teatrze, telewizji, filmie czy w świecie muzycznym musi apelować do jakiegoś niskiego wspólnego mianownika; dlatego też żadne poważne dzieło o szerszych ambicjach nie znajdzie wydawcy ani producenta.

Drugi zarzut brzmi: poważne dzieło, szczególnie z przeszłości (należące do tak zwanej wysokiej kultury) ulega wynaturzeniu gdyż albo zniekształca się jego zasadniczą ideę, albo umieszcza się je w poniżającym kontekście; na przykład *Life* lub *Look* ogłaszają reprodukcję jakiegoś wartościowego obrazu obok fotografii gwiazdy z Hollywood. Z tego rodzaju zarzutami występuje głównie T.W. Adorno, który stwierdza, że chociaż dzięki radiu i stereofonii słucha się obecnie więcej utworów Beethovena niż kiedykolwiek, to jednak ludzie słuchają ich nie po to żeby ocenić skomplikowaną strukturę danej symfonii, lecz po to by podśpiewywać lub gwizdać jej melodię.

Trzeci zarzut, będący zaprzeczeniem drugiego, opiera się na tezie, że obecnie publiczność dopatruje się prawdziwej sztuki w niedobrych i średnich dziełach, gdyż wydają się jej one trudne — chociaż wcale takie nie są — w założeniach, tematyce, a nawet w stylu. Macdonald, na przykład, zalicza do tego rodzaju literatury książkę Hemingwaya *Stary człowiek i morze*, Thorntona Wildera *Nasze miasto* i Archibalda MacLeish'a *J. B.*

W czwartej grupie znajdziemy zarzuty, że płynące jak woda materiały, które wypełniają większość programów telewizyjnych oraz szpalt w pismach o wielkich nakładach, są tanie, wulgarne, amoralne, poniżające, łechcą niskie instynkty, podniecają do gwałtu. Twórczość ta, która zwraca się bezpośrednio do najszerszej publiczności i nie pretenduje do rangi prawdziwej sztuki zasługuje na potępienie gdyż nie tylko pobudza słuchaczy i czytelników, a w szczególności młodzież, do gwałtu i niemoralności, lecz także ułatwia im pogodzenie się z faktem istnienia w Ameryce przestępstw i zbrodni.

Dla poważnych krytyków jednak prawdziwym „wrogiem”, najgorszym kiczem jest nie owo rozległe morze bzdury, lecz kultura średniego wykształcenia, to, co Dwight Macdonald nazwał „średnią kulturą”. „W zakresie masowej kultury — pisze Macdonald — sprawa jest jasna: chodzi o to aby za wszelką cenę podobać się tłumowi. Ze „średnią kulturą” rzecz się komplikuje: utrzymuje ona, iż szanuje kryteria wysokiej kultury, podczas gdy w rzeczywistości rozwadnia je i wulgaryzuje”. Dla takich pisarzy jak Macdonald główne niebezpieczeństwo „średniej kultury” polega na tym, że na skutek podniesienia u Ameryka-

nów poziomu upodobań i kryteriów różnice między kulturą wysoką a średnią zatarły się, a kryteria średniej zaczęły dominować, dlatego właśnie, że wytwarzają one pozór podnoszenia kultury.

Gdyby zarzuty te trafiały w sedno problemu można by wysunąć szereg środków zaradczych: można by w większym stopniu popierać poważną twórczość za pośrednictwem specjalnych fundacji, jak na przykład Fundacji Forda, która przewiduje kilkuletnią pomoc powieściopisarzom, dramaturgom, malarzom i innym artystom posiadającym odpowiedni talent; można by rozwinąć działalność Federalnej Komisji Współpracy i przeznaczyć większą liczbę godzin na antenach programom państwowym; można by domagać się aby uniwersytety z jeszcze większą dokładnością badały kryteria ocen i problemy związane z upodobaniami i td.

Oskarżenia jednak w rodzaju tych, które wysuwa Macdonald opierają się na analizie krytycznej, prowadzącej do zasadniczego zwątpienia o możliwości jakiegokolwiek poprawy i do odrzucenia w rezultacie wszelkiej nadziei, że wysoka kultura może być udziałem społeczeństwa masowego. Ten właśnie sposób myślenia jest źródłem i podstawą opisanych powyżej ataków na kulturę masową i każda dyskusja poświęcona związanym z nią problemom musi poważnie wziąć je pod uwagę.

Najbardziej może druzgocące oskarżenie skierowane pod adresem kultury masowej znajduje się w książce Ortegi y Gasset'a *Bunt mas*, książce, która była ukoronowaniem stuletnich rozważań pisarzy na kontynencie, zaniepokojonych wtargnięciem mas do społeczeństwa po rewolucji francuskiej. Zdaniem Ortegi powodem powstania społeczeństwa masowego był fakt, że elita straciła autorytet; do utraty tej doszło na skutek upadku studiów humanistycznych, co z kolei wywołane było rozkwitem nauk ścisłych. Kulturę, według Ortegi, dają studia klasyczne; jedynie humanista posiada kulturę i tylko on ją uosabia.

Z podobną obroną klasycyzmu, który jest podstawą stanowiska tradycjonalistycznego spotykamy się zarówno w pracach teologa katolickiego Josefa Pieper'a jak i Anglikanina T.S. Eliot'a; w Stanach Zjednoczonych poglądy te reprezentowała przede wszystkim dawna szkoła „Southern Agrarians”, a w szczególności jej przedstawiciele: w zakresie filozofii Donald Davidson, w zakresie literatury John Crowe Ransom i Allen Tate.

Hannah Arendt, niespokojny i myślący krytyk społeczny, posuwa o krok dalej swą argumentację w obronie klasycyzmu wplatając w nią analizę historyczno-marksistowską. Pani Arendt wypowiada pogląd, że zasadniczo istniało zawsze pewne napięcie między „kulturą” (to znaczy tymi, którzy tworzą sztukę) a społeczeństwem (to znaczy tymi, którzy ją odbierają). Między przeszłością a teraźniejszością zarysowują się jednak dwie podstawowe różnice. W dawnych czasach kwitł indywidualizm, można było bowiem uciekać od społeczeństwa przenosząc się w

świat buntu czy cyganerii. Mimo, iż w przeszłości społeczeństwo domagało się gwałtownie kultury, bo zaspakajała ona jego snobistyczne potrzeby, to jednak nie niszczyło jej nawet wtedy, gdy nadużywało jej lub obniżało jej wartość przekształcając „wytwory kultury w towary przeznaczone dla użytku społecznego”. W nowoczesnym społeczeństwie — stwierdza pani Arendt — nie ma czasu przeznaczonego na rozrywki, jest tylko „wolny czas”, lub „czas niewykorzystany”, a przed kulturą stoi zadanie wypełnienia tej „pustki”. Problemem nie są ani masowa dystrybucja, ani tanie reprodukcje dzieł sztuki czy muzyki, „bo nie zmieniają one natury towaru”, lecz fakt, że „przemysł rozrywkowy stoi w obliczu kolosalnego zapotrzebowania... ci, którzy dostarczają materiałów dla ośrodków masowego oddziaływania grabią dawny i terazniejszy dorobek kulturalny aby znaleźć w nim coś odpowiedniego”. Ponieważ jednak wysoka kultura jest zbyt trudna „należy ją spreparować i zmienić w ten sposób aby stała się rozrywką; nie nadaje się bowiem do użycia w stanie w jakim jest”.

Oskarżenie, że kultura masowa jest pewną formą rozrywki i w konsekwencji ustępstwem na rzecz istniejących potęg, jest równie stare jak rozpaczliwy okrzyk Juwenalisa zawierający stwierdzenie, że dumna niegdyś rasa Rzymian „ogranicza swe pełne niepokoju tęsknoty do dwóch rzeczy: do chleba i cyrku”. Wśród współczesnych pisarzy Thorstein Veblen najtrafniej chyba uchwycił myśl, że środki masowego oddziaływania mają po prostu na celu nadanie nowej formy klasycznej strategii dynastycznej, która zmierza do utrzymania ograniczeń społecznych. Veblen zastąpił bowiem *Panem et circenses* — „formułę, na której opierali się politycy imperium rzymskiego aby uniemożliwić ludności próżne poszukiwanie rozwiązań dla jej trudnej sytuacji” — inną formułą „Wyżywienie i film”.

Francuski socjolog Edgar Morin utrzymuje, że rola współczesnej kultury masowej sięga dalej niż odwieczne dążenie do utrzymania kontroli nad społeczeństwem. Jej zasadnicza funkcja ma charakter „mityczny”; ma ona, skoro religia nie spełnia już tego zadania, być gigantyczną sceną, na której występują nowi bohaterowie i nowi bogowie.

Morin podkreśla, że cechą charakterystyczną współczesnego społeczeństwa jest fakt, że stworzyło ono nowy wiek — mężczyzny-młodzieńca. Społeczeństwa w dawnych czasach w sposób często brutalny wprowadzały młodego chłopca w prawa i obowiązki mężczyzny. Dzisiaj młodzież nie chce aby społeczeństwo wchłonęło ją i dlatego poprzez nihilizm, przestępstwa czy chuligaństwo usiłuje wyjść poza jego ramy. Drogę tą wskazał jej Rimbaud, poeta, który tęsknił za dzieciństwem, miał nieopanowane ambicje, protestował przeciwko „zepsuciu”, jakie niósł

7. We wstępnym eseju dla *The Dial*, 14 czerwiec 1919, przedrukowanym w Thorstein Veblen, *Eseje w naszym zmieniającym się porządku* (New York, 1934).

świat ludzi dojrzałych, pragnął „żyć”. We współczesnym społeczeństwie dorastająca młodzież stworzyła swój własny świat i wybiera swych własnych bohaterów. Morin stwierdza, że kultura masowa z jej „nienasyconym zapotrzebowaniem na osobistości” żyje z kultu młodzieży i w konsekwencji przekształca młodych bohaterów w gwiazdy, a historię życia w historię sukcesu⁸.

W tym sensie, kultura masowa, ponieważ dąży do „poskromienia” buntu, jest zaprzeczeniem kultury.

III. NOWOCZESNOŚĆ I WYSOKA KULTURA

Różnorodność doświadczeń kulturalnych

Trudność w prowadzeniu dyskusji z tego rodzaju „zasadniczą” krytyką kultury masowej polega na tym, że ci, którzy ją uprawiają ujmują problemy w formie „wszystko albo nic”. Starają się oni dotrzeć do platońskiej „idei” nowoczesnego społeczeństwa i aby określić jego charakter usiłują wykryć jakąś jedyną, wszystko obejmującą zasadę — na przykład „sąd ludzi niepowołanych” lub „kulturę niszczy się aby dostarczyć rozrywek”. O ile pewne spostrzeżenia, w szczególności pani Arendt i Edgara Morin, są uderzająco trafne, to jednak pozostaje pytanie czy natura społeczeństwa masowego nadaje się do tego aby ująć ją w jedną „formułę”. Najbardziej rzucającą się w oczy cechą tego społeczeństwa jest fakt, że równocześnie z wprowadzeniem szerokich mas w życie społeczne stwarza ono większą różnorodność i różnorodność, zaostrza głód doświadczeń, a coraz więcej aspektów świata — geograficznych, politycznych, kulturalnych — znajduje się w polu widzenia przeciętnego człowieka. Poważne poszerzenie horyzontów, eklektyczne przemieszanie różnych dziedzin sztuki, pogoń za czymś „nowym”, czy to w formie podróży w nieznanne, czy snobistycznego wysiłku aby być niepodobnym do innych, są same w sobie tworzeniem nowego stylu, pewnego rodzaju nowoczesnością. Można więc powiedzieć, że znaczna część współczesnych głosów krytycznych nie trafia w sedno sprawy. Problem leży gdzie indziej.

W sercu tego problemu tkwi sens jaki dajemy pojęciu kultury. Gdy mówimy o „kulturze klasycznej” czy o „kulturze katolickiej” (w tym samym niemal sensie co o „kulturze bakterii”, czyli o chowaniu ściśle określonych zarodków), myślimy o długim łańcuchu wierzeń, tradycji, zwyczajów i nakazów, które na przestrzeni historii wytworzyły coś w rodzaju jednolitego stylu. Nowoczesność natomiast jest zerwaniem z przeszłością jako przeszłością, jest rzuceniem jej w teraźniejszość.

8. Edgar Morin, „Zjawisko James Dean”, *Evergreen Review* No 5; Edgar Morin, *Gwiazdy* (New York, 1960); i esej „Kultura masowa w epoce dzieci-geniuszów”, *La Nef*, 1938.

Harold Rosenberg powiedział, że społeczeństwo masowe opiera się na „tradycji nowości”. Jeżeli tak jest, nie może być mowy nawet o awangardzie, która z natury rzeczy odrzuca pewne tradycje. Charakterystyczną taktyką awangardy jest skandal. W nowoczesnej kulturze poszukuje się z pasją skandalu, bo dostarcza on nowych wrażeń. Współczesność neutralizuje awangardę akceptując ją równie szybko i łatwo jak elementy z przeszłości zachodu, z przeszłości Bizancjum, z przeszłości (i teraźniejszości) wschodu, bo pragnie stworzyć wszystko obejmującą kulturę. Stare pojęcie kultury oparte jest na ciągłości, nowoczesne na różnorodności; dawniej ceniono tradycję, współczesnym ideałem jest eklektyzm.

Geograficzne granice świata przestały dzisiaj istnieć, a zasięg sztuki zarówno w tradycyjnych ramach literatury, malarstwa, rzeźby i muzyki, jak i poza tymi ramami, jest nieomal nieograniczony. Nie chodzi tylko o to, że rynek sztuki stał się międzynarodowy w tym sensie, że malarze polscy wystawiają w Paryżu, że w Anglii zakupuje się obrazy malarzy amerykańskich, lub, że dla teatru nie ma granic narodowych (sztuki Czechowa, Strindberga, Brechta, O'Neill'a, Tennessee Williams'a, Giraudoux, Anouilh'a, Jonesco, Genet'a, Beckett'a są wystawiane jednocześnie w Paryżu, Londynie, Nowym Yorku, Berlinie, Frankfurt, Sztokholmie, Warszawie i wielu innych miastach na kilku kontynentach). Chodzi także o to, że zasięg kultury jest tak rozległy, „przedmioty” zainteresowań tak liczne, że znalezienie punktu ciężkości, który byłby podstawą do właściwego określenia człowieka „kulturalnego” jest rzeczą prawie niemożliwą. W Great Exhibition Hall, muzeum sztuki współczesnej w Nowym Yorku, widok, jaki przedstawia się oczom człowieka, który pragnie zapoznać się z kulturą świata jest naprawdę przytłaczający swym bogactwem.

W dziedzinie „idei” świat kultury stoi również szeroko otworem. Zasadnicza wiedza o świecie nie płynie już jakimś jednym „centralnym korytem”. Ten, kto interesuje się filozofią musi przestudiować poza tradycyjnymi systemami myślenia Greków, Augustyna, Tomasza z Akwinu, Kartezjusza i Kanta, różne prądy filozofii analitycznej (od Russell'a do Wittgensteina), fenomenologię (od Husserla do Merleau-Ponty), egzystencjalizm (od Kierkegaarda do Heideggera i Sartre'a), marksizm, pragmatyzm, teksty hinduskie (Vedy, Upanishady i Bhagavad-Gita), filozofię chińską (Konfucjanizm i Taoizm), buddyzm (Hinaya, Mayayana i Zen), a także zdobycze logiki matematycznej. Człowiek wykształcony musi coś wiedzieć o nowych prądach w psychologii (Freud, Jung, Pawłow), w antropologii (od Frazer'a do Kroeber'a i Malinowskiego), w socjologii (Weber i Durkheim), jak również o zdumiewającej odnowie myśli teologicznej (Barth, Bultmann, Tillich, Brunner).

Czym jest więc kultura? Kto jest człowiekiem naprawdę kulturalnym? Jaka może być wspólna płaszczyzna dyskusji? Cha-

rakterystycznym dla nowoczesności jest, że nie można na te pytania odpowiedzieć jednym zdaniem.

Brak ośrodka.

Poczucie rozproszenia stwarza nie tylko oszałamiająca różnorodność kulturalnego dorobku i ogromne pomnożenie liczby odbiorców — poważnych, częściowo wykwalifikowanych i amatorów — lecz także brak *ośrodka* geograficznego i duchowego, który byłby autorytetem i jednocześnie miejscem, gdzie spotykałby się i wzajemnie poznawali czołowi malarze, muzycy i pisarze. W przeszłości wszystkie nieomal społeczeństwa o „wysokiej kulturze” miały do dyspozycji jakiś ośrodek — agora, piazza czy rynek — gdzie w gromadzie, we współzawodnictwie czy turnieju jednostka, będąc podniecią dla innych, stwarzała poczucie żywotności i sama czerpała je z wzajemnej wymiany. W pierwszych dziesiątkach wieku dwudziestego („w latach bankietów” jak je nazwał Roger Shattuck) i później w latach dwudziestych ośrodkiem takim był Paryż, gdzie, współuzależniając się, poszczególne dziedziny sztuki były nawzajem dla siebie podniecią. Dekoracje do baletu Fokina mógł robić Chagall albo Picasso, a muzykę komponować Strawiński lub Satie. Dzięki szkołom i ścisłym związkom między uniwersytetami w Oxfordzie, Cambridge czy Londynie, w Anglii wytworzyła się elita, której członkowie mogli liczyć na wzajemne znajomości literackie i towarzyskie.

Stany Zjednoczone nie miały nigdy takiego ośrodka. W Bostonie w połowie dziewiętnastego wieku zarysowały się pewne podstawy do zjednoczenia, bo przemieszanie bogactwa, kościoła i kultury stworzyło pewien swoisty styl. Ponieważ jednak był to styl Nowej Anglii, nie mający żadnych danych na to aby objąć cały kraj, jedność jego „skazana była na zagładę”.

Ze względu na wielki obszar kraju i różnorodność grup etnicznych i religijnych, spotkania między intelektualistami amerykańskimi „odbywały się po omacku”, jak to określił Kristol. Stany Zjednoczone są chyba jedynym większym krajem na świecie (za wyjątkiem Niemiec), który nie posiada narodowego ośrodka, gdzie mogliby się spotykać członkowie poszczególnych elit. Wydawcy pism o wielkich nakładach nie mają na ogół okazji spotykania wybitnych przedstawicieli świata politycznego, teatralnego czy muzycznego. Politycy mieszkają w Waszyngtonie, wydawcy i ludzie teatru w Nowym Yorku, świat filmu w Los Angeles, a profesorowie pracujący na uniwersytetach rozsypani są po całym kraju. Uniwersytety stały się dzisiaj dominującą siłą amerykańskiego życia kulturalnego: dla wielu pisarzy, kompozytorów, malarzy i krytyków są one upragnionym portem, a poza tym wydaje się w nich liczne poważne kwartalniki literackie i kulturalne.

Nowy York jest niewątpliwie wielkim centrum ruchu wydawniczego, teatralnego, muzycznego i malarskiego; skupia on jednak tak przytłaczającą liczbę ludzi, którzy są tak podzieleni na poszczególne zawody (kładzie się bowiem duży nacisk na specjalizację), że między poważnymi artystami powstaje trudna do przebycia przegroda. Nieliczni tylko malarze znają ludzi teatru, muzyków czy pisarzy. Kompozytorzy spotykają się z kompozytorami, malarze z malarzami, pisarze z pisarzami. W przeszłości, mniejszość uważająca siebie za awangardę, szukała świadomie kontaktów z tymi, którzy próbowali eksperymentów w tej samej dziedzinie. Łączyła ich wspólna pasja buntu, albo wspólne poglądy estetyczne (czasami obie te przyczyny występowały równocześnie, jak wydarzyło się to z futurystami włoskimi). Dzisiaj żarłoczna i pełna pretensjonalnych zamiarów publiczność bierze w posiadanie każdą awangardę zanim jeszcze wywiesi ona sztandar buntu, a coraz wyraźniej występująca techniczna strona eksperymentów w sztuce — muzyka seryjna, czy *taszyzm* w malarstwie — wydaje się uniemożliwiać powstanie jakiegokolwiek wspólnej estetyki. Pomostem między tymi technicznymi eksperymentami byli dawniej tacy ludzie pióra i krytycy jak Apollinaire czy Karl Kraus, którzy poruszali się swobodnie w różnych dziedzinach sztuki i dostrzegali więzy między nimi. Dzisiaj nawet krytycy są specjalistami, a życie rozbite jest na hermetycznie zamknięte dziedziny. Pod wpływem marksizmu doszło w latach trzydziestych do podporządkowania kultury polityce; stworzyło to na krótko jednolitą estetykę, która posługiwała się specjalnymi kryteriami dla poszczególnych rodzajów sztuki i narzucała je krytykom aby stosowali je automatycznie w interesie ujednoliconej idei kultury. Świat polityczny stworzył równocześnie wspólne środowisko dla artystów, pisarzy i muzyków. Dzisiaj ten świat politycznie ujednolicony znikł i, z wyjątkiem pewnych więzów zawodowych, a czasami naukowych, wspólne środowisko przestało istnieć.

Kultura wzrokowa.

Do najważniejszego jednak starcia między nowoczesnością a wysoką kulturą dochodzi tam, gdzie nowoczesność odmawia uznania idei jednej hierarchii dla sztuk, lub jedności kultury (Grecja za czasów Peryklesa, miasta-państwa podczas renesansu włoskiego, epoka elżbietańska w Anglii). W nowoczesnym świecie zresztą jedność ta staje się niemożliwa, a w przeszłości prawdopodobnie nie istniała ona w tym stopniu, w jakim przypuszcza się na ogół. „Na próżno — pisze Meyer Schapiro — szukać będziemy w Anglii stylu malarstwa, który odpowiadałby poezji i dramatowi epoki elżbietańskiej; podobnie w Rosji dziewiętnastego wieku nie istnieje w malarstwie prawdziwy odpowiednik wielkiego ruchu literackiego. Fakty te pozwalają

stwierdzić, że każda z dziedzin sztuki spełnia odmienną rolę w kulturze i w życiu społecznym danego czasu i jest, zarówno w treści jak w formie, wyrazem różnych interesów i wartości. Zasadniczy charakter danej epoki — o ile w ogóle można go wyodrębnić — nie oddziałuje w tym samym stopniu na poszczególne dziedziny sztuki i nie wszystkie te dziedziny są równie zdolne go wyrazić⁹.

H. Stuart Hughes przypomniał uwagę Henry Adams'a, że bagaż kulturalny Stanów Zjednoczonych w 1800 roku ograniczał się prawie wyłącznie do teologii, literatury i krasomówstwa; zasięg sztuki wzrokowej i zdolność do zmysłowego jej odbierania w praktyce nie istniały¹⁰. Dzisiaj wszystko oparte jest na wzroku. „Wrażenia wzrokowe i dźwiękowe”, a w szczególności wzrokowe są podstawą estetyki i mają decydujący wpływ na publiczność. W społeczeństwie masowym zresztą nie mogło być inaczej.

Rozrywki masowe (cyrk, widowiska, teatr) opierały się zawsze na wrażeniach wzrokowych; dwa jednak wyraźne aspekty współczesnego życia wskazują na znaczenie elementów wzrokowych: po pierwsze, nowoczesny świat jest światem miejskim, życie zaś w wielkich miastach i charakter stosunków społecznych stwarzają więcej okazji ku temu aby ludzie *widzieli* i *chcieli widzieć*, niż słyszeli lub czytali; po drugie, podstawą ogólnego nastawienia współczesnego jest głód akcji (a nie kontemplacji), poszukiwanie nowości i pragnienie sensacji. A te potrzeby właśnie najlepiej zaspakajają wzrokowe elementy sztuki.

Współczesna estetyka przekształcała się do tego stopnia we wzrokową, że tamy, mosty, składy zbożowe i układ dróg — będące wykładnikiem relacji środowiska do poszczególnych struktur — są obecnie przedmiotem rozważań estetycznych¹¹. W połowie dwudziestego wieku organizacja przestrzeni w malarstwie architekturze czy rzeźbie stała się głównym problemem estetycz-

9. Meyer Schapiro, „Styl” w *Anthropology Today*, (Chicago, 1955), 295.

Studiując historię wrażliwości (niesłuchanie zaniedbane pole poszukiwań) odkrywamy zdumiewający fakt, że francuscy poeci szesnastego wieku, z wyjątkiem nadzwyczajnego Rabelais, posługiwali się w obrazowaniu zapachem, smakiem i słuchem, i jak się wydaje, byli niezdolni „odmalować”, oddać wzrokowo jakąś osobę czy miejsce w taki sposób, aby stały się one „realne” dla czytelnika. Rzeczywistość przemawiała do nich raczej drogą wrażeń dźwiękowych niż wzrokowych. Lucien Febvre, który zrobił to odkrycie stwierdza: „Po zapoznaniu się z pisarzami szesnastego wieku uderza nas fakt, że prócz nielicznych wyjątków nie umieją oni zrobić dla czytelnika szkicu, uchwycić podobieństwa, stworzyć bohatera z krwi i kości”.

10. H. Stuart Hughes, „Masowa kultura i krytyka społeczna” w *Kultura dla milionów*, op. cit., 143.

11. Patrz, np. interesującą książkę Erich Gutkind, *Nasz świat z lotu ptaka* (New York, 1952) i wystawę o drogach zorganizowaną przez Bernard Rudofsky dla Museum of Modern Art, wrzesień 1961.

nym kultury, podobnie, jak w pierwszych dziesiątkach obecnego stulecia było nim zagadnienie czasu (u Bergsona, Proust'a i Joyce'a). W swej trosce o przestrzeń i formę, żywotność nowoczesnej kultury znalazła najlepszy wyraz w architekturze, malarstwie i filmie, które, w połowie dwudziestego wieku, stały się typowymi dziedzinami sztuki, a ich osiągnięcia znamiennej cechą naszych czasów. Jeżeli w dyskusjach nad skutkami jakie wywiera społeczeństwo masowe na wysoką kulturę pominięto te prawdy (a mogło się to stać dlatego, że dyskusje kształtowały się pod wpływem humanistów, dla których pojęcie wysokiej kultury było nieodłączne od literatury), to pominięto tym samym podkreślić najważniejszy aspekt kultury masowej, ów uderzający fakt, że jest to kultura wzrokowa.

IV. RYNEK I KULTURA MASOWA

Publiczność i różne publiczności.

„Masa” jest dzisiaj częścią społeczeństwa i stanowi najszerszą w historii rzeszę odbiorców kultury. By dotrzeć jednak do tej publiczności, czy tych publiczności, trzeba ponosić koszty; w społeczeństwie zaś, które uważa, że kultura powinna być raczej samowystarczalna i nie powinna korzystać z subsydiów, problem staje się niezmiernie istotny.

Zwróćmy uwagę na dwa aspekty tego zagadnienia: wytwo-ry kultury (filmy, sztuki teatralne i telewizyjne) w przeciwieństwie do towarów przemysłowych nie nadają się właściwie do produkcji automatycznej; w konsekwencji, w systemie ekonomicznym opartym na wysokich płacach, koszt produkcji muszą w tej branży wzrastać dużo gwałtowniej niż w innych gałęziach przemysłu; po drugie, ponieważ producenci starają się objąć jak najszerzy rynek aby osiągnąć jak największe zyski, w przemyśle rozrywkowym powstaje nieunikniona tendencja szukania najniższego wspólnego mianownika.

Telewizja jest najbardziej przekonującym przykładem tego stanu rzeczy. 83 procent domów amerykańskich posiada telewizory; w okręgach miejskich cyfra ta przekracza nawet 90 procent i oblicza się, że w tych właśnie okręgach 60 procent telewizorów jest czynnych między ósmą a dziesiątą wieczór. Wszelka reklama dąży oczywiście do pozyskania tej szerokiej publiczności i w 1959 roku na przykład wydano na reklamę w telewizji 1.350.000.000 dolarów (z ogólnej sumy 10.432.000.000 dolarów przeznaczonych na reklamę). Ponieważ jednak reklama zmierza do objęcia rynku w skali narodowej, tylko nieliczne stacje telewizyjne mogą pozwolić sobie na to, aby nie włączać się do jednej z trzech głównych narodowych sieci telewizyjnych. Dzięki temu dziewięć na dziesięć stacji telewizyjnych nadaje pro-

gramy sieci narodowych, przeznaczając na nie tygodniowo dziewięć, a może nawet więcej „najlepszych” godzin.

Dzienniki i pisma periodyczne mają oficjalnie ustalone nakłady, które sprawdza regularnie niezależna organizacja, a stawki ogłoszeń ustala się na podstawie zatwierdzonej przez tę organizację liczby czytelników. Stawki za reklamę w telewizji oparte są na jednostce miary, która nazywa się CPM (*Cost Per Message* — cena ogłoszenia). Ponieważ osoba finansująca program płaci ustaloną z góry cenę ogólną (czas na antenie, honoraria, koszty techniczne i td.) więc im więcej stacji telewizyjnych nadaje ten sam program, tym niższy jest CPM. Jeżeli jakaś firma dająca reklamę stwierdzi, że dla jej konkurenta CPM jest niższy, to albo rezygnuje z tego programu, albo zmienia jego treść. Na tym polega tak zwana walka stawek. Doprowadza ona do tego, że sieci telewizyjne, aby dotrzeć do jak najszerszej publiczności, poświęcają na potrzeby rynku, często kosztem jakości programu, najlepszy czas z punktu widzenia odbioru (między ósmą a dziesiątą wieczór).

Społeczeństwo masowe jest nie tylko największą w historii ludzkości rzeszą odbiorców; ułatwia ono także rozwój wielu zróżnicowanych publiczności, o odmiennych upodobaniach i zainteresowaniach: sprawa, jak dotrzeć do tych różnych publiczności jest również problemem związanym z poszukiwaniem rynku zbytu. Ponieważ telewizja stała się groźną siłą, która zawładnęła prawem pierwokupu na rynku masowym, zmienił się gatunek publiczności czytającej pisma periodyczne i chodzącej do kina. W konsekwencji pisma periodyczne o „wielkich nakładach” znalazły się w trudnej sytuacji. Fakt, że mają one licznych czytelników nie może działać przyciągająco na firmy poszukujące reklamy, gdyż pod względem ilości odbiorców telewizja jest nie do pobicia. Mimo nakładu czterech milionów egzemplarzy zawieszono wydawanie *Collier's* bo był niedostatecznie atrakcyjny dla firm dających ogłoszenia, a *Coronet*, mimo rekordowego nakładu ponad trzy miliony egzemplarzy, przestał wychodzić, bo jego zarząd nie mógł sprostać wzrastającym kosztom produkcji.

Pisma periodyczne jednak, które mają ściśle określoną klientelę, dają sobie doskonale radę. *The New Yorker* jest wyrocznią narodową dla pseudo-wyrafinowanego czytelnika. *Esquire*, który liczy wśród swych współpracowników takich pisarzy jak Norman Mailer i Saul Bellow i w którym krytykę filmową prowadzi Dwight Macdonald, uznany został za pismo na wysokim poziomie młodej generacji przeintelektualizowanych intelektualistów. Takie magazyny jak *Harper's* czy *Atlantic*, które podejmuje poważne dyskusje na tematy społeczne i polityczne, rozwijają się stale.

W teatrze problem kosztów stał się szczególnie istotny dla wielkich komercyjnych przedsięwzięć, które osiągają sukcesy, tak jak na Broadwayu, przybierając głównie formę spektakli rozrywkowych i starając się ściągnąć szeroką publiczność. Ale na-

plyw dyrektorów teatru młodego pokolenia oraz pojawienie się poważnej publiczności zainteresowanej sztukami eksperymentalnymi wytworzyły zdumiewające zjawisko teatrów położonych poza Broadwayem. Zwykle są one małe, mieszczą się w leżących na uboczu poddaszach czy w przerobionych salach kinowych, i wystawia się w nich sztuki Becketta, Genet'a, Ionesco, Brecht'a, Tennessee Williams'a, Edwarda Albee oraz innych młodych autorów. Koszt wystawienia spektaklu na Broadwayu wynosi od 50 do 125 tysięcy dolarów (a koszt przedstawienia muzycznego jest potrójny), podczas gdy wystawienie sztuki w teatrze poza Broadwayem kosztuje od 5 do 12 tysięcy dolarów.

Jeżeli chodzi o przemysł filmowy, który przed telewizją był głównym środkiem masowego oddziaływania, to współzawodnicstwo wywołane faktem, iż publiczność może oglądać filmy u siebie w domu, wywołało podobne, daleko idące zmiany. Z jednej strony w Hollywood próbowano produkować filmy „widowiskowe” (*Spartakus, Exodus, Ben-Hur*), które wyświetla się w dwóch kilkugodzinnych seansach dziennie za wyższą opłatą; z drugiej strony bankructwo starego systemu produkcji wytworzyło cały zastęp niezależnych producentów, którzy nakręcają filmy przeznaczone dla specjalnej publiczności. Rozwój „domów sztuki” (taką nazwę handlową mają w świetle filmu małe kina wyświetlające „poważne” lub „zagraniczne” filmy), których liczba, jak stwierdza *Variety*, skoczyła od drugiej wojny światowej z dwunastu na ponad sześćset, był zachętą do nakręcania pół-dokumentalnych i eksperymentalnych filmów, takich jak Morris Engel'a *Mały uciekinier*, John Cassavate'a *Cienie*, Sidney Meyer'a *Dziki oko* i Jack Kerouac'a humoreska huligańska *Złap moją Daisy*. Podobnie jak przedstawienia w teatrach położonych poza Broadwayem stały się permanentnym zjawiskiem życia teatralnego w Nowym Yorku, tak produkcja filmów poza Hollywoodem stała się nowym faktem życia filmowego.

Nigdzie jednak sprawa zdobycia nowej publiczności nie nabrała tak dramatycznego charakteru jak w dziedzinie wydawniczej. Tak zwana rewolucja książek broszurowanych była w zasadzie rewolucją wywołaną poszukiwaniem rynków zbytu. Do niedawna jeszcze przemysł wydawniczy w Stanach Zjednoczonych opierał się przede wszystkim na ustalonej w dziewiętnastym wieku rutynie sprzedawania książek za pośrednictwem księgarń. W tak „małym” kraju jak Anglia księgarnie mogły podołać potrzebom rynku. Ale w Stanach Zjednoczonych, z wyjątkiem kilku większych miast i ośrodków uniwersyteckich, nie były one tym pośrednikiem, który umożliwiałby dotarcie do rozrzuconych odbiorców. Rewolucja na rynku polegała głównie na znalezieniu tysięcy dodatkowych ośrodków zbytu — na stacjach autobusowych i lotniskach, w sklepach z cukierkami i papierosami, w wielkich magazynach i tp. — dla tańszych książek w papierowych okładkach. Dawniej istniało kilka tysięcy księgarń, dzisiaj mamy ponad trzydzieści tysięcy punktów sprzedaży tanich książ-

żek. Ich sprzedaż wzrosła z około 6 milionów egzemplarzy w 1940 roku do 500 milionów w 1960. Nie tylko sprzedaż poszczególnych książek osiągnęła zdumiewające cyfry (na przykład wydanie książkowe w tomie oprawnym „Nowej poezji amerykańskiej”, które ogłosił Rolfe Humphries sprzedane zostało w 3000 egzemplarzy, pierwsze zaś wydanie broszurowe w 100.000 egzemplarzy, a drugie w ponad 65.000), lecz doszło także do wzrostu zasięgu książek i zwiększenia ich różnorodności; umożliwiło to powstanie bogatych bibliotek wyposażonych w zbiory z każdej dziedziny wiedzy ludzkiej.

Podczas gdy zasięg sztuki i kultury znacznie się poszerzał, w ostatnich czterdziestu latach pomnożyła się zdumiewająco liczba osób starających się żyć z malarstwa, pisania czy aktorstwa, lub mających taką pracę, która pozwala im jednocześnie pisać powieści, wiersze, eseje krytyczne, książki, lub poświęcać czas malarstwu, rzeźbie, kompozycji czy też wystawianiu sztuk eksperymentalnych.

Ustalenie jakichkolwiek danych statystycznych na ten temat jest rzeczą niezmiernie trudną; ogromny jednak wzrost ludności, rozwój miast, zmiany jakie zaszły w sile roboczej, a w szczególności rozrost szkolnictwa pozwalają stwierdzić z całą stanowczością, że więcej osób oddaje się dzisiaj pracy twórczej w dziedzinie kultury, niż to wydarzyło się kiedykolwiek w historii świata.

Kryteria i subsydia.

Problem liczby, zarówno tych, którzy tworzą jak i tych, którzy są odbiorcami kultury każe nam wrócić do dyskusji nad kryteriami: do zarzutów, że kultura masowa jest z konieczności kulturą zdegradowaną, że sztuka popularna, jak to powiedział Nietzsche, „fałszuje” sztukę poważną i obniża kryteria doskonałości w całym społeczeństwie.

Zarzuty oparte na historii nie są przekonujące; mało wiemy o tym, jak masy spędzały czas sto lat temu i wcześniej. Z powieści i notatek podróżników dowiadujemy się, że najpopularniejszymi rozrywkami w Anglii siedemnastego wieku aż do pierwszych lat wieku dziewiętnastego, były walki kogutów, polowanie na niedźwiedzie i przyglądanie się publicznemu wieszaniu zbrodniarzy. Jak można porównywać skuki takiego bezpośredniego oglądania przemocy i przelewu krwi z pośrednim kontaktem z podobnymi rzeczami, jaki dzisiaj dają przedstawienia rozrywkowe? „Głównym błędem tych, którzy analizują popularną kulturę — pisze Edward Shils — jest przekonanie, że doszła ona do czegoś co jest z gruntu złe, że z powodu niej człowiek pogrążył się w nieznanym dotychczas błocie i że jest ona koniecznym wstępem do dalszego upadku, a może nawet do ostatecznego upadku wysokiej kultury... Dużo bardziej słuszne byłoby

przyjęcie tezy, że kultura masowa jest obecnie dużo mniej szkodliwa dla niższych klas niż straszne, trudne warunki bytu w poprzednich wiekach. Niewiele jeszcze osób, lecz znacznie więcej niż dawniej, czyta obecnie dobre książki, zachwyca się poważną muzyką i malarstwem; nie ma też powodu przypuszczać, że odczucia ich są mniej szczerze i głębokie¹².

Ciekawa dialektyka dyskusji sprawiła, że popularna socjologia, która analizuje kulturę masową, prawie całkowicie zastąpiła krytykę literacką w roli wyroczni upodobań. Socjologia ta ustala różne kategorie — na przykład: wysoce, średnio lub mało kulturalny, masowa i średnia kultura — na podstawie reakcji publiczności lub domniemyanych intencji dzieła kultury, a następnie wypowiada sądy raczej w oparciu o te kategorie, niż o wyrażone kryteria literackie czy estetyczne. Jest to przywłaszczenie sobie pewnych funkcji, które nie wychodzi na dobre ani socjologii, ani krytyce literackiej. Zgodnie z prawdziwą oceną krytyczną, dzieło jest albo dobre, albo złe, i to bez względu na to, do jakiej publiczności się zwraca. Wśród prac intelektualnych wiele jest pretensjonalnych i pustych, natomiast utwory apelujące do mas, szczególnie filmy, są często prawdziwymi dziełami sztuki.

Jest rzeczą ciekawą, że podczas ostatniego dziesięciolecia, dyskutując o pustce kultury masowej i o problemie utrzymania kryteriów poważnej kultury nie zwracano prawie wcale uwagi na sprawę konkretnej polityki w dziedzinie: co należy zrobić aby podnieść upodobania publiczności lub przynajmniej usunąć częściowo przytłaczającą wulgarność, szczególnie w telewizji; albo: jakie subsydia publiczne mogłyby przyjść z pomocą kompozytorom, malarzom, pisarzom, operze i poważnym przedsięwzięciom teatralnym. Tak samo nie przeprowadzono żadnych studiów nad rolą subsydiów dla sztuki i pomocy dla poważnych twórców i artystów, to znaczy nad problemem, który nabierać będzie tym większego znaczenia, że coraz więcej ludzi pragnie żyć ze sztuki. (Nikt na przykład nie wie ilu malarzy potrafi utrzymać się ze sprzedaży swych obrazów, ilu zapewnia sobie egzystencję pracując na uniwersytetach czy w muzeach, ilu wreszcie daje sobie radę w inny sposób). Inne kraje mają już za sobą poważne doświadczenia z zakresu pomocy dla sztuki — Rada Sztuk Pięknych w Anglii, pomoc państwowa dla opery i teatru we Francji, Włoszech i Niemczech — lecz mało wiemy o konkretnych skutkach tego rodzaju polityki.

12. Edward Shils „Marzenia i koszmary: rozmyślenia nad krytyką kultury masowej”, *The Sewanee Review*, LXV, No 4 (Jesień 1957) 568-608. Wcześniejsze sformułowanie tego problemu oraz apel o „zdyscyplinowane poszukiwania” w sprawie kryteriów, którym jakoby grozi upadek znajdziemy w studium Paul F. Lazarsfeld i Robert K. Merton „Masowe przekazywanie, popularne upodobania i zorganizowana akcja społeczna” w wydanej przez Lyman Brysona *The Communication of Ideas* (New York, 1949).

Należy więc oddzielić tak różne problemy jak charakter upodobań masowych, subsydia dla poważnych przedsięwzięć w sztuce, pomoc dla indywidualnych twórców i artystów, od skomplikowanego problemu: w jaki sposób dana epoka może w ogóle tworzyć wielką sztukę. Pierwsza grupa problemów wiąże się z publicznością i mecenatem; zależy ona w dużej mierze od woli i dążeń instytucji wspólnoty — uniwersytetów, fundacji, poszczególnych organizacji, rządu — do wykształcenia odpowiedniej publiczności i do przyznania funduszy na pomoc dla sztuki.

Druga grupa problemów posiada odmienną wielkość i nie zależy wcale od publiczności (mam wrażenie, że ci, którzy krytykują masową kulturę błędnie patrzą na tę sprawę). Wielka sztuka danej epoki jest albo wielką afirmacją (jak na przykład sztuka religijna), albo powstaje gdy w niespotykanym rozwoju nowych stylów poszczególne dziedziny sztuki zrywają więzy konwencjonalne (zjawisko to jest w równym stopniu wynikiem wewnętrznego procesu danej sztuki jak i reakcją na otoczenie społeczne). Wielka sztuka dwudziestego wieku, która jest ruchem nowoczesnym, powstała z nienawiści do konwencji w społeczeństwie burżuazyjnym (a częściowo była zamaskowanym, sielankowym protestem przeciwko wymaganiom społeczeństwa przemysłowego). Sztuka ta była nie tyle zależna od publiczności, nawet tej kulturalnej, ile od pewnej określonej grupy i od kręgu pełnych sympatii krytyków. Podobnie jak w wielu wypadkach w przeszłości, wzór artysty w roli buntownika, osoby alienowanej, czy w roli awangardy stał się obrazem, który społeczeństwo uznało później za jedynie ważny. Nowoczesność jednak wyczerpała się. Stare zbuntowane style stały się nowym akademizmem, a artystów przytłoczyła publiczność. Dopiero przyszłość pokaże jakie będą nowe formy twórczości.

Daniel BELL

(Przełożył z angielskiego Paweł ZDZIECHOWSKI)



Przypominamy Czytelnikom, że w „Bibliotece Kultury” ukazała się „Kultura masowa” (patrz odnośnik 6) w wyborze, przekładzie i ze wstępem Czesława Miłosza. Książka ta zawiera m.in. eseje Dwight Macdonalda, Clementa Greenberga i Ernesta Van Den Haaga.

Ponadto wydaliśmy książkę Daniela Bella pt. „Praca i jej gorycze”, która również łączy się tematycznie z powyższym artykułem (Redakcja)

Przyszłość emigracji w Anglii

Brak danych.

Mamy nadmiar — nieprawdopodobny — związków, stowarzyszeń, organizacyj polskich w Anglii, tak samo zresztą jak we wszystkich ośrodkach polonijnych na świecie. Ale nie mamy żadnych poważnych danych statystycznych o składzie naszej emigracji w Anglii (jak zresztą i w innych krajach). Ilu jest Polaków w Anglii? Dane angielskie, na pewno niedokładne i bałamutne, nic nie mówią: bo pojęcie *Pole* czy *Polish-born* obejmuje wszystkie osoby, urodzone na terytorium polskim z r. 1939, a więc Ukraińców, Żydów etc., którzy w ogromnej większości wypadków za Polaków się nie uważają. Wśród „naturalizowanych” — to samo. Skądinąd znam wypadki, gdy Polacy, urodzeni na Ukrainie, są zaliczeni do „Rosjan”, inni znowuż do Austriaków czy Niemców. Dzieci urodzone w Anglii są *British-born* i znowuż dane policyjne czy stanu cywilnego normalnie nie zawierają żadnych danych o ich pochodzeniu. Z grubsza panuje pogląd, że ilość „Polaków” na Wyspie wynosi od 150 do 200 tysięcy osób, wliczając w to dzieci urodzone w Anglii. Myślę, że liczba osób pochodzenia polskiego jest większa: jest dużo więcej Polaków-samotników, niż się zdaje, liczba dzieci polskich rodziców, lub przynajmniej w połowie polskich jest też większa, niż się przypuszcza, bo płodność Polaków jest na pewno większa, niż tubylców. Jeżeli natomiast chodzi o ilość osób o jakiejś świadomości narodowej, to jest ona zapewne mniejsza.

Gdy tylko pragniemy czegoś bliższego dowiedzieć się o tej masie 150 czy 200 tysięcy ludzi, stajemy wobec zagadek. Z ja-

kich stron ci przybysze pochodzą? Ilu jest z Poznańskiego, ilu z b. Kongresówki, z b. Galicji, z Kresów i jakich? Ilu przybyło w czasie wojny, ilu zaraz po wojnie, ilu później? Ilu wzięło się z formacji wojskowych, ilu z D.P'sów w Niemczech, ilu „przeszło Rosję” itd?

Jaka jest piramida wieku? Ilu jest żonatych, rozwiedzionych, wdowców, ponownie żonatych, ile par ślubnych, ile żyje „na wiarę”, ile dzieci przypada na małżeństwo, jaki przeważa cenzus wykształcenia, ilu pracuje w dawnym zawodzie, choćby *sensu largo* (urzędnicy, ciało nauczycielskie, robotnicy, rolnicy)? Jak wygląda rozmieszczenie tej masy? Jaki jest przeciętny dochód, i jakie są oszczędności? Jakie wykształcenie otrzymują dzieci? Ile z nich mówi po polsku? Ile osób zmieniło nazwiska? Jaki jest skład wyznaniowy? Ilu wyjechało za morza i dokąd? Ilu sprowadziło rodziny czy narzeczone z Polski? Ope-rujemy domysłami, fragmentarycznymi danymi, niepewnymi cyframi. Póki tych danych nie będzie, póty można pisać na temat Polonii w Anglii eseje, nie studia.

Polonia w Anglii i we Francji.

Wszelako pewne uogólnienia są możliwe. Gros Polonii we Francji przybyło w czasach, gdy potomkowie „Wielkiej Emigracji” — 8 tysięcy osób tylko! — albo powrócili do Polski, albo zupełnie sfrancuzieli. Emigracja polska we Francji była w 90% chłopska i robotnicza, inteligencji było niezmiernie mało.

Inaczej w Anglii. Procent inteligencji był i jest dużo wyższy, mimo bezspornego faktu, że wśród ponownych emigrantów, tych co z Anglii wynieśli się za morza, do Ameryki, do Kanady, do Australii, do Płd. Afryki, procent inteligencji był specjalnie wysoki. Poziom przybyszów do Anglii był z reguły dużo wyższy, niż tych co przybyli do Francji w latach dwudziestych. W r. 1920 analfabetów było w Polsce wielu, w r. 1939 byli rzadkością, nawet na tych Kresach Wschodnich, które dostarczyły (via Rosja) tak liczny kontyngent uchodźstwa polskiego w Anglii. Ci co przeszli przez wojsko zobaczyli kawał świata, i ich poziom umysłowy w czasie służby wojskowej z reguły bardzo się podniósł. To samo można powiedzieć o tych co „przeszli przez Rosję”: poznali nie tylko „matuszkę-Rosję” i komunizm w praktyce, co ma walory pedagogiczne, ale także wojaże przez Indie, Afrykę, Bliski Wschód otworzyły im na wiele rzeczy oczy, miały wpływ edukacyjny. Najgorzej wyglądają może ci, co przybyli do Anglii bezpośrednio z obozów niemieckich,

które oczywiście dały im tylko okropne wspomnienia, i zupełnie spaczona wyobrażenia o Europie. Ale we wszystkich wypadkach horyzonty polskich przybyszów do Anglii musiały być nierównie szersze od tych, które wyniósł chłopiec z zabitej deski wioski pod Rzeszowem w czasie 36-godzinnej podróży koleją z Mysłowic do Lens czy Béthune. Do tego dodajmy kino i zwłaszcza telewizję, ten pierwszy prawdziwy „uniwersytet powszechny”. Do tego dodajmy dość powszechną znajomość języka angielskiego i prasy angielskiej, co oczywiście rozszerza horyzonty. Do tego dodajmy coraz częstsze wśród Polaków na Wyspie wyjazdy wakacyjne do Polski i na Kontynent europejski. W tych warunkach mówienie o „ciemnej masie”, o „żłobach”, tak ulubione przez niedołączonych i prymitywnych redaktorów źle redagowanych pism i pisemek, którzy pragną wybronić swe spadające nakłady, przez bezmyślnych „pracowników społecznych”, organizujących przenuadne „akademie” i „rocznice, wydaje mi się wyjątkowo nietrafne. Jeśliby wziąć 200-tysięczny przedwojenny Kraków, najkulturalniejsze miasto w Polsce, i 200-tysięczną rzeszę emigracyjną w Anglii, to zapewne poziom tych „Polaków z Anglii” okazałby się na ogół wyższy, niż krakowian przed wojną. W każdym razie Polacy w Anglii są nierównie bardziej oblatani, niż ich rodacy w kraju, w Ameryce czy we Francji. Co zawodzi, to — jak zawsze u nas — elity.

Inteligencja i robotnicy.

Podział klasowy w Polsce w r. 1939 sprowadzał się do podziału na inteligencję i na resztę. Inteligencja — to byli w zasadzie wszyscy ci, co zdali maturę lub, zwłaszcza kobiety, skończyli powiedzmy sześć klas jakichś kursów, i należeli plus minus do grupy pracowników umysłowych, to znaczy siedzieli przy biurkach a nie przy obrabiarkach. To był podział fundamentalny, dokładne odbicie dawnego podziału na „naród szlachecki” i na „hołotę” czy „chamów”. W tej pierwszej kategorii — inteligencji — były dalsze podziały, które przeważnie, zgodnie z naszą mentalnością, były odbiciem raczej przeszłości, niż teraźniejszości, pochodzenia, raczej niż pozycji. Wśród tej inteligencji łatwo było rozróżnić potomków magnatów, ziemiaństwa, rodzin uniwersyteckich, urzędniczych, drobnoszlacheckich, mieszczkańskich, oficerskich, czy nielicznych rodzin pochodzenia chłopskiego, no i naturalnie rodzin żydowskich. Dzisiaj te głębokie bruzdy, rezultaty kolejnych pługów historii, zanikają, ale nie zupełnie: wśród mych rówieśników mogę bez trudu rozróżnić

różne grupy socjalne, łącznie z galicyjskim podśmietaniem, warszawską błagą i litewską romantyczną „bracią szlachecką”, tak samo jak łatwo mogę zgadnąć, kto z naszych emigrantów dawniej walczył z „zalewem żydowskim” (dzisiaj z Niemcami hitlerowskimi), a kto wpatrywał się w siwą maciejówkę (dzisiaj w képi z dwoma gwiazdkami). Obsesje na temat czyhającego wroga czy zbawczego geniusza pozostały bez zmian.

Ale wśród emigrantów poniżej trzydziestki nie ma już rodów historycznych, karmazynów czy półpanków, ani wysokich szarż, ani dostojników, ani milionerów, ani chłopów czy szlachty: są tylko dwie klasy — *lower middle class* i *working class*, drobna burżuazja i robotnicy. Jest kilka wyjątków, ale jest ich tak mało, że to jest bez znaczenia. Ta *lower middle class* chce przejść do *middle class*, ci z *working class* marzą o przejściu do *lover middle class*. To wszystko. Przynależność do *Upper Class* wydaje się olbrzymiej większości prawie niedościgła. Czy jej pragną? Czy do niej tęskną? Chyba rzadko. Polacy wzięli się bezwiednie w tryb życia skromny i oszczędny, uroki *grande vie* angielskiej są dla nich dalekie, niezrozumiałe i mało ponętne, w przeciwieństwie do francuskich, tradycyjnie bliższych. Nieliczni, którzy dostali się do snobistycznego świata angielskiego, poczuli się w nim obco, nieswojo, nudzą się w nim. Może po raz pierwszy w historii snobizm polski, skądinąd bezgraniczny, przestać grać.

Te dwa światy, inteligencji i robotniczy, zwały się w pierwszych latach po wojnie, na tle generalnej polskiej deklasacji. Zwały się? Nie, użyłem czasownika zbyt ostrego. Nie zwały się nigdy, ale się zbliżyły. Teraz, przy pewnej stabilizacji, znowu różnice są silniej zaakcentowane, choć, być może w nowym pokoleniu, urodzonym czy wychowanym w Anglii, znikną zupełnie. Ale w każdym razie, są to dzisiaj jeszcze dwie różne grupy. Niestety, tę grupę czysto robotniczą, bez dyplomów, bez pretensyj do miana inteligenckiej znam mało, zbyt mało, by móc coś więcej o niej powiedzieć.

Zdeklasowanie.

Każda emigracja jest połączona w pierwszej fazie ze zdeklasowaniem. Tak było ze wszystkimi poprzednimi falami emigracji z Polski, choć gdy chodzi o emigrację z 1830 r. trzeba by zrobić poszukiwania archiwalne na ten temat: nie tylko Czarторыscy, Zamoyscy etc. zachowali nadal magnackie fortuny, ale i wśród pomniejszych emigrantów liczba casusów à la Słowacki, to znaczy ludzi żyjących dostatnio z wcale hojnych przeką-

zów pieniężnych z kraju, musiała być dużo większa, niż się na ogół przypuszcza. W każdym razie wydaje się, że wielu emigrantów, jak Niemcewicz, Kniaziewicz, Dwernicki i inni, żyło do śmierci raczej dostatnio, i na biedę się nie skarżyli.

W Anglii ex-żołnierze W.P. (z wyjątkiem inwalidów oraz strzelców z cenzusem, bo tych trzeba zaliczyć do inteligencji), może po pierwszym trudnym, ale za to krótkim z reguły okresie, znaleźli się w sytuacji zdecydowanie lepszej niż przed wojną: zarobki w Anglii, mimo de-koniunktury angielskiej, warunki mieszkaniowe, zaopatrzenie socjalne, służba zdrowia etc. — wszystko to było dużo lepsze, niż w Polsce, zwłaszcza niż na kresach wschodnich. Trudno więc mówić o zdeklasowaniu tej masy: wręcz przeciwnie jej *standing* raczej wzniósł się w górę, choć nadal stanowi w Anglii klasę obywateli drugiego rzędu, i to tę masę polonijną drażni. Ale los inteligencji był nierównie gorszy. Ta inteligencja żyła w lwiej części z Państwa, z pensyj oficerskich, urzędniczych, subwencji, poborów nauczycielskich, zapomóg wszelkiego rodzaju. Wszyscy ci ludzie znaleźli się nagle bez środków do życia, bez żadnych kapitałów, bez oszczędności, bez jakiegokolwiek zaplecza, z dyplomami przeważnie bez wartości pieniężnej na rynku angielskim, z doświadczeniem i rutyną takż bez wartości na rynku pracy w Anglii, ze słabą lub żadną znajomością języka angielskiego. Emigranci polscy znaleźli się ponadto pod obuchem najcięższych zawodów patriotycznych i osobistych: nadzieje zawiodły, sny przysnęły, rzeczywistość polityczna okazała się gorsza, niż najwięksi pesymiści mogli przewidywać. Do tego doszły tragedie osobiste: nadeszły wiadomości o zgonie czy zamordowaniu bliskich, trzeba było też się pogodzić z rozbiciem niejednej rodziny, i to na zawsze. Do tego dochodziły troski o byt i los pozostałych rodzin w kraju: każdy obraz emigracji który by nie uwzględniał kolosalnego wysiłku (głównie w formie paczkowej), robionego latami dla utrzymania przy życiu krewnych w Polsce, czy za linią Curzona, byłby i niepełny, i fałszywy.

Anglicy przysli tej wykolejonej masie z dużą pomocą w formie Korpusu Przysposobienia dla ex-wojskowych i *Interim Treasury Committee* dla ex-urzędników rządu londyńskiego. Gdyby nie ta pomoc, która rozciągnęła się na plus minus trzy lata, los inteligencji polskiej w Anglii przybrałby zapewne dużo tragiczniejsze formy. A tak, te zapomogi pozwoliły na dostosowanie się do nowych warunków, na znalezienie jakiej takiej pracy. Trzeba być wdzięcznym, gdy jest za co. Trzeba podkreślić, że na ogół nasza inteligencja emigracyjna przeżyła ten okres czyśćca nadszodkiewanie dobrze, nawet zaszczynie. Pominę utarte, dzisiaj już od dawna nieaktualne, porównanie z emigracją biało-rosyj-

ską po roku 1918. Nie mam dość danych, by porównać stosunki wśród nas ze stosunkami wśród emigrantów Węgrów, Czechów, Rumunów etc: w każdym razie ilościowo są te wielkości nieporównalne. Ale patrzę co dzień w Paryżu na francuskich *rapatriés* z Algierii, Tunisu, Maroka: z reguły mają oni jakieś środki, często jeszcze rodziców i resztki majątku czy sperand po tamtej stronie Morza Śródziemnego, są wśród swoich, znają język, pokończyli studia, z wyjątkiem nielicznej mniejszości nie utracili żadnych bliskich. A jednak, jakie morze skarg i niezadowolonia! Jakie pretensje do całego świata. I zwłaszcza ile wykończeń! Zapewne, każde uogólnienie, gdy chodzi o milion osób z hakiem, jest ryzykowne, ale ilu wśród tych młodych exulów jest niebieskich ptaków, sutenerów, utrzymanków, wydrwigroszów, hulaków, karciarzy...

Otóż — i możemy z tego być dumni — ilość niebieskich ptaków, oszustów i awanturników wśród naszej emigracji w Anglii była minimalna. Wypadki prostytucji wśród naszych emigrantów, zarówno kobiet, jak — co nierównie gorsze — wśród mężczyzn, zdarzały się, ale były doprawdy wyjątkiem, i bardzo prędko Polonia londyńska pozbyła się tych „lowelasów” i „dziewczynek”: sporo tego wróciło do Polski, inni przenieśli się za morza, rzadziej do Francji, niektórzy (bardzo niewielu) pozostali w Anglii, ale zapadli się w jakieś dziury, pod ziemię: nikt nie zna ich adresów, nikt ich nie widuje, nikt z nich nie zdołał się utrzymać na widowni. To samo można powiedzieć o hulakach, o kartograjach, o awanturnikach: też znikli, albo, w rzadkich wypadkach, usatkowali się i zachowują się skromnie i cicho. Ci i te, co się wżenili w bogate angielskie żony lub (dużo rzadziej) w bogatych angielskich mężów, przeważnie zerwali więzy z resztą Polaków, przynajmniej do chwili rozwodu.

Nadużyć finansowych było więcej niż upadków seksualnych. Było ich jednak mniej, niż głosiła fama. Były bolesne i powszechnie znane wypadki kradzieży, defraudacji mienia publicznego: powiernicy mizernych sum, które władze emigracyjne zdołały uratować, zawieźli je w wielu wypadkach, jako „wiano”, jako „posag” do Warszawy, gdzie spotkało ich w nagrodę tylko zasłużone więzienie. Inni uciekli ze skradzionym groszem publicznym do Francji czy poza Europę. Nazwiska tych wyrodków są powszechnie znane: z niezrozumiałych powodów władze emigracyjne nie ujawniły nigdy ani sum utraconych, ani listy winowajców. Jak zawsze, mania tajemnicy stwarza tylko bajki i plotki, i niszczy zaufanie: ujawnienie całej prawdy byłoby jeszcze dzisiaj najlepszym sposobem walki z zarzutami, wcale rozpowszechnionymi, że emigracja to zmowa, to siuchta, że ręka rękę myje, etc.

Poza wyraźnymi, i na szczęście rzadkimi casusami defraudacji pieniędzy publicznych, były o wiele liczniejsze wypadki złej gestii rozmaitych funduszków społecznych. Naturalnie, w niektórych wypadkach były nadużycia, i to jaskrawe. Lecz z reguły, sądzę, niedobory, bankructwa, sprzedaż wartościowych obiektów za bezcen, bezsensowne inwestycje, fatalne interesy były rezultatem niedoświadczenia oraz błędnych założeń. Założeniem było przeważnie, że dany kapitalik, z reguły maleńki, miał być podstawą egzystencji dla zbyt licznej grupy osób: nadmiar personelu jest stałą chorobą naszego społeczeństwa, trapienego od zawsze nadmierną rozrodczością, a więc nadmiarem rąk do pracy. Przeludnienie u nas było zawsze największe wśród inteligencji, a sytuacja tej inteligencji była właśnie na emigracji stale najgorsza. Jeden domek czy dwa miał utrzymać całą organizację, z nadmiernym i bezsensownym sztabem prezesów, pracowników, maszynistek, woźnych: w gruncie rzeczy wszystkie te „miniatury” były kopiami naszego przedwojennego ZUPU (Zakład Ubezpieczenia Pracowników Umysłowych). Już po paru miesiącach każda z tych instytucji stawała wobec alternatywy: redukcje albo zjadanie kapitału, i zwykle decydowano się na zjadanie kapitału, tylko się to inaczej nazywało: odkładano remonty, zalegano z podatkami, z płaceniem składek ubezpieczenia, z płaceniem pensyj, wreszcie przychodziła plajta, zarzuty, sprzedaż aktywów w panice, niekiedy na złość etc. „Działacze społeczni” byli często ludźmi „ideowo” godnymi podziwu, ale ich znajomość ekonomii, najprostszych zasad gospodarki była nieistniejąca. Ogromna większość tych działaczy nie nadawała się do kierowania jakimkolwiek interesem, i nic dziwnego, że rozmaici aferzyści wykorzystywali tę sytuację. Jak wielkie były straty z powodu defraudacji i złej gestii? Pierwsze były zapewne znacznie mniejsze, choć zasługujące na dużo ostrzejsze potępienie; drugie musiały pójść w miliony funtów. Sam gmach „Białego Orła” na Knightsbridge został sprzedany za grosze, a dzisiaj teren ten, jeden z najdroższych w Londynie, musi być wart krocie.

Podobnie sytuacja przedstawiała się z rzekomymi prywatnymi geniuszami od interesów, którzy wyłudziali oszczędności i kapitaliki od wielu emigrantów, w tym od wielu starszych dam, które sprzedawały biżuterię czy zmobilizowały resztki mienia, by powierzyć je tym aferzystom. Większość tych geszefciarzy — a znałem ich wielu osobiście — to byli ludzie, którzy mieli zamiar honorować swe zobowiązania, ale znowuż nie mieli zielonego pojęcia o interesach. Tak jak kierownicy naszych różnych związków i instytucji nie zdawali sobie sprawy, że ich fundusze nie mogą nigdy starczyć na opłacanie tak licznego personelu, tak prywatni

hochsztaplerzy nie rozumieli, że ich obroty nigdy nie zniosą kosztu procentów, które hojnie obiecywali. 2% miesięcznie, 24% rocznie — to były cyfry, które się wówczas uważało za skromne: rzecz jasna, interes zbudowany na pieniądzach, które miały kosztować po 24% rocznie, musiał trzasnąć przy pierwszej okazji. Tak się też stało. Poza tym aferzyści prowadzili zbyt wystawny tryb życia: podróże, telefony do całego świata, biura, bibki, kontakty, często kartografstwo, gra na wyścigach, na pie-skach, na poolu — wszystko to nie wytrzymywało najprostszej kalkulacji. I znowu trzeba z ulgą skonstatować, że prawie wszyscy ci aferzyści opuścili Londyn i Anglię, i dzisiaj — o ile żyją, bo wielu zmarło z pijaństwa, z dziwkarstwa, a często po prostu z nędzy — już operują pod innymi niebami, i w innej sferze, poza Polakami. Wsiąkli na zawsze, i — *good riddance!*

Tak więc z grubsza emigracja polska w Anglii ma dzisiaj skromną, ale moralnie nienaganną kartę. Warto też specjalnie podkreślić, że o ile politycy i dygnitarze zarówno przedwojenni, jak i emigracyjni, cywilni, jak wojskowi, partyjni, jak obozów rządzących, nie zdali egzaminu, jeżeli chodzi o dalekowzroczność i talenty polityczne, czy choćby finansowe, o tyle ci sami ludzie, a także ich żony, wykazali tradycyjne polskie cnoty w okresie biedy i nieszczęść. Im wyższa była pozycja socjalna poszkodowanych, tym większy stoicyzm wykazywali, zwłaszcza w starszym pokoleniu, w dostosowaniu się do nowych, skromnych, ubogich warunków bytu. Można krytykować politykę czy poglądy różnych wielkości wojskowych i dyplomatycznych, sanacyjnych, endeckich czy socjalistycznych, ale trzeba im wszystkim przyznać godną podziwu wytrzymałość na nędzę, wielki hart ducha w znoszeniu przeciwności losu. Dopiero teraz po 20 latach emigracji, można mówić, że większość tych działaczy potrafiła sobie odbudować skromne podstawy egzystencji: oszczędności, pomoc dorosłych dzieci, i wreszcie odszkodowania niemieckie. Ale nigdy szemrania, nigdy skarg, nigdy naciągania, nigdy żebrania: dla tych wszystkich „polityków” trzeba mieć szacunek. Kłótni dziś nie ma: czasem wybucha jakaś kontrowersja na temat Piłsudskiego czy Dmowskiego, ale i te dwie postacie wydają się zbyt współczesne; zauważam teraz na łamach naszej prasy emigracyjnej żywą polemikę na temat powstania 1863 roku. Millenium pozwoli nam wkrótce pożreć się na temat Bolków i Mieszków: nie wątpię, że ci z nas co dożyją przyszłego roku obu rękami i maszyną do pisania chwycą za tę okazję. Zamiast „potępieńczych swarów” panuje dzisiaj na emigracji w Londynie odwrotna tendencja: do beznadziejnej zgody, do klepania tych samych frazesów, do jednakowej świętej bezmyślności.

Neokapitalizm.

Zdeklasowanie nie jest niczym nowym w dziejach Polski i Polaków, przynajmniej od dwustu lat jest to jedna ze stałych cech socjologicznych naszego społeczeństwa. Ale neo-kapitalizm, powstawanie jeśli nie kapitałów, to przynajmniej pewnych oszczędności, rezerw, zasobów, jest — na stosunkowo tak wielką, tak powszechną skalę — zjawiskiem, jak na polskie środowisko, nowym, więc ciekawym. W Ameryce upłynęło nie 20 lat, ale 40 zanim zaczęły powstawać nowe kapitaliki polskie. Dziś w Francji przeciętny stopień zamożności i oszczędności emigrantów polskich jest na pewno niższy, niż Polaków w Anglii. Gdy Polacy emigrowali do Ameryki, robotnik — a była to bez wyjątku emigracja robotnicza, i to robotników niewykwalifikowanych — był gorzej płatny, nie tylko bezwzględnie, ale i relatywnie: nawet w Ameryce ten robotnik mógł ledwo wiązać koniec z końcem, nie stać go było na oszczędzanie. A gdy, kosztem nieprawdopodobnego samozaparcia ten biedny chłopiec za oceanem oszczędzał, to inwestował niemalże bez wyjątku nie w domek czy w warsztat za oceanem, lecz w kupno ziemi w starym kraju. Stąd dopiero po roku 1920, a więc na dobrą sprawę w drugim pokoleniu powstały w Ameryce jakieś większe kapitaliki polskie. I wobec stopnia kapitalizacji w Ameryce te kapitaliki były grubo mniejsze, także relatywnie, niż odpowiednio oszczędności Polonii w Anglii po 1945 r.

Aferzyści, kasztaniarze, hochsztaplerzy, etc. pobankrutowali. Polak okazał się niezdolny do wyzyskania koniunktury inflacyjnej w Anglii w latach 1945-50, choć zdawałoby się, że po naszych własnych doświadczeniach z marką w latach 1919-1923 powinniśmy dobrze się zorientować w mechanizmie inflacji. Lecz tak nie było. Poza tym w tych pierwszych latach powojennych wszystko co Polacy na Wyspie byli w stanie odłożyć — kosztem niebывałych ofiar, heroicznego zaparcia się — szło do kraju, w formie paczek, jako pomoc dla rodzin. Ile ta pomoc wyniosła, jaką odegrała rolę — tego nikt nie wie, choć odpowiednie studium byłoby możliwe: wszak można by zebrać dane co do wysokości przekazów paczkowych w latach powojennych, ale jak zawsze nikomu się nie chce zbierać danych i badać cyfr. Oprócz paczek trzeba by także uwzględnić koszty sprowadzania rodzin z kraju, czy z Niemiec, czy nawet z Rosji, i trzeba uwzględnić, że te koszty były szalenie wygórowane, bo obejmowały nie tylko koszty przejazdu, ale wyrobienia dokumentów, przerzucenia przez granice i td.

Polski emigrant w Londynie, spędzony na doły drabiny spo-

łecznej, z pewnością wyzyskiwany, słabo znający język, słabo orientujący się w warunkach, mieszkający często w szafasie, w „beczce śmiechu”, często ranny i schorowany, harował więc jak „dzikie zwierzę”, sprowadzał rodziny, lub je utrzymywał paczkami, płodził dzieci, dzieci te wychowywał, potrafił odkładać, oszczędzać. Skłonny jestem sądzić, że dzisiaj przeciętne oszczędności polskiego emigranta ze wszystkich środowisk (z wyjątkiem chorych, inwalidów oraz niektórych specjalnie niezaradnych i upośledzonych inteligentów) wynoszą około dwóch tysięcy funtów na rodzinę. W kołach ex-inteligencji ta przeciętna będzie bliższa pięciu tysięcy. Wśród Anglików „bogactwo” zaczyna się od stu tysięcy funtów; wśród Polaków w Anglii, sądzę, że raczej od 20 tys. £. Tych jest niewiele. Ludzi naprawdę zamożnych można na palcach policzyć, o ile wyłączyć osoby pochodzenia żydowskiego: ale to zupełnie inna kategoria. Przepaść majątkowa między Polakami a „Żydami”, tak katastrofalna w skutkach już w Polsce, nie zatarła się na emigracji, tylko przeciwnie niesłychanie się zaostrzyła.

Są Polacy w Anglii, np. ex-paczkarze, którzy opowiadają bajki o swej fortunie: znam takich co chwala się majątkiem miliona dolarów, czyli 350 tysięcy funtów. Te przechwałki są bez wyjątku komiczne. W każdym razie dla „socjologa” kilka wyjątków nie odgrywa żadnej roli. Z grubsza jednak wolno twierdzić, że Polacy w Anglii dorobili się, i że to jest fakt decydujący dla psychologii i mentalności Polonii angielskiej.

Polska inteligencja, która przybyła do Anglii, żyła w olbrzymiej większości z kasy państwowej, ze służby publicznej. Ci Polacy byli przeważnie „endekami” czy „sanatorami”, to znaczy mieli pewne faszyzujące cechy, ale także tak typowy dla polskiej inteligencji ery międzywojennej ułkon lewicowy, przynajmniej w teorii. Chętnie zezowali na lewo, niekiedy nawet nazywali siebie „socjalistami”, prawili chaotycznie o „reformach społecznych”, krytykowali „kapitalizm”, często odznaczali się niechęcią do dawnych i tradycyjnych klas posiadających, zwłaszcza do ziemiaństwa etc. Wszystkie te naleciałości gruntownie zniknęły w miarę procesu dorabiania się. Zdobywszy ciężką pracą i wyrzeczeniem się wszystkiego, co sięgało poza minimum spartańskiej egzystencji, maleńki kapitalik, Polak okazał się równie przywiązany do własności indywidualnej, co *petit bourgeois* francuski, co członek *lower middle class* angielskiej. Co prawda nasze atawistyczne przywiązanie do ziemi, do kawałka własnego gruntu znikło: nieliczni polscy farmerzy, właściciele czy dzierżawcy, raczej likwidują te gospodarstwa, jakoś nie mogą wżyć się w angielską wieś, nie nabierają sentymentu do angielskiej roli czy do angielskiego bytła lub drobiu. Ten Polak tak szczerze, tak

głęboko, tak romantycznie przywiązany do płachty piasku na Kurpiach, do paru morgów moczarów, bagnisk i olszyny na Polesiu, tutaj w Anglii widzi ziemię, zabudowania, inspekty, łaki, *cottage*, tylko jako interes, ciągle oblicza jego rentowność, bez wahania sprzedaje i przenosi się gdzie indziej, gdy tylko widzi w tym najmniejszy zysk. Natomiast wszystkie atawistyczne uczucia do ziemi Polak w Anglii przeniósł na nieruchomość, na własny domek. To jest jedyna inwestycja, w którą przeciętny Polak wierzy, jedyna posiadłość, którą kocha, dookoła której pracuje z czułością, z oddaniem, z pasją. Spotkałem Polaków w Hull, w Sheffield, w Lancashire, po wszystkich dziurach, którzy z bezgraniczną dumą, ze łzami w oczach oprowadzali mnie po ruderach, po kurnikach, po lepiankach prawie, powtarzając bez końca: to moje, to mój dom. Dla tułaczy własny dom stał się jedynym marzeniem, jedyną przystanią, jedyną pewną kotwicą na wczesnych falach Potopu. Polak w Anglii, który przeżył tyle wędrówek, tyle zawodów, tyle rozczarowań, który się czuje w głębi duszy opuszczony i zdradzony, ten Polak widzi we własnym domu jedyną ostoję starości, jedyne oparcie dla rodziny, jedyne często cel życia, usprawiedliwienie egzystencji. Polacy kochają swe domy, swe ogródki przy tych domach, swe podwórka, swe mieszkanka, mebelki, poddasza. Dbają o nie. Spłacają *mortgage* (hipoteki) punktualnie, często nawet przedwcześnie, byle nie mieć długów. Delektują się tymi domkami, z reguły małymi, na dalekich przedmieściach. Rozmowa o tych domkach sprawia im tyleż radości co dawniej pogawędki o babkach i koligacjach, o Piłsudskim i Dmowskim, o plotkach biurowych. Trzeba by zrobić rodzaj inwentarza, spisu tych domków, obliczyć ich wartość, odjąć od ich wartości zadłużenie hipoteczne i w ten sposób ustalić wartość tego kapitału polskiego w Anglii. Ile są warte te nieruchomości netto? Ilu jest tych szczęśliwych posiadaczy? Znowu nikt nie wie. Ale na pewno ogólna wartość tych nieruchomości wynosi łącznie kilkadziesiąt milionów funtów. Rentowność tego kapitału jest słaba, na pewno nie przekracza pięciu procent rocznie, przeważnie wynosi mniej. Prawda, trzeba by dodać wartość darmowego mieszkania we własnej posiadłości, a to jest niemało. I trzeba uwzględnić zarobek wynikający z przyrostu wartości, więc z akcesu substancji. Mimo wszystko, te domki nie są „złotym interesem”. Za to pewnym. Raz jeszcze okazało się, że Polacy przekładają pewność nad rentowność, nie mają mentalności *businessmen’ów*, tym mniej spekulantów. Raczej ciułaczy. W porównaniu z mentalnością naszej inteligencji w roku 1939 zmiana jest w każdym razie kolosalna.

Oprócz domków Polacy w Anglii mają z reguły jakieś re-

zerwy pieniężne, w banku czy w Savings Bank (Kasie Oszczędności), często mają też książkę czekową. W każdym razie życie z dnia na dzień, pożyczki (Boyowskie „Pożycz mi koronę, tak jak gdzie indziej mówi się *Bonjour!*”) — to wszystko znikło. Więcej: stało się z uznanej, nawet rzekomo wytwornej formy życia formą upokarzającą. Byłem niedawno w londyńskim Ognisku, spotkałem tam dawnego znajomego, którego znam niewiele, ale od 40 lat; po drodze się z nim przywitałem, zresztą ograniczając się do uścisku ręki. Mój gospodarz patrzył na mnie ze zgorzleniem. — „Czego się witasz z tym draniem?” syknął. „Dlaczego draniem? odparłem. Zawsze był głupi, to prawda, ale nic nigdy złego, o ile mi wiadomo, nie zrobił”. „No, a to, że ciągle pożycza, to nic?” „Pożycza? powtórzyłem. Ale czy oddaje?” „No, tak, oddaje, bąknął mój *bôte*, ale co to za maniery ciągle pożyczać, kto to robi?”. Otóż taka uwaga nikomu by nie przyszła do głowy w Warszawie w barze Hotelu Europejskiego w roku 1939, ani w Białym Orle w Londynie w roku 1945. Wówczas wszyscy pożyczali od rana do wieczora, i mówiono o tych pożyczających facetach, że są „weseli”, „zabawni”, „dobrzy kompani”, a na tych co nie pożyczali, co żyli skromnie i nie rzucali się patrzano krzywo, z pogardą, mówiono, że są „sknerami”, że to „nudziarze”. Przeżyliśmy prawdziwą rewolucję obyczajową.

Inteligent polski, może Polak w ogóle, był przyzwyczajony do myśli, że jego przywódcy, jego „wodzowie”, są ludźmi bez grosza, za to „ideowymi”, i że trzeba ich utrzymywać. Pamiętam, jak jeszcze w 1950 roku, mówił mi w Paryżu jeden z największych tuzów emigracyjnych o swym partyjnym koledze: „On nie ma na obiad”. I było to powiedziane tonem uznania, podziwu: któż może zasługiwać na większe zaufanie, niż działacz polityczny, który nie ma na obiad! To się też zmienia. Brać emigracyjna w Londynie, zamiast szacunku, żywi raczej pewną nieufność do działaczy, społecznych i politycznych, którzy nie są osobiście zabezpieczeni, którzy żyją ze składek partyjnych czy skarbu narodowego. Póki chodzi o skromne zaopatrzenie kilku starców, to te procedury jeszcze ujdą, ale już następne pokolenie polityków emigracyjnych, pisarzy, publicystów, działaczy społecznych nie może na żadne zasiłki liczyć: do polityki trzeba będzie mieć niezależność materialną i tylko na własne środki liczyć.

Starsze pokolenie emigrantów, to po pięćdziesiątce, zachowało obok lojalności wojskowych, także lojalność wobec swych dawnych organizacji, swych dawnych sztabów partyjnych. Są to jednak sprawy raczej sentymentów, niż poglądów. Same poglądy poszły na prawo. Radykalne reformy wywołują w przecięt-

nym Polaku raczej lęk i nieufność: a nuż domek, a nuż oszczędności zostaną zagrożone? Zapewne, każdy emigrant uważa, że leczenie powinno być bezpłatne, i jak najbardziej rozszerzone, zapewne liczy jak najbardziej na stypendia dla swych dzieci. Ale jeśli chodzi o zaopatrzenie emerytalne, ma do niego, do rent starczych tylko bardzo ograniczone zaufanie, woli liczyć na swoje żelazne rezerwy: domek, konto, ew. warsztat pracy, sklepik, biuro pośrednictwa w handlu nieruchomościami czy remontu domów, reparacje maszyn do pisania, etc. W swej większości inteligencja emigracyjna była w roku 1945 antykonserwatywna. Dzisiaj jest bardziej konserwatywna, niż socjalistyczna, bardziej liberalna niż socjalistyczna. Dawne partie, dawne obozy reprezentują każdego z nas dość dokładnie, jakim BYŁ w r. 1939, a nie takim jakim JEST dzisiaj.

Inteligencja polska w przededniu wojny była przeważnie katolicka tylko z imienia. Przeżerał ją indyferentyzm, często religijność była utożsamiana z wstecznictwem, snobizmem, reakcją, obskurantyzmem. Ale na emigracji emigranci przekonali się, że jeżeli na kogo mogą jeszcze w Anglii liczyć, to na katolików. Stare instynkty kazały im szukać dla dzieci szkół katolickich, i to angielskich. Te dzieci, zwłaszcza córki, wychowane w atmosferze klerykalizmu, o którym w Polsce nie mieliśmy pojęcia, terroryzują rodziców i dziadków. Źle by się wybrał, kto by dzisiaj propagował wśród emigrantów dowcipy antyklerykalne, tłuste, sprośne. Źle by się wybrał, kto by spróbował popisywać się niedowiarstwem, czy wyśmiewać się z duchowieństwa. Poza pewnymi rodzinami ziemiaństwa i mieszczaństwa, nigdy nie widziałem wśród inteligencji polskiej tyle klerykalizmu, tyle bigoterii, co obecnie. Gdyby nasze duchowieństwo emigracyjne potrafiło sobie wychować więcej księży z inteligencji, mogłoby mieć kolosalny wpływ na całą emigrację, wpływ którego nie miało od czasów OO. Jełowickiego i Kajsiewicza.

Stosunek do kraju.

Od tzw. Października zaszła duża zmiana w stosunku do kraju w nastawieniach emigrantów w Anglii. Na tę zmianę pisma ani też stronnictwa emigracyjne nie miały i nie mają najmniejszego wpływu. Zmiany te są rezultatem przyjazdów krewnych z Polski, i jeszcze bardziej wizyt w kraju. Nie ma prawie nikogo, w każdym razie wśród inteligencji londyńskiej, kto by albo sam Polski nie odwiedził (często kilka razy), albo nie miał gości z kraju, bliskich krewnych lub przyjaciół, lub kto by nie słyszał odpowiednich relacji od najbliższych znajomych. Z Że-

laznego Wilka kraj stał się czymś doskonale znanym, ocenianym bez uprzedzeń, ale i bez złudzeń.

Gdyby ten egzamin kraju wypadł korzystnie, to by ilość powrotów do Polski była olbrzymia, zwłaszcza wśród starszego pokolenia. Ludzie po pięćdziesiątce na ogół się do Anglii nie przywiązali, tęsknią do kraju, do rodzin, cierpią nad rozłąką, nie wierzą w żadną karierę w Anglii. A jednak powrotów jest minimalnie. Wracają niemal wyłącznie inwalidzi, samotni starcy, samotne wdowy, — słowem ludzie, którzy nie mają się gdzie podziąć i którzy jadą umrzeć u dzieci czy wnuków w Polsce. Ale wszyscy ci, co mają jakie takie zdrowie, co mają dzieci w szkołach angielskich, wracają z wakacji z kraju bardziej zdecydowani niż kiedykolwiek, że powrót się nie opłaca, że byłby dla nich szaleństwem, a dla dzieci krzywdą. 'Jaka tam przyszłość?' słyszy się zewsząd, i to nawet od kobiet, które nigdy się nie nauczyły po angielsku. Polak i jego żona uważają, że w kraju bezpieczeństwo osobiste jest bardzo niepewne, że wszystkie tak zwane zmiany na lepsze wiszą na włosku. Policji się boją, uważają ją za złądzaczoną i niegodną zaufania. Partia napełnia ich niewymowną odrazą. Warunki wydają im się fatalne. Elita rządząca wzbudza wśród nich antypatię i nieufność. Ustrój gospodarczy wydaje im się nonsensem. Szkoły wydają im się opłakane, a programy szkolne skandaliczne. Pobyt w Polsce jest najlepszą kuracją na tęsknotę, na narzekania, na skargi na Anglię. Ludzie, którzy przedtem wiecznie grozili „powrotem do kraju” po wizycie w Polsce jak najprędzej przyjmują obywatelstwo angielskie, by wszelkie złe myśli i złe duchy raz na zawsze odpędzić. I mam wrażenie, że póki nie zmieni się w Polsce ustrój komunistyczny, póty o powrocie Polaków z Anglii nie może być mowy. Wakacje — tak, powrót — nie. Wśród dzieci i młodzieży, którzy jeżdżą do Polski, już skłonność do wakacyj w Polsce jest niezbyt wielka, a skłonność do osiedlania się tam, do rezygnacji ze szkoły angielskiej, z kariery w Anglii jest równa zeru.

Inny ważny szczegół: pożycie rodzinne w inteligencji polskiej było w Polsce przedwojennej często złe. Rozwody były względnie częste, kontredans amatorów był nieustanny. Znowuż kolosalna zmiana. Bieda, wygnanie, walka o byt uprzytomniły wszystkim wartość dobrego zgodnego małżeństwa. Żony normalnie pracują, ciężko pracują: kupno domu, gospodarstwo domowe jest bez żony utrudnione, często niemożliwe. Po okresie burzliwych rozstań i wielkich amatorów zaraz po wojnie wybiła dla olbrzymiej większości inteligencji polskiej godzina wierności małżeńskiej, domatorstwa, wspólnego oglądania telewizji, wyjazdu na niedzielę całą rodziną samochodem pod miasto. Roz-

wodnicy tak samo jak i hochsztaplerzy od dawna już opuścili polski Londyn. Ci co zostali opuszczeni przez żony, marzą tylko o nowych związkach małżeńskich. I to z Polkami czy z Polakami. Małżeństwa polsko-angielskie są z reguły nieudane, nie dają ani Polakom, ani Polkom tego ciepła, tego sentymentu, którego potrzebują. Gdyby więcej Polek przybywało z kraju, prawie wszyscy nasi staruszkowie, by się z nimi poženili, inni by się rozwiedli z Angielkami, których mają przeważnie po uszy. Na terenie małżeńskim stosunki polsko-angielskie skończyły się takim samym *Shipwreck*, co na terenie politycznym.

Stosunki z Anglikami.

Stosunki z Anglikami, i stosunek do Anglii były oparte na fikcji, na nieznajomości. Dzisiaj iluzje prysły. Nikt prawie z Polaków nie wierzy w przyjaźń polsko-angielską. Nikt też nie robi sobie złudzeń na temat „propagandy” wśród Anglików, złudzeń tak powszechnych w 1945 roku. Sympatyj do Anglii jest mało, sentymentu jeszcze mniej. Stosunków towarzyskich, przyjacielskich, nawet erotycznych jest też niewiele: obie *communities* właściwie ignorują się, prawie się o siebie nie ocierają. Mimo tego nastąpiło wybitne zangielszczenie naszej emigracji w Anglii. Poza bardzo nielicznym ośrodkiem *Vieux Polonais*, który pracuje w polskich firmach, pisuje do polskich gazet, interesuje się polską „polityką”, kręci się po polskich lokalach z Ogniskiem na czele, reszta, to znaczy 99%, musi się stykać z Anglikami w życiu codziennym, w pracy, w bussinesie. Wielu ludzi przyzwyczało się do form angielskich: nikt głośno nie mówi, całowanie się z dubeltówki ustało, także całowanie pań w rękę, sprawy nie są stawiane kanciasto, *tea* stało się ulubionym trunkiem, i to naturalnie z mlekiem, nie cytryną, parasol stał się namiastką szabli, kalosze znikły, wielu gra regularnie na poolu, wielu czyta „Daily Express” i „Daily Mirror”, wielu nawet zagustowało w angielskiej pogodzie, słońcu, deszczu, mgie i roztopach. Angielskie słówka wżarły się w polską konwersację: nawet w Paryżu piękne polskie damy, które w Anglii nigdy nie były, pod wpływem znajomych Polaków z Wyspy, płynnie cytują *nervous breakdown* czy *slip disc* zamiast bardziej gallijskich wyrażeń. Wszelka zbyt gwałtowna krytyka Anglii jest przyjmowana z niesmakiem. Pewne urazy angielskie, np. na temat Francji, stały się wcale powszechne, i liczba osób, które *genuinely* polubiły *cup of tea*, *cornflakes*, *bacon*, *fried eggs*, *scones*, *toasty*, marmeladę i inni przysmaki wzrasta ciągle. Pasja do pie-sków, do wyścigów zmaląa, ale za to telewizja angielska szeroko

wkroczyła do polskich domów, Marks and Spencer dawno wyparł wspomnienia Hersego i Braci Jabłkowskich. Nie brak nawet ludzi, którzy głoszą, że Walia jest piękniejsza od Rivieri, a Szkocja od Alp, ale to jednak jeszcze mniejszość. Z reguły Polacy londyńscy zachowali predylekcję do krajów łacińskich, do Południa, do baroku i do Morza Śródziemnego. Ale Paryż nęci ich mniej niż dawniej, i choć polskie dziewczyny w Anglii w szkołach nadal specjalizują się często w nauce francuskiego, znajomość języka Gallów przestała odgrywać wśród Polaków w Anglii rolę tradycyjnego polskiego ekwiwalentu Oxford czy raczej *Public School Accent*, polskiej karty wstępu do wyższych regionów towarzyskich (może dla tego, że tych regionów już nie ma). *King's English* normalnie Polakom wystarcza. Zresztą snobowanie się na Anglików jest też dzisiaj wśród Polaków dużo mniejsze, niż przed wojną w MSZecie a po wojnie w Białym Orle. Polacy się do Anglików nie pchają, czują ich niechęć, źle znoszą ich nudę, i dali spokój.

Nowe pokolenie.

Obok tego starszego pokolenia, które dożywa wieku, na arenę występuje nowe pokolenie, wychowane w Anglii. Granica podziału, to 45-y rok życia. Ci co tę granicę przekroczyli, są wciąż mentalnie dziećmi przedwojnia: wrzesień, wojna, okupacja, nawet Piłsudski i Dmowski nadal są dla nich najważniejszymi etapami na drodze życiowej. Tadzio Nowakowski jest kandydatem na ostatniego Mohikanina emigracji z 1939 roku: wszystko co jest po nim, utalentowany Hłasko czy redaktorzy „Konturów” w „Dzienniku Polskim” — to już inny świat, obracający się w innych kategoriach. To nowe pokolenie jest wielką enigmą: mam wrażenie, że sami rodzice go nie znają. Podkreślałem trzy momenty, zaznaczając, że jest ich o wiele więcej: jeżeli je pomijam, to dlatego, że ich nie znam, a nie znam, bo ci młodzi nie znaleźli dotąd żadnego rzecznika, nie wydali ani jednego pisarza, ani jednego publicysty.

Otóż po pierwsze, to nowe pokolenie nie wsiąknęło w życie i środowisko angielskie w stopniu, który grozi młodej inteligencji pochodzenia polskiego we Francji. Z domu rodzinnego wynieśli inne tradycje i więcej dumy narodowej: syn polskiego generała może być ożeniony z Angielką, może sam być zawodowym brytyjskim oficerem, ale będzie raczej podkreślał, niż zatajał swe polskie pochodzenie. Ale jest i wzgląd drugi, ważniejszy, powszechniejszy. Któregoś pięknego dnia ubiegłej jesieni spotkałem na tarasie kawiarenki w Paryżu młodą dziewczynę

czynę i młodego chłopaka: oboje mieli po lat 20, nie więcej. Mówili z sobą cały czas po polsku, źle, z błędami, z okropnym angielskim akcentem, ale mówili wyłącznie po polsku, i to choć widać było, że znali się mało, używali zwrotów per Pan i Pani. Tak byłem zdziwiony, że nie mówili między sobą po angielsku, choć było widoczne, że język ten znali dużo lepiej, niż polski, iż rozpocząłem z nimi pogawędkę. Okazało się, że ona jest studentką uniwersytetu londyńskiego, urodzoną w Anglii, on technikiem telewizji, już od dziecka w Anglii wychowanym. Zapytałem dla czego mówią ze sobą po polsku, a nie po angielsku. Na to oboje zawołali: 'Bo Anglicy nas tak nie lubią, i tak się ciągle na nas boczą, że i my chcemy się od nich odróżniać'. Otóż to. Anglicy swym podświadomym, milczącym, ale nieprawdopodobnym rasizmem utrzymają polskie getto przynajmniej przez jeszcze jedno pokolenie, podczas gdy Francuz nie jest rasistą, miesza się z Polakami: stąd pokolenie urodzone we Francji stanie się w 90% francuskie.

Po wtóre, o ile starsze pokolenie emigracyjne w olbrzymiej większości nie posiada kwalifikacji technicznych, o tyle cała ta młodzież dąży do specjalizacji: *sciences*, technika, czasem medycyna, czasem kariera pedagogiczna lub urzędnicza — oto co tę młodzież omal bez wyjątku pociąga. Ta młodzież sama boleśnie odczuła brak fachowych kwalifikacji swych rodziców, którzy musieli się parać pracą fizyczną, by nie utonąć, i za nic nie chce ryzykować podobnej sytuacji. Stroni od polityki, od dziennikarstwa, od nauki prawa, od literatury, od malarstwa, od tradycyjnych polskich specjalności. Stąd to nowe pokolenie może dać niezłych techników, niezłych fachowców. Czy wybitnych? To się dopiero okaże. Ale leaderów, ale polityków, ale pisarzy, ale choćby publicystów? Wątpię.

Niestety, to nowe pokolenie nie ma żadnego drygu do businessu. Nie widzę amatorów na handlowców, przemysłowców, bankierów, eksporterów czy specjalistów od organizacji pracy. Widzę dużo marzeń o typie urzędniczym: być może kariera urzędnika w prywatnym koncernie wielu się bardziej uśmiecha, niż w urzędzie państwowym, ale zawsze chodzi o pewność, o stałość pracy w pierwszym rządzie. Prawda, atmosfera w Anglii temu sprzyja. Ale kontrast między Polakami a Żydami z Polski jest jednak uderzający. Żydzi w Anglii, starsi i młodszy, rzucają się w wir interesów, polityki, reklamy, zawsze są gotowi ryzykować. Młody Polak w Anglii, tak samo jak i jego ojciec, nade wszystko żadnego ryzyka nie znosi. Boi się go. Unika zajęcia stanowiska w każdej sprawie, stał się milczący, ostrożność stała się jego drugą naturą. Przyszła Polska, niekomunistyczna, będzie mogła znaleźć wśród polskiej emigracji w

Anglii sporo dobrych inżynierów, wielu dobrych urzędników, wielu dobrych nauczycieli, ale nie kandydatów na przemysłowców, na businessmenów. Obawiam się, że nawet kandydatów na kierowników upaństwowionych przedsiębiorstw trudno będzie znaleźć wśród tych młodych ludzi, którzy dzisiaj kończą studia w Anglii. To wielki brak. Inżynierowie i handlowcy polscy w Rosji sprzed 1914 r. byli moim zdaniem, ludźmi o lepszych kwalifikacjach a o większym formacie. *C'est une émigration de petites gens*. Choćby nosili historyczne nazwiska.

Wreszcie w tym młodszym pokoleniu nie widzę absolutnie nikogo, kto by się nadawał do objęcia kierownictwa *Establishment*, w dniu, w którym obecni leaderzy wymrą. Obecne ośrodki dyspozycyjne rekrutują się wyłącznie z kół, które miały taką czy inną pozycję przed wojną, względnie w czasie wojny: więc *eo ipso* są to grona zamknięte, bez następców, bez „narybku”. Nasza historia dziwnie się powtarza: mamy (mimo rozrodczości) bezpłodność polityczną narodu mułów. Wielka Emigracja wymarła na gen. Zamoyskim, i nie miała spadkobiercy, bo Stańczycy postawili na Wiedeń, nie na Paryż. Stańczycy, tak potężni, tak świetli, tak związani z kołami uniwersyteckimi, też znikli bezpotomnie: w gruncie rzeczy jestem ostatnim ich uczniem i epigonem. Piłsudscy, Sanacja? Już przed wojną chcieli adoptować Bol. Piaseckiego, by się bronić przed bezdzietnością. Nikogo nie obrażę, gdy powiem, że Narodowcy i Socjaliści nie mają żadnej młodzieży, tym bardziej oczywiście Piłsudscy, którzy są stronnictwem siedemdziesięcioletków.

Z prób partyjnych najciekawszą była niewątpliwie próba NID'u: była to w gruncie rzeczy próba stworzenia organizacji politycznej na podstawie innej, niż „gwiazdek”, czyli rang cywilnych i wojskowych, zdobytych w okresie przedwojennym, była to próba stworzenia hierarchii innej niż przedwojenna, innej niż wysługa lat czy piastowanych w zamierzchłych czasach dostojęństw. I ta próba zupełnie się nie udała. Życie polityczne na emigracji jest zbyt wątłe, zbyt anemiczne i zbyt teoretyczne, by mogło wytworzyć jakąś skalę wartości, by ktoś mógł się w tym życiu naprawdę wybić: więc już lepiej pozostać przy *cur-sus honorum*. NID wie dzie dzisiaj w Londynie i w Anglii żywot równie suchotniczy, co młoda Endecja i młoda PPS, i wyjazd jego twórcy i inicjatora jest jakby oficjalnym przyznaniem się do klęski tych usiłowań.

Nie widzę, jak mogą się nowi leaderzy *Establishment* wyłonić. Nasze linie podziału na emigracji ciągną się dookoła ludzi, nie programów. Różnice, zwane ideologicznymi, dotyczą przeszłości, nie teraźniejszości: Rok 1926, Rok 1939, Jałta, Hitler, w

mniejszym stopniu Stalin — oto tematy beznadziejnej pseudo-publicystyki emigracji. Dawni zyletkarze popisują się dzisiaj dla zmiany filosemityzmem i rasizmem antyniemieckim, dawni Żydzi przybierają sukmany, czy nawet kontusze: i na tle tego wyścigu zakłamania i samodurstwa nie tylko nie może być żadnej poważnej dyskusji, ale nawet żadnego przyzwoitego informowania opinii. Proste zwrócenie uwagi, że istnieją dzisiaj tylko trzy wielkie potencje ekonomiczne — Ameryka, NRF i Japonia (w tym właśnie porządku) — wystarcza już, by na głowę autora ściągnąć potok obelg i zarzutów „germanofilstwa” ze strony prymitywnych i histerycznych babuleniek i ich Don Kiszotów. Proste zastanowienie się, czy następcy Chruszczowa nie spróbują znowu umizgów do Bonn (tak zgodnych z tradycją czynowników rosyjskich, a przecież obecny rząd sowiecki jest rządem „sannowników” i „czynowników”) już ściga na głowę śmiałka wszelkie przekleństwa. Proste stwierdzenie, że jedna uwaga w czasie jednej konferencji prasowej nie stanowi żadnego „uznania”, żadnej gwarancji, że w ogóle nie ma cienia znaczenia prawnego, już wystarcza, by „winowajcę” oddać (symbolicznie) pod sąd skrupkowy.

Jak może elita polityczna, która nie tylko sama nie dyskutuje aktualnych problemów politycznych, ale która panicznie obawia się wszelkiej takiej dyskusji, która poza tym marnuje czas na lepienie rozbitych garnków, ale rozbitych Bóg wie jak dawno, doczekać się żywotnych następców, *une descendance vigoureuse*? Jak może oczekiwać, że jej gierki, intryżki, grymasy, *hochspiele* mogą zdobyć jej szacunek, uznanie i kontynuatorów? Jak ludzie, którzy nie są w stanie wydawać choćby dobrego pisma, którzy nie są w stanie zapewnić choćby poprawnej polszczyzny, choćby uczciwej informacji, mogą przypuszczać, że zdobędą wpływ i pozycję? Czyż liczba trupów prasowych nie wystarcza, by zmusić przypadkowych monopolistów do jakiegoś rachunku sumienia?

Nie bardzo wierzę, by można było gdziekolwiek używać uczciwie wyrazów: cały naród, całe społeczeństwo itd. Każdy demagog, każdy dyktator tych słów używa, a potem zawsze się okazuje, że tej jednomyślności (poza latami wojny) nigdy i nigdzie nie było. Słusznie odmawiamy Gomułce prawa do przemawiania w imieniu narodu polskiego, a dlaczego pozwalamy na to paru arogantom na emigracji?

Znaczenie i zadanie emigracji.

Nie wierzę, by emigracja mogła wpłynąć na przebieg wypad-

ków w Polsce: niestety, nawet sami Polacy w kraju mają na ten przebieg wpływ niewielki, bo „utrata niepodległości” nie jest frazesem, jest bolesną prawdą.

To co się stało streszcza się do jednego punktu: Polskę wyrzucano z Europy. Naród polski chce do Europy wrócić, chce, pomimo wszystkich trudności, związku z Europą utrzymać. Tutaj możemy i musimy mu pomóc. Jak? Zależnie od sytuacji, od koniunktury, środki powinny się zmieniać, i to gwałtownie, i to radykalnie. Być może będzie kiedyś pole dla akcji politycznej czy dyplomatycznej, i na tę ewentualność trzeba być przygotowanym, ale źle służy przyszłości, kto dzisiaj wysuwa postulaty czysto pozorne, fikcyjne, które w niczym realiów naszej sytuacji nie zmieniają. Nie wierzę w propagandę, jako namiastkę dyplomacji.

Ale poza propagandą, poza „polityką”, partyjną czy „za-graniczną”, poza kadrylem wewnętrznych „porozumień”, „napieć” czy „walk o władzę”, poza tymi jałowymi i nudnymi zabawami jest olbrzymie pole dla konkretnych poczynań. Możemy — a jak piszę możemy to rozumiem 'powinniśmy' — stworzyć kadry fachowców dla Polski, która będzie z powrotem europejska: bo w innej, komunistycznej czy reakcyjnej w wydaniu czarnej sotni, ani my, ani nasi następcy nigdy nie znajdą miejsca: mogą tam powrócić tylko niewolnicy. Możemy ułatwiać i wszelkimi siłami popierać emigrację z Polski na Zachód, do wszystkich krajów na Zachód od Żelaznej Kurtyny: ten przypływ nowych ludzi, jest warunkiem zachowania przez nas polskiego oblicza. Powinniśmy niewątpliwie Polskę odwiedzać i wysyłać tam nasze dzieci na wakacje: obawy, że się tam „skomunizują” należy włożyć do bajek. Przeciwnie pobyt w Polsce jest zawsze najlepszą odtrutką na komunizm. Musimy świecić przykładem: musimy mieć absolutną wolność prasy na Zachodzie, bez cienia narzuconej „linii”, bez żadnego „nadzoru”, bo tylko wolnością możemy zdobyć szacunek i uzyskać wpływ na opinię krajową. Możemy uzyskać wpływ na Polskę i w Polsce, dając jej dowody, że potrafiliśmy sobie zdobyć zagranicą silną i potężną pozycję materialną, że z nizin społecznych potrafiliśmy się wydzwignąć do warstw bardziej zamożnych. Nasza epoka jest epoką materialistyczną: tak jak dawniej ludziom imponowały pałace królewskie i genealogie wielkich rodów, tak dzisiaj ludzkość jest wrażliwa na ogólną wysoką stopę życiową. Gdyby u Gomułki Polacy lepiej żyli, teżbyśmy zmienili nasze zdanie o jego rządach: to samo się odnosi i do emigracji w Londynie czy w Paryżu. Polacy z kraju, którzy wydostają się na Zachód, na krótko czy na stałe, boleśnie odczuwają widok polskiej nędzy, mają pewien dreszczyk dumy i nadziei, gdy spotykają Polaków zamożnych,

oblatanych, mówiących świetnie językiem danego kraju, a jednocześnie cywilizowanych, zachodnich w sposobie bycia, ogładzonych i mówiących nadal bezbłędnie po polsku. Rzecz jasna, jeżeli znajdą się polscy milionerzy, wielcy polscy businessmen, czy powszechnie znani jako artyści, uczeni, pisarze czy aktorzy, czy ekonomiści, będzie to jeszcze lepiej.

Przyszły *Establishment* będzie się składał z ludzi, którzy się dorobili, a więc z ludzi oszczędnych, konserwatywnie usposobionych, umiarkowanych, dalekich od romantycznych uniesień i przesady, ale także od grania na nienawiści do naszych sąsiadów. Wodzem emigracji włoskiej w Ameryce stał się Amedeo Giannini, który był twórcą Bank of America, jednego z największych banków w Stanach Zjednoczonych. Wodzem emigracji włoskiej w Anglii jest Carlo Forte, właściciel wielkiej sieci restauracji i barów w całej Anglii, znanej jako Forte's, król *catering*u (przemysłu gastronomicznego) na Wielką Brytanię. Ten Forte stał się też potentatem importu włoskiej żywności do Anglii, włoskiego wina, włoskiej kuchni, włoskich kelnerów, włoskich restauracyj, a teraz został nawet prezesem filii brytyjskiej włoskiego koncernu naftowego, stworzonego przez nieboszczyka Enrico Mattei. Włosi w Anglii nie potrzebują Chadecji ani partii Saragata, ani Liberalów, ani partii Nenniego, i oczywiście odwracają się gremialnie od komunistów. Włosi potrzebują Forte'go: Włosi, którzy mieszkają w Anglii, i Włosi zamieszkali we Włoszech. Forte ma wpływ i w Anglii i w Rzymie, tak jak niedawno zmarły w Paryżu Pigozzi, prezes Simca, miał go i w Turynie, i we Francji. Następcami naszego dzisiejszego wojskowo-partyjnego *Establishment*'u w Anglii będą polscy Forte i polscy Giannini, o ile się zrodzą. Jeżeli się nie zjawią, to *Establishment* zaginie, tak jak zaginęła Wielka Emigracja. Tylko bogaci, tylko elity mogą *à la longue* zachować dwujęzyczność, bilingwizm, który jest podstawą narodowej świadomości każdej emigracji, i który jest wielkim i bardzo kosztownym luksusem.

W. A. ZBYSZEWSKI

Wulkan północy

Osiada powoli kurz literacki pierwszych trzech dekad prozy angielskiej dwudziestego wieku i zaczynamy ogarniać wzrokiem cały ten masyw talentów, coraz ostrzej widzieć pojedyncze góry. Niektóre, jak np. Wirginia Woolf, rozczarowują dzisiaj zupełnie, wydają się małymi, łatwymi pagórkami. Inne, jak Wells, Bennet czy dramaturg Shaw, góry kiedyś niebotyczne, garbieją nagle na czystym powietrzu, tracą wzrost. Prozę angielską dwudziestego wieku dominują — to widać absolutnie jasno — trzy wielkie szczyty: Conrad, Joyce, Lawrence. Nie ma się co spierać, który z nich wyższy. Powiedzmy, że o ile dwa pierwsze bardziej trwożą, to każdy praktykujący chrześcijanin może się w końcu na nie wdrzeć i na nich zająć. Lawrence, nie tak majestatyczny, mniej nęci na intelektualne wspinaczki, ćwiczenie moralnego mięśnia. Zresztą nie trzeba się wspinać. Ta góra sama schodzi do nas — ogniem. I nie są to tylko czcze przenośnie. Z okolic Lawrence'a bowiem pochodzą najczęściej periodyczne trzęsienia ziemi i przesunięcia ewaluacyjne w krajobrazie współczesnej literatury angielskiej.

Trzydzieści pięć lat minęło w marcu br. od śmierci tego wielkiego pisarza, którego życie i twórczość wprost napraszają się o polską biografię, o przekłady. Co o nim wiemy?

Dawid Herbert Lawrence urodził się w roku 1885 w Eastham, ponurym osiedlu górniczym koło Nottingham w Środkowej Anglii. Ojciec jego zaczął pracować w kopalni już od 7 roku swego życia. Był to za młodu wesoły, przystojny mężczyzna, któremu udało się ożenić trochę „ponad sobą”. Ten prawie że analfabeta, cały stworzony do bez troskiego, zmysłowego życia, podbija serce purytańskiej, nabitej dobrymi, drobnomieszczańskimi zasadami i w książkach zakochanej nauczycielki. Idylla też nie trwa długo. Pożycie tej źle dobranej pary staje się z roku na rok coraz bardziej burzliwe, przeobraża się wreszcie w otwartą wojnę, w którą wciągnięte zostają też dzieci i którą kończy dopiero śmierć matki w wiele lat później.

Nic tak fatalnie nie zaciążyło na osobowości przyszłego pisarza, który był czwartym ich dzieckiem, jak to piekło domowe między rodzicami. Z jednej strony zimny, wzgardliwy upór matki, z drugiej wyziewy trunkowe i częste, nieraz kończące się rękoczynami wybuchy wściekłości ojca. Matka zupełnie poświęca się dzieciom, szczególnie wrażliwemu, chorowitemu Dawidowi, którego duszę wie jak opanować i zatruć własną nienawiścią do męża, „zwykłego, ordynarnego robociarza”. Przeżycia tych lat prześladową Lawrence’a do końca, wracają raz po raz w motywach powieści, w obsesjach życiowych, uniemożliwiają mu nawiązanie normalnych stosunków przyjacielskich z innymi mężczyznami, deformują jego charakter, nawet wyobraźnię.

Już w szkole powszechnej przyszyły autor okazuje niezwykle zdolności i w konkursowych egzaminach łatwo zdobywa stypendium państwowe do szkoły średniej w Nottingham, którą jednak opuszcza przed ukończeniem aby zarabiać na życie jako subiekt sklepowy. Później nieco dostaje się na kurs nauczycielski na uniwersytecie w Nottingham, który kończy. Naucza przez szereg lat w szkole średniej w Londynie, ogłasza kilka obiecujących, choć nie rewelacyjnych wierszy, nawiązuje sporo znajomości wśród młodszych literatów londyńskich, przeżywa kilka typowo po lawrence’owsku „głębiowych” miłostek, zapada na ciężkie zapalenie płuc, na które mało co nie umiera. Bardziej uważni wśród jego znajomych spodziewają się po nim wielkich rzeczy. Niepokoi i fascynuje ich ten do białości rozpalony mistyk-sensualista. Zaczyna się o nim legenda — chociaż, jak dotychczas, cały jego dorobek literacki składa się z kilku zaledwie wierszy.

W dwudziestym szóstym roku życia Lawrence publikuje swą pierwszą powieść pt. „Biały Paw”, która zostaje przyjęta z uznaniem przez postępową krytykę. Wnet następuje druga powieść „Intruz”, a w rok potem „Syn i Kochanek”, do dziś dnia jedna z najlepszych i najbardziej wpływowych powieści w języku angielskim. Jest to książka prawie że autobiograficzna, wstrząsający dokument z życia autora, ponure malowidło obyczajowe sekte środkowo-angielskich dziur przemysłowych, takich jak Eastham. Osią tej powieści jest jednak więcej niż lekki kompleks Edypa w autorze, jego agon (ojca w tymże wypadku zabija symbolicznie matka), katharsis. Tu należałoby dodać, że w rzeczywistości sprawa przedstawia się bardziej skomplikowanie. Prawdziwy agon Lawrence’a trwa przez całe życie, jest podmiotem całej jego twórczości. Ostateczne katharsis nigdy nie nastąpiło. Do końca życia już Lawrence pokłada się z matką, uniwersalną matką co prawda, we wszystkich jej aspektach. Cały jego stosunek do życia jest jakby kazirodczy.

Po tych trzech powieściach nikt już nie wątpi, że w literaturze angielskiej pojawił się nowy, potężny i oryginalny talent. To jest nikt z odrobiną percepcji, co normalnie wyklucza większość akademików, „wielkich stylistów” i „zasłużonych pisarzy. „Wielki stylistą” Henry James zdołał dostrzec w Lawrence’ie tylko

bezczelnego grafomana, czemu dał wyraz we wzgardliwej notatce w „Times Literary Supplement”. Lawrence, o którego suchoćnym stanie nie mogło już być wątpliwości, porzuca, a raczej traci zawód nauczycielski, jedyne źródło utrzymania, zmuszony jest starać się zarobić na życie piórem. Książki jego zdobywają sobie powoli czytelników w młodszym pokoleniu, interesują i są komentowane w bardziej liberalnych kołach intelektualnych. Jego kariera literacka zdaje się być zapewniona, wszędzie otwierają się drzwi młodemu, kontrowersyjnemu pisarzowi. Ale nie na długo. W roku 1915 ukazuje się jego powieść „Tęcza” — uwaga łowcy poloników — i Lawrence *in absentiae* odpowiada przed sądem (policyjnym) za pornografię. „Tęcza” idzie na indeks, jej autor za drzwi. Nasyłanie policji na Lawrence’a staje się odtąd permanentnym zjawiskiem w jego życiu, wypędza go w końcu z Anglii na zawsze, nie ustaje po śmierci.

Trudno dzisiaj ustalić w jakim stopniu ta powieść była tylko pretekstem do zemsty na Lawrence’ie przez środowiska literacko-akademickie, które tak głęboko obraził swoim postępowaniem w życiu prywatnym. Na rok przed ukazaniem się „Tęczy” Lawrence żeni się z Friedą von Richthofen, arystokratką pruską, była żoną jego profesora, matką trojga drobnych dzieci, którą „uwiódł”. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Lawrence łąduje jeszcze raz w sądzie w podobnych okolicznościach — w niemal trzydziście pięć lat po śmierci i via wydawcy — i że Friedę von Richthofen można tam zidentyfikować jako Connie, Lady Chatterley, a Lawrence’a we wcieleniu Mellorsa, gajowego w majątku Chatterleyów, to wiele rzeczy staje się nam natychmiast zrozumiałe. Przynajmniej zostaje ujawnione klasowe oblicze tej moralności, którą Lawrence tak ciężko i konsekwentnie obrażał. Niewątpliwie, z biegiem czasu zapomniano by mu porwanie tej teutońskiej, wcale nie aż tak odpornej, sabinki z domu nottinghamskiego profesora. Czego nie puszczono mu płazem to rozbicia kapitału literackiego z epizodów swego życia, których w ich mniemaniu, powinien był głęboko się wstydzić, lub przynajmniej udawać, że się wstydzi. Gorszył ich, jak przedtem gorszył ich praocjów Byron, libertyn plus ekshibicjonista. Lecz Byron nie był synem górnika. Trzeba też znać czasy w których Lawrence żył i tworzył. „Dzisiejsze powieści angielskie zdają się być pisane przez eunuchów dla westalek” — głosi jeden z jego współczesnych. Chesterton mówi nie tylko za siebie gdy pontyfikuje: „Mężczyzna dyskutujący sprawy seksualne w obecności kobiet, to dzika bestia”. Taką dziką bestią musiał wydawać się Lawrence, „dyskutujący sprawy seksualne” jak nigdy przedtem w Anglii nie były one dyskutowane.

Niemoralnymi książkami „Tęcza” i „Kochanek Lady Chatterley” nie są. Nie są też arcydziełami. Raczej dobre lawrenciana, których wartość polega w niemałym stopniu na tym, że były klasowo skostniałej i pederastii na szczytach dotkniętej Anglii absolutnie potrzebne. Pornografię, i gorzej, można kupić w Londynie w kiosku wraz z papierosami. Nikt nie interweniuje. Obrzy-

dliwe, naprawdę niemoralne, powieści dla Fleminga ukazują się w milionowych nakładach, chwalone są w całej wielkiej, codziennej prasie (tej samej prasie, która szczuła na Lawrence'a za życia i błotem obrzucała jego powieści), nakręca się z nich filmy. Wiadomo, *millieu* James Bonda to międzynarodowe męty społeczne, szpiedzy, bandyci, czyli nic nie mająca wspólnego z wymarzoną przez Anglików o sobie ideałem zagraniczna hołota. Tajemnice życia prywatnego możliwych angielskich nie są odsłaniane, dusze urodzonych do rządzenia nie są obnażone, zaś ogłupiane przez ich brukowce masy muszą mieć swoją strawę duchową, jak one beznadziejną, bezpiecznie odległą od życia. W tym chyba jest klucz do procesów przeciw Lawrence'owi: że to nie jest ersatz, że te powieści wszędzie dotyczą żywego, obnażają dusze autentycznych ludzi. A przede wszystkim, że otwierają oczy prostaczków na cynizm, zakłamanie i nędzę ich przywódców. Niedawny skandal polityczny z Profumo i samobójstwo Warda mogą pogłębić tutaj naszą perspektywę.

Proces o „Tęczę” był wielkim ciosem dla Lawrence'a, tak materialnym jak moralnym. Przez kilka lat nikt nie śmie zaryzykować wydania czegokolwiek pióra tego autora, któremu z biedą udaje się opublikować jedną książkę pod pseudonimem. Jego położenie materialne jest okropne. Nie może zarabiać już piórem, a suchoty wykluczają jakiekolwiek szanse na otrzymanie posady w zawodzie nauczycielskim — jedynym zawodzie jaki ma. Wydaje mi się, że ten okres właśnie najlepiej broni Lawrence'a, pokazuje jak mało było w nim wyrachowania, chęci epatowania burżujów czy zgrywania się na męczennika. Został publicznie „spoliczkowany”, opuszczony przez swoich „przyjaciół”, jest w zupełnej nędzy materialnej. Ale czy stara się wrócić do czyichkolwiek łask, pisać na „zamówienie społeczne”? Gdy mija jego niemoc twórcza zaczyna akurat tam gdzie skończył, tylko lepiej, z jeszcze większym przekonaniem o słuszności swej sprawy. W międzyczasie jednak Lawrence wegetuje, oddaje się studiom psychoanalitycznym, decyduje się opuścić Anglię na zawsze. Wracając do niej odtań tylko przelotnie, jak do obcego kraju. Kocha ją dziwną, upartą miłością odrąbanego dziecka i nienawidzi zarazem. Wszędzie czuje sprzysiężenie, rośnie w nim mania prześladowcza i żądza odwetu, której nierzadko popuszcza cugle w swych książkach. Podróżuje wiele, w Niemczech, we Włoszech, osiada na pewien czas w Nowym Meksyku, zawadza o Cejlon, jedzie do Australii i przez cały czas pisze. Spod jego płodnego pióra wychodzi co roku nowa powieść, książki podróżnicze, studia krytyczne, eseje psychoanalityczne, wiersze, wiersze idące w setki, olbrzymia korespondencja, nawet dzieło historyczne, wydane pod pseudonimem. Wszystko to w piętnaście lat twórczości tego człowieka, wątłego fizycznie, toczzonego nieuleczalną chorobą, często niedożywionego, żyjącego z dnia na dzień i z kobietą, z którą pożycie było jednym tajfunem temperamentów. Z biegiem lat Lawrence powraca do łask wydawców w Anglii, jego reputacja rośnie, tworzy się o nim legenda, dochodzi do głosu

nowa generacja pisarzy, widząca w nim swego moralnego przywódcę. W roku 1929 Lawrence wraca do Europy z zamiarem pozostania na stałe, lecz umiera w rok później w południowej Francji u szczytu sił twórczych. Pochowany jest w Vance, koło Nicei. Mogiłę jego zdobi prosty nagrobek, feniks rzeźbiony nieprawidłową ręką francuskiego wieśniaka, z którym się zaprzyjaźnił.

Trudno nie zauważyć jak zadziwiająco życie, twórczość i los tego człowieka przypominają Byrona. Obaj byli matko-centryczni, obaj „niemoralni”, obu odsądzono od czci i ostrakowano. Obu za życia już otaczała legenda, obaj zmarli na wygnaniu. Podobni są też w swojej twórczości — niesposób odłączyć dzieła od biografii ich twórców. Mieli podobnych przyjaciół i podobnych wrogów, podobne budzili w rodakach namiętności, podobny, wyzwalający wpływ wywierali na swoje i następne pokolenie pisarzy. Z podobną też ulgą i szokiem, zależnie od strony, przyjęto w Anglii wiadomość o ich śmierci. I jeszcze jedno ich zbliża: pośmiertna, tchórzliwa wendeta akademików. Na uniwersytetach brytyjskich uczą, że Byron był miernym poetą. W książkach i artykułach o Lawrence’ie wskrzeszają widmo nieszczęsnego, obarczonego drobnymi działkami profesora Weekley’a — i to też wtrąca się między kryteria jakimi mamy osądzić twórczość tego wielkiego pisarza. Pismo święte akademickiego światopoglądu, *Encyklopedia Britannica*, poświęca mu lakoniczną notatkę, nie większą niż pewnemu filantropowi z Kansas o podobnym nazwisku. Widziałem antologię, w których znalazło się miejsce dla całego szeregu zupełnie podrzędnych poetów, nic dla Lawrence’a. Czytałem uczonych krytyków, którzy odmawiają mu prawa do tytułu poety, lecz chwalą innych, takich których „talent” jest tylko miarą sprytu, z jakim z poezji Lawrence’a nakradli. Tak, to był wulkan, który jednych poparzył, drugich użyźnił. Pewni ludzie zawsze będą przeciw Lawrence’owi.

Mówią nam, że nie wypowiadał ducha swoich czasów, co ma oznaczać, że nie był w stanie, nie dorósł. Mniejsza, że Wells, Kipling i Shaw doskonale wypowiadali ducha swoich czasów, i co z tego? Nie chcą pamiętać, że Lawrence krzyczał, przez bitych lat piętnaście na cały głos krzyczał, że nie może sobie wyobrazić nic obrzydliwszego od ducha jego czasów, jego jałowego intelektualizmu, brutalnego materializmu, odrażającej pustki wewnętrznej, którą się stara zamaskować sloganem Postępu. Twierdził, że człowiek współczesny jest śmiertelnie chory, wyżarty od wewnątrz przez swój intelekt, że cywilizacja chrześcijańska rozsypuje się w próchno, i dobrze że rozsypuje się w próchno gdyż jest do gruntu fałszywa, sztuczna, przeciw ludzkiej naturze. Pokazywał palcem jak człowiek „chrześcijańskiego” Zachodu obłudnie kłania się ciałem swemu niedzielnemu Bogu, a potem przez sześć dni tygodnia zdradza go podle, płaszcząc się całą swą duszą przed prawdziwymi bóstwami Zachodu, jego trójcą przenajświętszą: Mamon, Kratos i Hedone.

Nie interesował go człowiek jako zwierzę społeczne, ani poli-

tyczne. Na prawicy miał samych wrogów. Na lewicy przyjaciół nie szukał, ani by ich znalazł. Odrażał go ich pusty intelektualizm, nudził go ich naiwny, dziewiętnastowieczny, pseudonaukowy optymizm. Gardził nimi, że nie widzą większego ideału w życiu niż zastąpienie burżujów sobą. Węszył w nich przyszłych wrogów wolnego człowieka, stokroć gorszych od tych, których chcieli zniszczyć. Nie widział żadnej zasadniczej różnicy światopoglądowej między nimi, a ich oponentami. Wszędzie i zawsze zwracał się do jednostki, do jej „rozumu serca” raczej niż Rozumu. Metodą przypominającą dzisiejszą głębiową psychoanalizę szukał w człowieku jego dziewczyczych pokładów, nieskorumpowanych jeszcze przez cywilizację. Sięgał pod ego ludzkie, w głęboki, wieczny cień, gdzie człowiek przestaje być maską vis-à-vis innych, podobnych masek, a jest na wieki sam z sobą i samotnie z sobą. Lawrence odrzuca wszelki dualizm w Kosmosie i w duszy człowieka. Człowiek jest jeden, cały i niepodzielny — takim był kiedyś w Przyrodzie i takim musi się stać znowu w Historii. Jeśli się tego nie nauczy, zginie w jakiejś ogromnej katastrofie całego gatunku.

W „Bestiach Ewangelicznych” tak mówi Lawrence ustami św. Mateusza:

*...nie zapominaj, Zbawco,
że choć me serce śpiewa Tobie jak skowronek
i bije skrzydełkami jasno u bram Nieba,
to wciąż w nim z boku na bok przerzuca się krew,
w alejach gdzie nietoperz drzemie na dół głową,
niezaprzeczalna dla mnie...*

*Posłuchaj, Parakleto,
równie niezaprzeczalne są mi nietoperze skrzydła
dreszczującego w otchłań demona ciemności,
co te skrzydła Jutrzenki, i Ty...*

I jaki odwet bierze ten zaprzeczany przez nas od dwu tysięcy lat demon! Z jaką natężoną siłą wyzwala się z nas w coraz straszniejszych wojnach, w prześladowaniach człowieka, coraz bardziej zimnym, jałowym życiu, w coraz liczniejszych rzeszach nieuleczalnie umysłowo chorych. Albo człowiek uzna tę ciemną stronę swego człowieczeństwa, przestanie więzić w piekle połowę swej duszy, przywróci należne jej prawa, albo ona, coraz głębiej skryta, niekontrolowana i wnet niedosiężna, niszczy go w jakim ogromnym, zbiorowym, samobójczym szale. Intelkt człowieka nie zbawi. Intelkt rozeznaje, ale nie wybiera.

Gdzie indziej musi pójść człowiek aby odzyskać swoją równowagę, pełnię swego człowieczeństwa. Jedną z naczelných ról wyznacza Lawrence kobiecie, a więc płci, którą Ojcowie Kościoła stracili w błoto, uczynili podrzędnym narzędziem tego drugiego motoru poczynañ ludzkich: żądzy władzy. Władzy nad Przyrodą, nad człowiekiem, nad jego duszą i jej przeznacze-

niem w Historii, w zaświatach — władzy nawet dla władzy. Lawrence staje się psalmistą płci, opiewa ją jako głębokie, może jedyne pozostałe współczesnemu człowiekowi źródło duchowej regeneracji. Ale nie tak jak dziś rzeczy stoją: przez dominację jednego pierwiastka nad drugim, mechaniczną kopulację przypadkowych ciał, czy nawet wyżycie się czystego instynktu biologicznego. Źródło to, jeśli ma nas leczyć, trzeba najpierw oczyścić z błota grzechu pierworodnego, przywrócić mu jego znaczenie sakramentalne. Akt płciowy, jeśli nie będzie modlitwą duszy, będzie jej przekleństwem. Nie byłby w stanie Lawrence napisać: „Na początku była chuć”. Zbyt wielkim był na to pisarzem, zbyt religijnym. Bo przede wszystkim był Lawrence poetą-prorokiem. Wielkim poetą, prorokiem. Jego najlepsze dzieła są potężnymi hymnami na cześć przyrody, instynktownego, zmysłowego życia. Życia w którym dusza bierze pełny udział, ale go sobie nie podporządkowuje. „Skąd weźmie człowiek duszę, jeśli zgubi ciało?” — pyta Lawrence. Jest to pytanie więcej niż retoryczne.

Mówimy poeta. Czy oznacza to wiersze? Niekoniecznie. W wielu sławnych wierszach antologicznych nie ma ani jednej kropelki prawdziwej poezji, a niejedno, pozornie czysto prozaiczne zdanie jest nią przesiąknięte. Bo poeta jest nie tyle przez dar wiązania i stawiania snopków sztucznej mowy, co przez intencję językową, wiarę w słowo-rzecz. Lawrence był pisarzem wielkiego oddechu (i musiał piórem zarabiać na życie), to co miał do powiedzenia nie zmieściłoby się w ramach nawet najluźniej wiązanego wiersza. Toteż choć napisał ich setki, jego stosunek do nich był osobliwy. Jego wiersze czyta się jak luźne kartki diariusza, pośpiesznie zrobione notatki stanów wewnętrznych, czasem dydaktyczne, często kaznodziejskie, ale zawsze maksymalne, żywiołowe w wymowie, nieomylnie lawrence'owskie. Główną ich rolę widział w „umiękczeniu” czytelnika, przygotowaniu go do swoich powieści. W najlepszym wypadku traktował je jako ampułki z esencjami uczuć, z którymi prawdę mówiąc, nie wiedział właściwie co zrobić w prozie. Przypuszczalnie, rozważając te ampułki i dlaczego nie da się ich esencji użyć w prozie, Lawrence zrozumiał, że: Poezja jest poezją, a proza prozą, *and never the twain shall meet*, chociaż mogą wzajemnie pożyczać sobie kostiumy. Pewne jest, że w ostatnich latach swego życia Lawrence zmienił swój pogląd na wiersze. Pracował nad nimi dłużej, pisał ich mniej. Są nawet poszlaki, że zamierzał porzucić prozę zupełnie i oddać się wyłącznie poezji. W tych latach napisał serię wierszy, które nie mają równych — chodzi tymczasem o oryginalność — w całej literaturze angielskiej. Nikt przedtem nie potrafił tak wczuć się w przyrodę, odsłonić jej prawdziwe, metafizyczne oblicze ukazać nam przepaść naszej separacji i nasze wielkie przez to zubożenie.

D.H. LAWRENCE (1885-1930)

KOLIBR

*Wyobrażam sobie, w jakimś innym świecie,
pra-niemym, hen wstecz,
w milczeniu pełnym zgrozy, kłapania ust i brzęczenia,
kolibry ścigające się po alejach.*

*Zanim cokolwiek miało duszę,
gdy życie było ledwo westchnieniem materii, pół-żywe,
ten okruch zapłonął w odprysku
i z świstem szedł przez ogromne, soczyste łodygi.*

*Myślę, że kwiatów jeszcze nie było
w tym świecie gdzie kolibr przebłytał, wyprzedzając stworzenie,
Myślę, że senne żyły roślin przekłuwał długim dziobem.*

*Prawdopodobnie był duży
jak mówi się mchy i małe jaszczurki były kiedyś duże.
Prawdopodobnie był strasznym, dżgającym na oślep potworem.*

*Obserwujemy go
z niewłaściwego końca teleskopu czasu
— na nasze szczęście.*

Tłum.: Jan DAROWSKI

D.H. LAWRENCE (1885-1930)

JAKI WSTRĘTNY TEN BURZUJ JEST

*Jaki wstrętny ten burzuj jest
szczególnie męskiego rodzaju —*

Dobrej prezencji, znakomitej prezencji —
Czy mogę wam dać go w prezencie?

Czy nie przystojny on? Zdrow? Czy nie wspaniały to okaz?
Czy nie w każdym calu, na zewnątrz, czysty, schludny Anglik?
Czy nie w sam raz na podobieństwo boże, wałęsając się swoje
[trzydzieści mil dziennie
za kuropatwą, za gumową piłeczką?
Czy nie chcielibyście i wy być tacy,
Względnie zamożni i w sam raz akurat?

Lecz poczekajcie!
Niech spotka tylko jakieś nowe uczucie, biedę innego człowieka,
Niech zabrnę w jakiś problem moralny, niech życie postawi
[umysł jego przed jakimś nowym zadaniem,
i obserwujcie go jak mięknienie, jak mokre bezy,
obraca się w papkę, idiotę brutala.
Patrzcie na jego popisy, twarz w twarz z jakimś nowym nakazem,
nowym życia nakazem.

Jaki wstrętny ten burżuj jest
szczególnie męskiego rodzaju —

Wyglaskany, jak grzyb
stoi sobie tak lśniąco, powabnie i prosto,
jak grzyb na szczątkach minionego życia
ssać swoje życie z martwych liści życia większego niż on

A nawet tak jest zwiędziały, zbyt długo już tam stoi,
rusz go, przekonasz się, że jest pusty
jak stary grzyb, drążony i pełen robactwa
pod gładką skórą i zaciną postawą

pełen drążonych, wrzających, robaczywych uczuć —
raczej obrzydliwe —
Jaki wstrętny ten burżuj jest!

Stoją, tysiącami, te zjawy w mokrej Anglii.
Co za szkoda, że nie można ich kopnąć
jak purchasek zgniłe — kopnąć i zostawić
by czym prędzej wsiąkły znówu w głębię Anglii.

Tłum.: Jan DAROWSKI

D.H. LAWRENCE (1885-1930)

DAJCIE NAM BOGÓW

*Dajcie nam bogów, o dajcie!
Bogów nam dajcie.
Znużeni jesteśmy człowiekiem
i władzą motorów.*

*Lecz nie siwobrodego, boga-dyktatora,
Ani też tego młodzieńca bladego co w strachu przed ojcostwem
odkłada substancję kobiecie, Madonna mia! Nędzny prawiczek.
Ani Jowisza chmurnego z okiem na nieśmiertelne kurewki.
Ani nawet słodkiego grajka-zalotnika
co goni za chłopcami i pięknem.*

*Dajcie nam bogów
dajcie nam coś innego —
poza bykiem ryczącym w przestworzach, aż poderżnięto mu gardło,
poza orłem nawet, feniksem wiszącym nad złotym jajem*
[wszechrzeczy.

*Dalej jeszcze, zanim barana rogi zakręcone wyszły
i czarny, krępy żuk toczył swą kulkę gnoju, z której się wykluc*
[miał człowiek,
i nawet zanim złoty, chytry wąż ojcowską swą głowę nad ziemią
[podniósł by myśleć —

*Dajcie nam bogów przed tymi —
Będziesz miał bogów przed tymi.*

*Gdzie wody ustają w moczarach
płynie dziki łabędź
i gęś wysoka przelatuje nad mgłą
trąbiąc w mroku rozrodczym trąbieniem takich gardzieli.*

*Mgły
gdzie elektron układa się lub nie układa, jak chce,
gdzie moce związują się w węzły atomów
i rozwiązują,
mgły
mglistości skomplikowanej w węzły i skrzepy, które się obijają,
zderzają i wybuchają mgłą większą, lub nie,
mgły energii ach jak naukowe, —
Lecz dajcie nam bogów!*

*Spójrz tylko
gdzie ojciec wszechrzeczy płynie w mgle atomów,
elektronów, energii, kwant, względności,
w mgle uwieńczonej mgłą,
jak dziki łabędź czy gęś, której trąbienie w pęcherzu moim
[rozbrzmiewa.*

*W ciemni nienaukowej czują wiew-werbel jego skrzydeł,
a ociekanie zimne jego stóp błonnych, czarnych jak błoto,
mуска mnie po twarzy,
gdy leci w mroku do kobiet, naszych kobiet, niesamowitych
[kobiet, które udeptuje
i przeszywa wizjami, z których krzyczą przez sen.*

*Bogi? Pytasz o bogi?
Gdzie kobieta jest, tam łabędź.*

*Myślisz, naukowy człowieczku, że będziesz ojcem swych dzieci?
Ani się nie łudź.
Narodzą się dzieci jak młode łabędzie, Duszo moja!
Młode dzikie łabędzie!
A niemowlęta kobiet powstaną z dzikich gęsi, serce moje!
Gęsi, które Rzym ocaliły i zgubią Londyn.*

Tłum.: Jan DAROWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

**UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.**

Redakcja, administracja, drukarnia :

Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Albowiem

...albowiem...

— *Rzym. III, 2*

Rany już były zagojone ale rekonwalescencja miała trwać kilka tygodni. Leżał w separacie w St. Bartholomew's.

Nim wpuszczono ich do środka, musieli się wylegitymować policjantowi przy drzwiach.

Gdy weszli, James FitzGibbon Dunmoore odłożył gazetę i popatrzył się na nich niepewnie.

— To jest Sir William de Melville, prezes International Securities. Ja się nazywam Bogota.

— Francis Goya Albert Sigismund Smith-Bogota, sekretarz Lampidex Nominees — wyjaśnił Sir William.

Był wczesny ranek. Za oknami słyszać było ruch uliczny wzdłuż Giltspur Street. Gdzieś wysoko mruczał aeroplan.

Dunmoore przymknął oczy. Miał więc ciemne włosy, szarą wysuszoną twarz.

— Dobry człowieku — Bogota powiedział po chwili — Sir William i ja przyszliśmy, by się dowiedzieć całej prawdy. Wszędzie panuje niepokój. Akcje idą w dół. Niemoralność społeczeństwa staje się z dnia na dzień bardziej nie do zniesienia.

— Prosimy cię więc — dorzucił Sir William — ufaj nam w pełni, a nie pożałujesz.

Dunmoore otworzył oczy. Wzrok miał utkwiony w ścianę poza ich głowami.

— Albowiem... — powiedział wreszcie ochryplym głosem i zamilkł. Po chwili znów:

— Ostatnio albowiem pracowałem jako posłaniec w banku. Musiałem dużo chodzić. Wciąż chodzę. Więc jeszcze lepiej poznałem Miasto. Ja tu przecież jestem od dziecka. Urodziłem się tuż za rzeką koło Blackfriars Bridge. Miasto znam

na pamięć. A jednak właśnie niedawno w okolicy St Mary Axe zupełnie straciłem orientację. Bo przecież oni teraz wciąż tu burzą i budują. Doznałem jakiegoś niezdrowego ale błęgiego podniecenia. Bo przecież nie zgubiłem się zupełnie. W Mieście nie można zgubić się nieodwołalnie. To jasne. W którymkolwiek kierunku zdecyduję się pójść, prędzej czy później znajdę się na dobrze znanej ulicy lub w znajomym barze. Tak, rozlewałem kiedyś piwo u Mooney'ego przy St Mary at Hill niedaleko Eastcheap. Stare dobre czasy. Potem przez jakiś czas strzegłem kolekcji zegarów w Guildhall, ale mi się sprzykrzyło. Czas w miejscu stał a na każdym cyferblacie inna była godzina. Byłem też przewodnikiem przez jakiś czas, jako że Miasto tak dobrze znam. Sprośne kawały opowiadałem z życia bankierów i buchalterów. Ktoś nagadał władzom. Zrobili mi psychoanalizę i orzekli, że ulegam fantazjom seksualnym. Więc teraz grywam na trąbie. Zmieniłem się. Czasami nawet modłę się. Wieczorami prawie nie wychodzę z domu. Tym bardziej, że jako posłaniec całymi dniami chodzę. Któregoś więc dnia zapędziłem się aż na Whitechapel, gdzie Miasto się już kończy i Londyn zaczyna. Ruiny, śmietniki, obłeśne domy mieszkalne chłopstwa i pospółstwa, stragany, zardzewiałe bocznice kolejowe i składy. Tam opadł mnie strach, zapragnąłem natychmiast powrócić w obręb protekcyjnych kamienic i świątyń Miasta.

Tu Sir William poruszył się na krześle. Dunmoore przerwał opowiadanie. Zatrąbiła ciężarówka. Gdzieś dalej słysząc było serie pneumatycznego świdra.

Sir William wykorzystał sytuację:

— Czy wy płacie podatki, dobry człowieku?

— A jakże.

— Gdzie się ubieracie?

— Mam przyjaciela krawca, który robi mi tanio.

— Cóż myślicie o naszej rzeczywistości?

— Bezwzględny sceptycyzm wydaje mi się niemożliwy. Życie byłoby koszmarem, gdybyśmy nigdy nie byli pewni konsekwencji naszego rozumowania i postępowania.

— Bierzecie udział w transakcjach giełdowych? — wtrącił Bogota.

— Owszem, mam trochę akcji, ale to długa historia i teraz nie mamy przecież czasu na to.

Bogota zgodził się niechętnie. Aby ulżyć swym uczuciom, zaczął rozmyślać o technice sublimacji stosowanej przez średnio-wieczne pustelniczki. W życiu prywatnym bowiem, Bogota był filologiem i przygotowywał nowe wydanie *Ancrene Riwele*.

Od chwili, gdy Bogota i Sir William weszli do separatki nr 17A, towarzystwa ubezpieczeniowe wypłaciły klientom prze-

szło pięć milionów funtów szterlingów, w trzech demokracjach ludowych obalono proletariat, w dwunastu republikach zwiększono świadczenia społeczne i ok. 3,000 ludzi zginęło pod kołami samochodów.

W ciszy przerywanej wystrzałami pneumatycznych świdrów J.F. Dunmoore powrócił do swego opowiadania.

— *Alors messieurs, c'était l'après-midi. J'avais faim et j'avais soif. Alors je m'en suis allé au Boar's Head à côté du Throgmorton Street, près d'Angel Court. Il y avait beaucoup de monde. J'y ai rencontré un vieux copin, Johnnie Preston, qui est un peintre. Une très jolie fille l'accompagnait. Il m'a dit, „Elle est mignonne, n'est-ce-pas? Je fais un tableau pour l'archevêque. C'est la passion du Jésus Christ. Tu le connais? Alors, j'ai besoin du Jésus Christ. J'ai déjà deux ou trois apôtres et voici la Vierge! Mais il me manque encore le bon Dieu. Je te payerai 50 livres”.*

Miał pracownię właśnie na Whitechapel. Strype Street. Pierwsze piętro. Chodziłem tam każdego popołudnia przez tydzień. W banku nie zauważyli jeszcze, że polecenia spełniam wolniej niż zwykle. Stawałem tam oparty o drzewo, nagi, ręce rozpostarte wzdłuż ramion krzyża. Twarz wymęczona torturą. Po dwóch poobiednich kuflach myśli miałem zmacone. Marzyło mi się, że jestem już w niebie. Pływałem w obłokach. I właśnie ostatniego dnia, w piątek, kiedy zbliżał się upragniony week-end, poczułem straszny ból w rękach i nogach. Straciłem świadomość nawet zaświatów, o których właśnie śniłem. Dopiero gdy oprzytomniałem tu w tym pokoju, dowiedziałem się od siostry, że zostałem ukrzyżowany.

Sir William wstał.

— Teraz już wszystko rozumiemy — powiedział do Bogoty. I dodał:

— Ja myślę, że on *tobie* bardziej się przyda.

Bogota skinął głową.

— Jak wyzdrowiejesz, zgłoś się do pana Bogoty, dobrze? On zaopiekuje się tobą.

— Najserdeczniej dziękuję — odrzekł widocznie wzruszony pacjent.

Już byli za drzwiami i wtedy Bogota powiedział:

— Jednak nie wszystkie szczegóły są dla mnie jasne. Będę go musiał przesłuchać jeszcze raz, kiedy się zgłosi.

Sir William popatrzył na Bogotę pytająco.

Dumoore podniósł porzuconą na kółdrze gazetę. Była przerwa obiadowa i świdry ucichły.

Wakacje kończą się we wrześniu

We czwartek Mamusia powiedziała:

Czerwiec będzie upalny. Odbierzemy chłopców ze szkoły wcześniej. Trzeba jechać na wieś.

Zaraz się przestał podobać Saski Ogród. Tak długo trzeba było chodzić z Elektorальной przez szeroki plac koło banku i przez Żabią, aż się nareszcie doszło do tego ogrodu. I Frojlajn zawsze marudziła, czekała okropnie długo na swoją siostrę co przychodziła ze znajomą dziewczynką, Natalcią. Natalci ojciec był doktorem i oni mieszkali niedaleko na Granicznej. Natalcia i jej Frojlajn zawsze później przychodziły i bardzo nudno było na nie czekać przed bramą i nic nie robić. A Frojlajn nie pozwalała bawić się kółkiem na ulicy ani rysować klas kredą na chodniku, tak jak te dzieci od sklepikarki, które się zawsze widziało przez okno w domu. Więc trzeba było czekać na Natalcię i jej Frojlajn i było strasznie gorąco i nudno i pociły się rączki i przylepiały się do białych sukienek. I naturalnie Frojlajn złościła się że się jest *unanstendliche Bengel* i że znowuż zaraz trzeba zaraz trzeba będzie prać te sukienki, ale jak było tak gorąco czekać to przecież niczyja wina, że się ręce pociły i przylepiały do białej sukienki.

I teraz już zaraz miało się wyjechać. I już miały być wakacje na wsi. I już miało być rano wychodzenie wprost z domu do ogródka, gdzie są konwaliowe liście i bżowe gałęzie i ani jednego stróża z zakrzywioną laską, i wszędzie wolno włązić oprócz klombu Mamusi i zagonka z amerykańskimi kartoflami Tatusia. Nawet czasem można, póki Mamusia nie wstanie, a Frojlajn nie skończy kręcić loczków, wyskoczyć boso bez sandałów na trawę. Potem naturalnie Frojlajn będzie mówiła, że się jest *freches Mädel* i może nawet pociągnie za warkocze. No to co? Kiedy się Frojlajn za bardzo rozżłości to się i tak idzie na skargę

do Mamusi i wtedy Frojlajn dostaje „wciřę” i słyŝy się to kiedy się siedzi w kryjówce na stołeczku co stoi w samym őrduku zagonu końŝkiego zębu; koński zęb jest trzy razy a moŝe nawet i cztery razy taki wysoki jak Tatuś i jak się tam ukryć to nikt a nikt nie zobaczy. Potem Frojlajn ma specjalne *Heimweh*, bo nie specjalne ma zawsze w niedzielę po obiedzie w Warszawie. Jeŝeli nie idzie do teatru albo nie spotyka się ze swoją siostrą, co jest u tej Natalci na Granicznej, wtedy Frojlajn siedzi w szkolnym pokoju dziewczynek i na *Heimweh*. *Heimweh* to znaczy ŝe jej tęskno do Hansa i *Mutter* i wtedy nawet starsi chłopcy jej nie dokuczają ŝe Niemcy jedzą tylko *Kartoffel und Kaffee*, bo przecieŝ jak ona i tak juŝ płacze to jej nie warto ŝłościć.

Więc ten Saski Ogród zawsze był straszenie przyjemny i śliczny i bardzo się tam lubiło być, ale jak juŝ się miało jechać na wakacje na wieś to juŝ wcale w Saskim Ogrodzie nie było tak przyjemnie. Przy bramie zawsze troszkę mdliło ze strachu. Bo nigdy nie było wiadomo na pewno — wpuści czy nie wpuści. Wpuszczał stróż co siedział w szarym kabacie przy budce w bramie Ogrodu. Prawie codziennie ten stróż kogoś zatrzymywał i nie pozwalał wchodzić do Ogrodu. Frojlajn, dlaczego on ich nie wpuszcza? *Das ist ein Jude* — mówiła Frojlajn i taki z brodą i w chałacie albo taki pan co nosił narzędzia i pudła i wyglądał zupełnie tak jak tapicer albo taki jak Antoni co rano palił w domu w piecach, musiał odejść od bramy. Zawsze się za nim patrzyło czy się bardzo martwił, czy płakał ŝe mu nie wolno wejść. Ale nie, ŝaden nie płakał tylko zawsze odchodzili i szli w stronę Placu Źelaznej Bramy. Straszenie było ich ŝal, ŝe nie mogą wejść do Ogrodu.

Czy stróż wpuściłby do Ogrodu tapicera albo Antoniego? Tapicer straszenie duŝo mówi i mieszka w oficynie i wolno mu stać na szczycie drabiny i trzymać usta pełne gwoździ. To jest to co straszenie chcieliby robić starsi bracia, więc pewnie to musi być przepyszne. Antoni jest wielki, brudny i ciepły, pozwala dotykać węgla w kubelku i bawić się zapałkami. Za Antonim jest przyjemnie chodzić z pokoju do pokoju, przykucać przy kubelku i patrzeć jak układa drzewo i węgle w ciemnej dziurze pieca. Mamusia mówi: „Nie poufalcie się z Antonim”. Ale kiedy nikt nie widział Antoni brał na kolana i głaskał po plecach i nóżkach i po brzuszku. Kucharka mówi: „Ten świętuch Antoni” —, pewnie dlatego, ŝe Antoni pił. Przez to pewnie wyrzucił go ojciec i bardzo przy tym krzyczał na Antoniego. Antoniowa przyszła i płakała bardzo, ŝe w domu zimno i dzieci głodne. Pewnie nie miały choinki. Ojciec bardzo się gniewał i krzyczał, dał Antoniowej pieniądze na jedzenie dla dzieci. „Nie wpuszczę za pręg tego łobuza, on i tak skończy w kryminale je-

zeli przedtem nie zapije się na śmierć, gałgan jeden”. Mamusia powiedziała: „To los, biedna ta Antoniowa”. No przecież, Gwiazdka już zaraz, a tu nie ma pieniędzy i nie będzie żadnych prezentów dla dzieci. I co będzie z tym kryminałem?

Więc może to dlatego nie wpuściliby Antoniego do Ogrodu. Ale tapicer i ci inni co Frojlajn mówi, że oni są *Juden*? Codziennie przy bramie myśli się, że może dzisiaj stróż nie wpuści Frojlajn i dziewczynkę i co będzie wtedy? Najlepiej jest wślizgiwać się przeciotko, kiedy stróż siedzi w środku budki, a nie na ławce na zewnątrz, i potem oglądać się czy widział czy nie widział że się weszło. Jak się już udało, to już przestawało ścisnąć w żołądku i już kiedy się było koło Fontanny wszystko było dobrze. Ale czasem nawet koło Fontanny albo już jak się zaczęło bawić w Krakowiankę i Króla albo w Przerywane Wojsko, czasem i wtedy zaczynało nagle ścisnąć w żołądku. „A co będzie jak nie dadzą wejść Tatusiowi przecież on jest *Jude*?”.

Ale Tatusiowi dawali wejść i do Ogrodu Saskiego i wszędzie. Może to dlatego, że Tatus taki śliczny, że ma sakpalto z fiołkami w klapie i zawsze dużo pieniędzy; przecież tak samo nie nosi kapelusza jak tapicer albo Antoni i nawet Mamusia martwi się o to i mówi „Nie wypada” — ale Tatusia wpuszczają i do Ogrodu Saskiego i do Teatru Krasnoludków, który był może jeszcze ładniejszy niż figury w Saskim Ogrodzie.

Bo te figury w Saskim Ogrodzie to są trochę cudowne a trochę nieprzyzwoite do patrzenia, tak samo jak książki z gołymi ludźmi, które pokazywał starszy brat. Wszystkie panie są gołe, tak jak Frojlajn albo Mamusia zanim włożą stanik i to przecież wiadomo, że to jest nieprzyzwoite i że to jest wstyd, bo inaczej Frojlajn by się nie chowała po kątach, a Mamusia nie gniewałaby się na chłopców, kiedy wchodzi do sypialni bez pukania. Te gołe panie na figurach mają tłuste rączki i poobłamywane paluszki. Najprzyjemniejszą zabawą jest szukanie tych obłamanych paluszków wśród zwiędłych liści kasztanowych, a czasem jak się uda i stróż nie zobaczy, to nawet na trawniku. Na tym trawniku są napisy po polsku, co się umie przeczytać i po rosyjsku, którego się jeszcze nie zna, że nie trzeba deptać trawy. Więc jest strasznie przyjemnie przeskoczyć przez drut i pobiec po trawniku, aż do klombu z pelargoniami, żeby zobaczyć czy tam są połamane paluszki tych gołych pań. Ale tych paluszków nigdy się nie znajduje — pewnie je wyzbierali starsi chłopcy tak samo jak najlepsze kasztany, takie co jeszcze nie są całkiem brązowe tylko mają białe łaty, tak jak grube konie co wożą piwo od Habermuscha. Takie łaciate kasztany są bardzo ważne, bo w domu się tymi kasztanami bawi, że to są konie i one się ścigają i te łaciate konie-kasztany od Habermuscha są najlepsze

i jak się zamienia to można zawsze dostać dwa zwykłe brązowe za jednego łaciatego.

Te gołe panie na figurach mają suknie dopiero od pasa a spod tych sukni wystają bosc nóżki albo nóżki w sandałach takich w jakich się chodzi na wsi. Te nóżki są też prawie wszystkie bez paluszków. Różne rzeczy są napisane na tych figurach i nigdy nie wiadomo co znaczą, więc bardzo trudno jest je odczytać. Niektóre rzeczy są napisane ołówkiem i o te bardzo się gniewała Mamusia, kiedy się przyszło pochwalić że się odczytało w Ogrodzie na figurach nowe wyrazy i co one znaczą. Mamusia powiedziała, żeby nigdy ich nie powtarzać, że to paskudne słowa, że je piszą niegrzeczne dzieci, które nie mają Frojlajn i że to wielki wstyd takie rzeczy mówić. To dlaczego uczą tamte dzieci pisać takie wyrazy i kto je uczy i skąd można wiedzieć które czytać, a których nie? Mamusia mówi, żeby czytać tylko te słowa co są wydłubane pod spodem figury, bo one są pożyteczne i można się nauczyć jak się te figury nazywają. No, ale dla kogo to jest pożyteczne wiedzieć, że jedna goła pani w Ogrodzie nazywa się Hygea, a druga Venus? Przecież żadna znajoma dziewczynka, ani pani tak się nie nazywa, więc na co to jest pożyteczne? A kucharka jak się upije, to zaraz mówi te słowa co nie są wydłubane pod spodem figury, tylko te co są napisane ołówkiem, więc na pewno kucharka nie miała Frojlajn i na pewno by jej nie wpuścili do Ogrodu. „Bo — mówi Mamusia, nie wolno tych słów mówić nigdy, bo na pewno stróż was do Ogrodu nie wpuści”. Ale duża Janka, co taka jest śmiała ze wszystkimi i zawsze wie inne rzeczy niż inne dziewczynki, mówi że przecież nie potrzeba tych słów mówić przy bramie, gdzie jest stróż; można jak się wchodzi udawać, że się ich nigdy nie słyszało, a potem jak się już jest w ogrodzie można, jak Frojlajn gada ze swoją siostrą, oglądać te figury ze wszystkim — i z tymi napisami co są wydłubane specjalnie pod spodem i z tymi co niegrzeczne dzieci napisały ołówkiem. Ona także mówi, że ci goli panowie to są nieprawdziwi, bo prawdziwi to nie mają listka, tylko taką rurkę, którą się robi dzieci. Ona mówi różne takie rzeczy, takie same jak te, co mówi starszy brat i one na pewno są nieprawdą, bo starszy brat ciągle kłamie — wszyscy to wiedzą. To są takie rzeczy o których się chce zapomnieć, bo kiedy się o nich pomyśli wieczorem przed zaśnięciem, to nie można zasnąć — prawie tak samo jak wtedy kiedy się pomyśli o umieraniu, albo o tym chłopcu co się utopił u ciotki na wakacjach, i wyciągnęli go takiego siniego z wody i tak go gnietli żeby on ożył, ale on już nie mógł ożyć i to było straszne. To są straszne rzeczy i nie wolno o nich małym dziewczynkom myśleć przed spaniem. Dorosłym pe-

wnie wolno myśleć i robić przed spaniem wszystko co tylko chcą. Na przykład Tatuś na pewno wszystko może i nikt mu niczego nie zabrania. Przecież nawet wolno mu się kłaść w za-
błoconych bucikach na różowej kanapce w sypialni Mamusi. Już
żeby tylko przycupnąć w różku kanapki trzeba mieć zawsze spe-
cjalne pozwolenie od Mamusi. „Różowy atlas łapie kurz z po-
wietrza, a wy macie zawsze brudne łapy” mówi Mamusia. No,
już chyba nie takie brudne jak buciki Tatusia.

Z Tatusiem zawsze się jeździ parokonką, co jest strasznie
drogie i Mamusia nie pozwala, a zimą sankami; „taki ruch
w tej Warszawie, sanki teraz takie niebezpieczne — mówi Ma-
musia — nie jedź z dziećmi sankami, dobrze Julku?” A oj-
ciec, jak wychodzi z dziećmi, zaraz za bramą bierze sanki i jesz-
cze szuka największego konia i znajomego dorożkarza żeby pręd-
ko jechał. Śnieg leci spod kopyt konia, że czasem aż pryska w
twarze, Tatuś trzyma mocno dziewczynki z obu stron i tych tram-
wajów to wcale nie ma tak dużo i przecież dorożkarz jedzie tam
gdzie ich nie ma, bo tylko tam jest taki puszysty biały śnieg,
taki jak na obrazkach w książce Frojlajn gdzie piszą o *Froehliche
Weihnachten*. Latem Tatuś zabiera dzieci na raki i lody — to
okropnie niezdrowe dla dzieci — mówi Mamusia. Z Tatusiem
wolno puszczać bańki mydlane na środku najlepszego dywanu, a
w śmigus jak Tatuś się zabiera do polewania to wcale nie ma-
lutką śmigusówką z pachnącą leśną wodą tylko całą szklanką,
a raz to nawet dzbankiem lał wodę z okna na parterze na wszy-
stkich znajomych. I wtedy jest strasznie przyjemnie, wszyscy
wrzeszczą i krzyczą i ci co leją i ci co ich polewają i jest najlep-
sza zabawa na świecie. Tylko że Mamusia mówi „Julku — zmi-
łuj się, nie szalej...” i zaraz jest migrena. Wszystko się znów
robi takie jak zawsze i Tatuś gniewa się na dzieci. Ale prze-
cież to nie dzieci wina, że Frojlajn beczy bo jej Tatuś połał no-
wy biały szewiotowy kostium co go sobie szykowała, żeby w
nim pójść w Święta do swojej *Kirchy* na Lesznie. I teraz bę-
dzie musiała pójść w starym kostiumie, a wszystkie znajome
Frojlajny mają na *Ostern* zawsze nowe kostiumy.

Tatuś nie chodzi codziennie do Ogrodu Saskiego, bo jest za-
jęty, pracuje na mieście. Wychodzi do miasta raniutko, kiedy się
gramoli z łóżek w dzieciennych pokojach. Zimą wtedy palą się
jeszcze latarnie, a na szybach dzieciennego pokoju siedzą grube
kawałki lodu. Strasznie jest przyjemnie oblizywać je kiedy nikt
nie widzi, ale one się topią zaraz jak tylko przychodzi Antoni.
On jest taki ciepły i brudny, że te lodziki na szybach topią się
zaraz jak on przychodzi, zanim jeszcze rozgrzeją się kafelki pie-
cowe.

Antoni pali w piecach, praczka i kucharka pracują „nie męcz-

cie ich — one ciężko pracują” mówi Mamusia. Tatuś idzie do miasta do pracy. Ale reszta ludzi to już na pewno się bawi. Bo przecież co może być przyjemniejszego jak stać na szczycie drabiny i mieć pełne usta gwoździ, tak jak tapicer, albo dłubać w płonących piecach a potem tańczyć bosymi nogami na dwóch szczełkach po froterowanej podłodze, jak Antoni. I Frojlajn to chyba też nie pracuje jak siedzi w Saskim Ogrodzie i gada ze swoją siostrą albo ze znajomymi panami co noszą słomkowe kapelusze i czasem zabierają dzieci do budki z wodą sodową na brukowce i wodę z sokiem malinowym. Więc co to jest „ciężko pracować?” Pewnie to jest robić to czego się nie lubi i czego by się nie chciało robić. Na przykład stać nad rozpaloną blachą w kuchni jak jest upał albo prac w ogromnej balii w kuchni pełnej pary.

„Na miasto” idzie nie tylko Tatuś, idą także służące po zakupy. Idą na Plac Żelaznej Bramy, gdzie czasem jest „taka spiekota, proszę pani, jak najstarsi ludzie nie pamiętają”, a czasem „taka plucha że Jezus kochany”. I dlatego one pewnie tak ciężko pracują i pewnie wszyscy co ciężko pracują na mieście, pracują na Placu Żelaznej Bramy. Tam pewnie stoi za wielkim stołem Tatuś i coś wałkuje na rozpalonej blasze, bo przecież Mamusia mówi, że Tatuś ciężko pracuje, żeby dać dzieciom wszystko czego im potrzeba. Obok niego pewnie wałkuje pan Karol w meloniku i zielonej marynarce, bo on ciężko pracuje w banku żeby przynosić pieniądze dla pani Rutki, co jest śliczna i gruba i ma zielone oczy i blond włosy i ma suknię i parasolkę tego samego koloru: żółtą w różowe wężyki. Pani Rutka jeździ na wieś z dziećmi i Mamusią; może i w tym roku pojedzie. Jak jest gorąco na wsi, kładzie się na trawie na kratkowanym pledzie w samej koszuli. Koszula jest czerwona z koronkami i Mamusia mówi „Ona jest niemożliwa ta Rutka — przecież takie koszule noszą tylko Rosjanki”. Pani Rutka też gdzieś pracowała na mieście, potem miała małą córeczkę i bujak i dużo fotografii w mieszkaniu i pianino i palmę i wachlarz ze strusich piór w czerwonym pudełku. Potem pan Karol coś takiego zrobił, że już nie mógł ciężko pracować w banku i wyjechał na wieś. I Mamusia mówiła „Biedna ta Rutka — znowuż tak ciężko musi pracować”. Było to w sklepie z gorsetami. Ale nic nie wałkowała, tylko siedziała w szklanej budce, a na wystawie była cudna murzynka z perłami na szyi i w czerwonym gorsecie. Wiadomo, że ma się gorset jak się jest dorosłą i że się dostanie perły. Ale czy się aby będzie taką cudną murzynką?

Bardzo by się chciało, jak się będzie dorosłą siedzieć w szklanej budce w kasie i oglądać z tyłu tę cudną murzynkę w czerwonym gorsecie. Sprzedawać książki też musi być przyjemnie,

na Gwiazdkę jest zawsze tyle ludzi i dzieci w sklepie, że wtedy musi być bardzo przyjemnie. Ale najprzyjemniej ze wszystkiego byłoby krajać kiełbasę w wędliniarni, bo ją można brać w ręce, czego nie wolno robić w domu. Może nawet można, jak nikt nie widzi w sklepie, podrzucać do góry i łapać pokrajane plasterki, za co jest największa awantura z Frojlajn. Układać czekoladki w kolorowych papierkach w cudownych pudłach z nenufarami i rusałkami albo atlasowych w czerwone róże u Wędla, musi być też bardzo przyjemnie. Ale właściwie najprzyjemniej byłoby śpiewać w teatrze, tak jak ta pani w Halce co to Tatusź mówił, że ją zna i dopiero wtedy się dowiedziało, że to śpiewają prawdziwi, żywi ludzie, a nie nakręcane lalki. Także przyjemnie byłoby chodzić w białym sztywnym szlafroku z koronkami tak jak ciocia Dorota co przyjeżdża czasem z Częstochowy, albo pisać wiersze jak Konopnicka, albo takie książki jak „Siteczko” Orzeszkowej albo takie jak Prus co to „jeszcze dla niej za trudne”, ale chyba jednak najlepiej byłoby być śpiewaczką. Na chórach zawsze wszystkie kawałki na jeden głos każą śpiewać tej malutkiej „co ma taki śliczny głosik i na pewno będzie śpiewaczką” mówi pan profesor od śpiewu. Co z tego że ma głos — mówi ciocia Frania — bo to u cioci Frani są lekcje śpiewu dla dzieci — wiercipięta jest i nigdy z niej nic nie będzie, jak się nie nauczy solfeżu”. Po co solfeż do śpiewania w „Halce” przecież tam nikt nie śpiewa solfeżu, tylko raz nisko raz wysoko i zawsze pięknie i ze słowami. I takie są śliczne suknie, ładniejsze od tej czarnej co Mamusia kładzie jak są goście, i takie kwiaty piękne jak na rocznicę ślubu. Już chyba najlepiej byłoby zostać śpiewaczką.

Kiedy Tatusź przychodzi do Saskiego Ogrodu to zaraz jest coś przyjemnego. Albo się idzie do budki w Owocowej Alei na miętowe pierniki i wodę z sokiem, albo nawet się idzie do Cukierni Jackowskiego. W cukierni zawsze się dostaje ogromne rurki z kremem nawet jeśli za godzinę ma być obiad. W tych rurkach jest krem i szczypiorek. Wiadomo że właściwie to nie jest szczypiorek, ale się go tak nazywa bo nazwa Pistacji jest potrzebna dla czegoś innego, czegoś takiego co jest i czego nie ma, ale musi mieć imię i najlepiej pasuje Pistacja. Ile razy rozkręci się złota lornetka Mamusi albo zgubi się naparstek albo zarzucą się zabawki braciszka, wiadomo że to jest wina Pistacji. Więc dlatego rurki z kremem muszą być ze szczypiorkiem, a Pistacja ma białe buty i mieszka pod łóżkiem małego braciszka i nikt z dorosłych nie może tego wiedzieć i trzeba trzymać tajemnicę. Różne rzeczy trzeba trzymać w tajemnicy. Raz się poszło z Tatusiem do Jackowskiego i okropnie i zaraz zachciało się siusiu. Więc Tatusź zaprowadził do korytarza i kazał iść na

lewo. I jakoś się pomyliło i pewnie poszło na prawo i weszło do takiego miejsca gdzie siusiąją sami panowie. Wszyscy stali tyłem i siusiali na kafelkową ścianę i to było strasznie nieprzyjemnie i zaraz się uciekło a jeden pan się obejrzał i zobaczył i okropnie się śmiał. Więc potem się już poleciało na prawo ale niebardzo się zdążyło i trochę były mokre majteczki. I o tym że są mokre majteczki, ani o tym że się weszło tam gdzie siusiąją tylko panowie nie powie się nikomu: ani Tatusiowi, ani Frojlajn, ani Mamusi, ani siostrze. Bo się będą wyśmiewać i będzie strasznie przykro. I może już nigdy nie pozwolą pójść do cukierni Jackowskiego. A tam jest przecież tak cudownie, zupełnie jak w bajce albo jak w kościele. Do kościoła czasem zabiera Helenka i tam też jest tak pełno kolorowych szybek jak u Jackowskiego. I też jest tak chłodno i marmurowo pod nogami i tak ślicznie ciastkowo pachnie. Ale lampy to ładniejsze u Jackowskiego jak w kościele. Nawet ładniejsze niż u Cioci Frani gdzie białą kulę w gwiazdki trzyma w ręku ogromny czarny murzyn. U Jackowskiego są śliczne tarasy, gdzie jest pełno niewyzbieranych liści i kasztanów i żelaznych stoliczków które skrzypią na żwirze, że aż bolą zęby i świetnie się nadają do zabawy w chowanego. Ale bawić się tam mogą tylko te dzieci, których starsze osoby jedzą na tarasie ciastka i kawę albo lody. Nie wolno tam bardzo hałasować, bo tego bardzo nie lubi łysy kelner w białym fartuchu i grozi że przepędzi. To byłoby straszne, bo do cukierni Jackowskiego tak rzadko zabierają — tylko wtedy kiedy przychodzi Tatuś. Mamusia nie zabiera tam nigdy. Mamusia jest pewnie skąpa. Mamusia mówi „grunt czysto i cało” i „ciastka przed obiadem?” i „Halinko, znów bez kapelusza” i „chłopcy, na miłość Boską, gdzie rower — to tyle pieniędzy!” Tatuś nigdy nie nudzi o żadne takie rzeczy, zawsze z nim się robi wszystkie takie rzeczy co są tylko na niedzielę. Tatuś ślicznie śpiewa. „To Lola piękna niby leśna róża” i jak on się ślizga w Dolinie Szwajcarskiej to wszyscy siedzą, i patrzą; nikt tak nie umie robić pistoleta na jednej nodze jak on. Tatuś mówi, że jak był młody to skakał z mostu do Wisły i jeździł na panczenach; ale chłopcy mówią, że jak Tatuś był młody to jeszcze wcale panczenów nie znali. Ale i tak wszystkie zwierzęta go lubią i w cyrku prowadzi dzieci do lwów i tygrysów; chłopcy znowuż mówią, że nie wszedłby do klatki lwa, ale przecież umie hipnotyzować kanarka dziewczynek, więc może by sobie ze lwem też poradził. Na pewno...

Mamusia nie pozwala chodzić ani do Jackowskiego ani do Alei Owocowej. W Owocowej Alei siedzą na ławkach rosyjscy studenci i mówią takie rzeczy, których nie wolno słuchać. Przez Owocową wolno przejść najwyżej raz dziennie — pójść do ze-

gara na którym jest kalendarz i strzałka od deszczu i pogody. „Nie gap się w prawo i w lewo — nie kręć się — idź prosto do zegara, zobacz godzinę i natychmiast wracaj do Frojlajn”. Czy wolno iść aż na koniec Owocowej Alei po miętowe brukowce i napić się wody z sokiem w budce? Nie tego nie wolno, na to znów musi przyjść Tatuś. Niektóre dziewczynki — takie co przychodzą bez bon, albo takie co je bony przyprowadzają i zaraz potem gdzieś sobie idą — chodzą ciągle po Owocowej Alei i potem opowiadają co mówią studenci. Nie ma w tym nic strasznego, dorośli zawsze przesadzają. Studenci mówią: „Ach, jakie śliczne nóżki” i czasem zabierają dziewczynki na wodę z sokiem. Może te nieprzyzwoite rzeczy mówią zawsze po rosyjsku, a może mówić po rosyjsku jest nieprzyzwoicie? Przecież nie wolno się bawić z dziewczynkami których ojciec jest naczelnikiem poczty, ani z dziewczynką co się nazywa Wiera i nosi wysokie buty brązowe, zapinane na guziczki. Matka mówi „To Rosjanki — proszę się z nimi nie zadawać”. Te dziewczynki co ich ojciec jest naczelnikiem poczty mieszkają tuż obok Ogrodu w ślicznym pałacu obok poczty. Noszą białe sukienki haftowane — to szwajcarski haft — to bardzo drogie mówi Mamusia — i cienkie złote łańcuszki na szyjach. Ich Mama jest ciemna i zawsze nosi błyszczące suknie i ma strasznie dużo pierścionków z niebieskimi i czerwonymi kamieniami na palcach i cudowny długi złoty łańcuch pełen zwierzątek, koralowych rączek, kółeczek, kamyczków i muszelek. Mamusia nigdy z nią nie rozmawia, ale kiedyś powiedziała o niej do pani Rutki „To okropne jak ona się maluje — one wszystkie tak — wszystkie Rosjanki i kokoty”. „Kokoty” powiedziała bardzo cichutko i to pewnie musi być bardzo nieprzyzwoite i dzieci nie powinny tego słyszeć. Więc to pewnie o tych kokotach rozmawiają po rosyjsku studenci w Owocowej Alei i to pewnie dlatego nie wolno chodzić po Owocowej Alei.

Już nic się nie podoba. Już tylko chciałoby się wyjechać na wieś. Ani trytony przy fontannie co pluja takim zimnym kurzem, ani chodzenie ze starszymi dziewczynkami, „jak koleżanki” z rękami skrzyżowanymi na plecach ani plucie jak przechodzi pop i uciekanie jak zobaczy i wygraża, co przecież zawsze jest szalenie przyjemnie i wszystkim młodszym i nawet starszym dzieciom strasznie się podoba, ani zabawa w Krakowiankę ani w klasy. Chociaż w klasy się prawie zawsze wygrywa, i prawie codzień się jest Krakowianką co nie chciała Króla, bo do tego trzeba mieć najdłuższe włosy i się je właśnie zawsze ma, a w grze w „farby” zna się najlepsze kolory jakich nie zna żadna inna dziewczynka: ultramarina, tango i pepita. Janka się wyśmiewa „Głupia — pepita to nie kolor — to taka kratka”, ale

wiadomo że Janka się wyśmiewa bo jest zazdrosna i o włosy i o to że nie zna tylu kolorów. A przecież pani Rutki nowy kostium jest pepita z czerwonym — mówiła to Mamusi i będzie go mieć na ślubie kuzynki Zosi.

Halina KORN

W NAJBLIŻSZYM

CZASIE

UKAŻE SIĘ

KOSMOS

WITOLDA

GOMBROWICZA

Wiersze

DYRYGENT

*Dyrygował w nocnej ciemności
Choć oko wykol
A jednak napinały się nitki skrzypiec,
Sieci pęczniejące ławicami ryb,
Hefajstos bił młotem w bębny,
Od przodu sztylety fletów i kłęby trąb
I wszystko uderzało w niego,
Nazywało się orkiestrą
A było morzem.*

*Aż zerwał się w gniewie,
Rzucił pulpitem w ciemność wroga,
Rozbiły się tablice przykazań,
Rozsypały się litery nut,
I całe morze oniemiało
I pływały po nim tylko kartki partytur
Jak w porcie skórki pomarańcz.*

*A jednak z tej klęski milczenia
Wyszedł nowy dyrygent,
Wstąpił na podium,
Rzucił piorunem w orkiestrę,
Rozświecił noc
I morze zagrało.*

DIALOG PRZY FAJCE

*Abażur z ludzkiej skóry,
Popielniczka z ludzkiej czaszki,
Czemu nie?*

*Wszystko się może wydarzyć
I myśmy powinni o tym
Jak dojrżeli panowie spokojnie
Wieczorem przy fajce
Pogwarzyć.*

*— Ile milionów Żydów?
Ile milionów Polaków?
Kto to wie?*

*Nikt ich nie zliczy
I nie bardzo o czym tu gwarzyć,
Więc jak dorośli, spokojni panowie
Raz na zawsze powinniśmy wiedzieć,
Że to wszystko może się znowu
Kiedyś wydarzyć.*

KOŃSKIE KOLANA

*Na Górnośląskiej
Upadł koń na śliskim bruku,
Wyskoczyłem bezmyślnie z dorożki,
Koń sunął się w dół na startych kolanach,
Próbował wstać i upadał
Aż położył się na bok
I dyszał zdumiony.*

*Potem nastąpiła epoka
Wyskakiwania z pędzących pociągów,
Więc skakali po nocy
Łamali nogi i żebra,
Nie mogli powstać
By się ocalić.*

*Czwierć wieku temu.
Wciąż bolą mnie tamte końskie kolana,
Niewyrażone
Zwierzęce
Prorocтво.*

IMIONA

*Nie ma co szukać dawnych imion
Których już nikt nie nosi,
Poszły pod ziemię z właścicielami.
Czasem ocknie się jedno, drugie
Ale nie ma do kogo należeć
I wraca do niepamięci.*

*Tam zakopane w białych rzędach
Leżą niewinne narzeczone,
W długich sukniach, z zamkniętymi oczami,
Od dawna bez ruchu, bez oddechu,
Tak doskonale obojętne
Ze można by je pokazywać
Turystom w autokarach
Jak mumie z katakumb.*

*Położymy się koło nich,
Wejdziemy pod ziemię w niepamięć,
Bo takie nadano nam imię,
Ludziom ślepego przeznaczenia,
Wybrańcom losu.*

GNIEW

*Czemu zgubiłem się w drobiazgu,
Ślęczę nad jakąś w palcu drzazgą
Jak gdybym tylko tyle czuł,
A mnie przez kości w twardą ziemię
Wbiło zawzięte moje plemię
Ojczysty, osikowy kół.*

Tyle że trwam. Trwam tak przybity,
 W gardło mi wleją okowitej
 Albo mi chlusną wodą w twarz,
 Bym nie omdlewał, ledwie dyszał,
 Abyś cię, ziemio, słyszał, pytał
 Co ty w zanadrzu jeszcze masz.

A ty masz góry kute w ogniu,
 Karpacką sosnę, sarny pod nią,
 Po mokrej łące olchy biegną,
 W środku na jednej nodze czapla,
 Wieczór się pyli, mgła się skrapla,
 Mnie wszystko jedno.

Mnie tylko ten bestialski kót
 Abyś omdlewał, ledwie czuł
 Jak dogorywa się w rozbiciu,
 Mnie tylko żar zawzięty, gniew,
 Nie żadna miłość, twardy gniew,
 I to mnie trzyma przy życiu.

Kazimierz WIERZYŃSKI

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



Tel: FRE. 7888

\$ = 72 zł.

£ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO

BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
 38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Wiersze

ANTYPODY

Dużo śpię i czytam Tomasza z Akwinu
albo „Śmierć Boga” (takie protestanckie dzieło).
Na prawo zatoka jak odlana z cyny,
za tą zatoką miasto, za miastem ocean,
za oceanem ocean, aż do Japonii.
Na prawo suche pagórki z białą trawą,
za pagórkami nawodniona dolina gdzie uprawia się ryż,
za doliną góry i sosny ponderosa,
za górami pustynia i owce.
Kiedy nie mogłem bez alkoholu, jechałem na alkoholu.
Kiedy nie mogłem bez papierosów i kawy, jechałem na
[papierosach i kawie].
Byłem odważny. Pracowity. Prawie wzór cnoty.
Ale to nie przydaje się na nic.

Panie doktorze, boli mnie.
Nie tu. Nie, nie tu. Sam już nie wiem.
Może to nadmiar wysp i kontynentów,
niepowiedzianych słów, bazarów i drewnianych fletów,
albo picia do lustra, bez urody,
choć miało się być czymś w rodzaju archaniola
albo świętego Jerzego na Świętojerskim Prospekcie.

Panie znachorze, boli mnie.
Zawsze wierzyłem w gusa i zabobony.
Naturalnie że kobiety mają tylko jedną, katolicką, duszę
ale my mamy dwie. Kiedy zatańczysz
we śnie odwiedzasz odległe pueblos
i nawet ziemie nigdy nie widziane.
Włóż, proszę ciebie, amulety z piór,
poratować trzeba swojego.
Ja czytałem dużo książek ale im nie wierzę,
kiedy boli powracamy nad jakieś rzeki,
pamiętam tamte krzyże ze znakami słońca i księżyca
i czarowników, jak pracowali kiedy była epidemia tyfusu.
Wyślij swoją drugą duszę za góry, za czas.
Powiedz, będę czekać, co widziałeś.

PO DRUGIEJ STRONIE

Niektóre piekła mają wygląd domów i miast zrujnowanych przez ogień, gdzie infernalne duchy czają się w ukryciu. W mniej dotkliwych pieklach można widzieć nędzne rudery, niekiedy w rzędach tworzących rodzaj miasteczek z ulicami i zaułkami.

Emanuel Swedenborg

*Padając chwyciłem się zastony
i jej aksamit w rękę był ostatnią rzeczą na ziemi
kiedy obsuwałem się rycząc: aaa aa.*

Do końca nie wierzyłem, że jak innych, mnie.

*Następnie szedłem po koleinach
w wyboistym bruku. Drewniane baraki
albo jednostopa kamieniczka w polu chwastów,
działki kartofli ogrodzone kolczastym drutem.
A grali w niby-karty i był zapach niby-kapusty
i niby-wódka, niby-brud i niby-czas.
Mówiłem, że przecież... ale wzruszali ramionami
albo odwracali oczy. Bo ten kraj nie znał zdziwienia.
Ani kwiatów. Pelargonie w blaszankach uschnięte,
pozór zieleni zakryty lepkiem pyłem.
Ani przyszłości. Grały gramofony
powtarzając bez ustanku co nigdy nie istniało.
Rozmowy powtarzały co nigdy nie istniało
żeby nikt nie zgadł gdzie jest i dlaczego.
Patrzyłem na chude psy. Wydłużały i kurczyły pyski
zmieniając się z kundli w charty, to znów w jamniki,
na zaznaczenie że są niezbyt psami.
Stada wron stygły w locie, pękały pod chmurą.*

SENTENCJA

*A jednak za duża odpowiedzialność zwabiać dusze
Stamtąd gdzie mieszkwały razem z ideą kolibra i krzesta i gwiazdy.
Więzić je w albo-albo: płęć męska, płęć żeńska
Żeby we krwi narodzin budziły się z płaczem.*

DYTYRAMB

Tak wiele widzieliśmy na ziemi a malachitowe góry o zachodzie słońca spotykane są jak zawsze pieśnią i pokłonem.

Ten sam wiosenny taniec przyzywa kiedy pod rumowiskiem bazaltowych skał stada ptaków nurkują w przezroczystych wodach zatoki.

I wydra morska błyska płetwiastą ręką tarzając się w pianach koło Point Lobos.

A we mgle żarzy się czerwień azalii z dna parnych wąwozów.

Nic nie zostało dodane i nic nie zostało odjęte, niewzruszony, doskonały, nietykalny świecie.

Melodia ustnej harmonijki, z daleka, z niepewnych lat, albo ścieżka na którą przewróciliśmy się złączeni pocałunkiem.

Uśpiony len kołowroteków, w zasiekach jabłka i ziarno, brunatne tarcze na piersiach kuzynki Antolki.

Grzechotanie karabinów maszynowych na równinie porytej przeciwczołgowymi rowami pod rozdartą zastoną pochmurnego świtu.

Kto potwierdzi, kto powie „moje” na daremny, daremny, z trudem przywołany sen?

Z chrzęstem renesansowych sukien idą nasze umarte, oglądają się i kładą palec na usta.

Towarzysze w zbrojach zasiedli za szachownicą ustawiwszy zamczyste hełmy obok.

A miłosna potęga, żywe złoto we krwi, unicestwia na wieki nasze puste imię.

Czesław MIŁOSZ

Komunizm - Nacjonalizm - Afro-Azja

Nacjonalizm zasłużył sobie na nową definicję. Nie mieści się bowiem bez reszty ani w ujęciu wschodnim ani w zachodnim. Skłonny jestem przypuszczać, że w analizie i ocenie nacjonalizmu mylą się zarówno marksiści jak i anty-marksieści.

Witos w świeżo wydanych przez „Kulturę” pamiętnikach opisuje „cesarski lojalizm” chłopą galicyjskiego. Ów lojalizm był dziwną mieszaniną poczucia hierarchicznego autorytetu z budzącą się świadomością klasową. Chłop wierzył, że cesarz broni go przed wyzyskiem szlachty. Upadek Austrii, odbudowa niepodległej Polski — w umyśle chłopą kojarzyły się z niebezpieczeństwem powrotu pańszczyzny i wyzysku.

Galicyjski chłop nie stanowił wyjątku. W dziewiętnastowiecznej Europie nacjonalizm reprezentowali ludzie wykształceni, często zamożni i często uprzywilejowani. Patrząc na tego typu układ stosunków Marks doszedł do wniosku, że „robotnicy nie mają ojczyzny” a nacjonalizm w swej istocie jest zjawiskiem burżuazyjnym.

Z cesarzy i carów nie ma śladu, przebrnęliśmy przez dwie rewolucje przemysłowe — niemniej pogląd Marksa obowiązuje po dzień dzisiejszy. I co dziwniejsze obowiązuje przede wszystkim w świecie zachodnim.

Żadnego Amerykanina nikt nie przekona, że można być nacjonalistą wyrzekając się burżuazyjnego poglądu na świat i społeczeństwo. Marksieści nie są już pewni definicji mistrza lecz na Zachodzie nikt nie poddaje jej w wątpliwość. Pod tym względem jesteśmy lepszymi marksistami niż komuniści.

Gdyby nacjonalizm był formacją czysto burżuazyjną powinien był podzielić losy burżuazji. Nadzieje, że robotnicy „bez ojczyzny” po obaleniu rządów burżuazyjnych wytworzą system internacjonalny — okazały się złudne i z gruntu fałszywe.

Słowo „nacjonalizm” kojarzy się nam z szowinizmem, ONR i tp.

Wskutek tego nacjonalizmowi przeciwstawia się patriotyzm. Każde ugrupowanie polityczne uważa, że posiada wyłączny monopol w tej sprawie. Żaden członek Stronnictwa Narodowego nie przyznałby szczypty patriotyzmu Bolesławowi Bierutowi a przecież pod pewnymi fragmentami jego przemówień mógłby się podpisać Dmowski.

W niniejszym szkicu przez „nacjonalizm” rozumiem uświadomione poczucie więzi narodowej w najszerszym tego słowa znaczeniu.

To nie rewolucja przemysłowa — względnie nie tylko rewolucja przemysłowa przywróciła chłopów i robotników narodowi. Przede wszystkim unarodowił ich socjalizm. Socjalizm zlikwidował koncepcję „dwóch narodów” nie tylko w Anglii lecz w całej Europie. Twórcami polskiego patriotyzmu — w sensie upowszechnienia poczucia wspólnoty narodowej — są w nieporównanie większej mierze socjaliści niż endecy.

Trudno jest być patriotą będąc obywatelem drugiej klasy ciemniejoną i wyzyskiwaną przez obywateli pierwszej klasy. W klasycznie burżuazyjnym społeczeństwie z podziałem na „dwa narody” — wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych — nie może być solidarnej więzi ogólnie narodowej. Jeżeli chłop ma do wyboru Polskę z pańszczyzną i Austrię bez pańszczyzny — oczywiście opowie się za Austrią, tak jak to czynił w okresie młodości Witos.

Marks wnioskował, że podstawą internacjonalizmu musi być wspólnota interesów. Hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” — odzwierciedlało przekonanie, że proletariusze na całym świecie nie mają niczego do stracenia prócz kajdan. Autor „Kapitału” nie przewidział natomiast, że wraz z utratą kajdan do grobu zejdzie również i internacjonalizm. Socjaliści, którzy rozkuli robotnika z kajdan — przemienili go nie w internacjonalistę bez ojczyzny lecz w narodowo uświadomionego obywatela.

Marzymy o Europie w której nie byłoby granic, paszportów, wiz, ograniczeń dewizowych. Współpraca międzynarodowa przybrała rozmiary niespotykane w przeszłości — lecz nacjonalizm nigdzie nie wymarł. Przeciwnie, pojawił się tam, gdzie go nigdy nie było a mianowicie w krajach, które nie miały własnej burżuazji. Okazuje się więc, że burżuazja nie jest wyłączną producentką nacjonalizmu.

Spójrzmy na interesujące nas zjawisko z perspektywy Moskwy. Dla marksisty-polityka jest procesem historycznym w akcji. Głosząc, że „historia jest po ich stronie” komuniści pragną podkreślić, że ich analiza współczesnej fazy rozwojowej jest prawidłowa i w konsekwencji polityka komunistyczna, oparta na tej analizie, jest również prawidłowa.

Dyktator X, który w swym kraju przeprowadził reformę rolną i stworzył bazę przemysłową — obiektywnie jest sojusznikiem komunizmu — choć subiektywnie może być jego przeciwnikiem. W analizie marksistowskiej punktem odniesienia jest za-

wsze kierunek rozwoju historycznego. W tym świetle likwidacja feudalizmu, budowa bazy przemysłowej itp. — są obiektywnie zgodne z prawidłową linią rozwoju bez względu na subiektywne poglądy danego przywódcy narodowego.

Analiza marksistowska traktowana krytycznie — w odniesieniu do nie-komunistycznego świata, może badaczowi oddać pewne usługi. Dramat polega jednak na tym, że metoda marksistowska zawodzi całkowicie w odniesieniu do świata komunistycznego.

Rumuni nakładem znacznych kosztów przemundurowali swoją armię tylko w tym celu by zniweczyć podobieństwo w umundurowaniu rumuńskim i sowieckim. Przemianowali ulice miast, które nosiły nazwy rosyjsko brzmiące. To są reakcje emocjonalne warte jednak chwili zadumy.

Ekonomiści sowieccy planujący tzw. „Komekon” — wychodzili z poprawnego w sensie marksistowskim założenia, że przyspieszenie rozwoju gospodarczego w państwach członkowskich wymaga ponad-narodowego planowania i podziału zadań. Gdyby rządy państw satelickich składały się z autentycznych komunistycznych internacjonalistów — „Komekon” byłby dziś sprawnie funkcjonującą organizacją i z całą pewnością nie wyrzucono by nigdzie pieniędzy na zmianę sowieckiego modelu umundurowania.

Jedna z wielu wewnętrznych sprzeczności komunizmu polega na tym, że komunizm umacnia poczucie narodowe. Likwidacja analfabetyzmu, rozpowszechnienie na imponującą skalę czytelnictwa, uprzemysłowienie, rozbudowa sieci radiowej i telewizyjnej, kultura masowa — wszystko to umacnia nie marksizm lecz poczucie polskości.

Polacy na emigracji na ogół nie zdają sobie sprawy z wymiarów tego zjawiska. Przed dwoma laty odwiedził mnie w Londynie mój kuzyn, który przed wojną był ziemianinem. Ziemi mu odebrali, zabytkowy dwór w którym jego rodzina mieszkała od pokoleń spalono. On sam wylądował na Ziemiach Odzyskanych i jako inżynier rolnik otrzymał stanowisko komisarza rządowego. W tym charakterze organizował osadzanie chłopów polskich na po-niemieckich gospodarstwach. Otóż ten pan, klasyczny „wróg klasowy” powiedział mi, że owe lata kiedy „współpracował przy zakładaniu zrębów państwowości polskiej na piastowskich ziemiach” uważa za „najpiękniejszy okres swojego życia”.

Ani marksyści ani komuniści z niego nie zrobili — lecz zażartego nacjonalistę zrobili z niego bez trudności. Najwięcej nieporozumień pomiędzy krajowcami a emigrantami tu bierze swe źródło. Dla nas „zręby państwowości” są reżymem a nie państwem i za jedyny przejaw patriotyzmu uważamy protest i działalność anty-komunistyczną. Natomiast w kraju miliony patriotycznie myślących Polaków buduje owe „zręby” w przekonaniu, że PRL jest Państwem Polskim mimo, że rządzą nim komuniści. Ci ludzie są niezmiernie uczuleni na krytykę emigracyjną, która zbyt często i zbyt brutalnie wylewa dziecko wraz z kąpielą.

Nacjonalizm w bloku wschodnim doprowadził do fenomenu, który Togliatti nazwał policentryzmem. Zapoczątkował ów proces niewątpliwie Tito. Od 1948 r. nacjonalizm jest głównym problemem Związku Sowieckiego.

Zarówno Chiny jak i Ameryka są wolne od tego typu zagadnień. Gdyby Chińczycy wycofali się z Tybetu i z wszystkich niechińskich terytoriów i tak pozostaliby olbrzymim państwem i najliczniejszym narodem globu. Stany Zjednoczone nie mają w ogóle mniejszości narodowych. Murzyni są Amerykanami czarnej rasy, którzy walczą o pełnoprawnienie.

Zarówno „American Nation” jak i „lud radziecki” są typami narodowości syntetycznej — nie etnicznej. O ile jednak słowo „American” brzmi prawdziwie — o tyle termin „człowiek radziecki” brzmi fikcyjnie. Dlaczego?

Można fundować nowy naród i nową narodowość pod warunkiem, że dysponuje się nową ziemią. Żaden Australijczyk — choćby o typowo angielskim nazwisku nie powie o sobie, że jest Anglikiem. Przeciwnie, z dumą stwierdzi, że jest Australijczykiem. I to jest oczywiste, ponieważ Australia nigdy nie była ojczyzną Anglików tylko kolonią na drugiej półkuli. Inna jest jednak sytuacja Ukraińca zamieszkałego na ziemi ukraińskiej, a więc w swojej własnej ojczyźnie, któremu każe się adoptować narodowość radziecką.

Ponieważ na naszym globie nie dysponujemy już *terra incognita* nowy naród moglibyśmy powołać do życia zaludniając inną planetę. Lecz Związek Sowiecki nie jest ani *terra incognita* ani nową planetą. Z powyższych przyczyn nie wydaje się prawdopodobne, by koncepcja „ludu radzieckiego” miał prowadzić do wygaśnięcia nacjonalizmów wewnątrz Związku Sowieckiego.

Czy nacjonalizm można pogodzić z uniwersalizmem idei komunistycznej? W oparciu o historyczne przykłady katolicyzmu i islamu należy stwierdzić, że uniwersalizm ideologiczny jest do osiągnięcia tylko poprzez dynamikę nacjonalistyczną. Katolicyzm jest super-polski w Polsce, super-brazylijski w Brazylii, super-austriacki w Austrii. I na tym polega jego uniwersalizm. Dla milionów mieszkańców Polski, Polak i katolik to są synonimy. Trudno wyobrazić sobie większy triumf idei uniwersalnej.

Istotą nacjonalizmu jest dążenie do narodowo-państwowej niezależności. Narodowo-państwowa niezależność jest do pogodzenia niemal z każdym systemem ekonomiczno-socjalnym. Natomiast niezależność jest nie do pogodzenia z imperializmem a więc ani z systemem satelickim ani z koncepcją „ludu radzieckiego”.

Bez względu na to czy się nam to podoba czy nie, należy obiektywnie stwierdzić, że nacjonalizm jest jednym z najpotężniejszych prądów dwudziestego wieku. Spośród wielu faktów, które sprzyjają rozwojowi nacjonalizmu wymienić należy dwa następujące: „podwójną hegemonię” Rosji Sowieckiej i Stanów Zjednoczonych oraz afro-azjatycki ruch anty-kolonialny. Amerykanie z jednej strony gwarantują bezpieczeństwo Francji — z

drugiej strony żywią francuski nacjonalizm. Rosjanie z jednej strony gwarantują granicę na Odrze i Nysie — z drugiej strony żywią polski nacjonalizm. Supermocarstwa skłonne narzucać słabszym swoją wolę — deklamują o międzynarodowej współpracy i harmonii budząc wśród swoich sojuszników (względnie satelitów) reakcje nacjonalistyczne.

Amerykanom ze strony ruchów nacjonalistycznych nic nie zagraża pod warunkiem, że odrzucą sowieckie okulary, które pozwolili sobie wtłoczyć na nos. Owe okulary powodują, że Amerykanie — podobnie jak przywódcy sowieccy — definiują nacjonalizm w kategoriach ideologicznych.

Na obszarach afro-azjatyckich istnieją dziesiątki krajów którym komunistyczna metoda wydobycia się z zacofania — może wydawać się jedyną dostępną drogą wiodącą do niepodległości. Akumulacja kapitału, reforma rolna, start przemysłowy, silna władza centralna — to wszystko są instrumenty samostanowienia narodowego.

Następujące stwierdzenie uznać należy za socjologiczny pewnik: nikt nie chce być satelitą. Jeżeli w danym kraju przywódcy nacjonalistyczni w chaotycznych warunkach, jakie panują dziś na obszarach afro-azjatyckich — dochodzą do wniosku, że metoda komunistyczna czy semi-komunistyczna jest dla nich najłatwiej dostępna — nie oznacza to, że ich jedynym celem i marzeniem jest poddać się supremacji chińskiej czy sowieckiej. Jeżeli jednak owi nacjonałiści od samego początku w Waszyngtonie zostają zakwalifikowani nie jako nacjonałiści lecz jako „agenci międzynarodowego spisku komunistycznego” — w praktyce nie mają innego wyjścia tylko szukać poparcia Chin albo Sowietów.

W sferze wpływów Sowietów komunizm narodowo-niezależny toruje sobie drogę z wielkim trudem, czego przykładem jest Rumunia. Lecz w sferze wpływów amerykańskich jest jeszcze gorzej. Nacjonalizm jeżeli nie jest prawicowy nie jest w ogóle uważany za nacjonalizm. Dla Sowietów nacjonalizm nie może być biały — dla Amerykanów nacjonalizm nie może być czerwony. Z doświadczenia wiemy jednak, że nacjonalizm w sensie politycznym może być każdej barwy.

W krajach, które oddziela przestrzeń tysięcy mil zarówno od Sowietów jak i od Chin — czerwoni nacjonałiści ujmujący ster rządów muszą mieć poparcie części społeczeństwa, bo ani Moskwa ani Pekin nie byłyby w stanie utrzymać ich przy władzy. Stany Zjednoczone krajom tego typu winne udzielać pomocy i poparcia w zamian za deklarację narodowej niezależności — co w praktyce musiałoby oznaczać zobowiązanie niezawierania żadnych układów z Moskwą lub Pekinem.

Amerykanie winni przyjąć jako kamień probierczy dla swojej polityki niepodległość a nie ideologię czy ustrój. W krajach afro-azjatyckich, które w znakomitej większości wypadków nie mają możliwości adoptowania zachodniego systemu gospodarczo-społecznego — nie jest istotne czy rządzą nacjonałiści prawicowi czy

lewicowi. Istotne jest czy są w stanie zapewnić minimum niezbędnego dla postępu ładu, oraz zachować status niezależny.

W moim przekonaniu powyższy problem posiada podstawowe znaczenie. 2 biliony afro-azjatów ogarnął prąd anty-kolonializmu i nacjonalizmu. Gdyby na przestrzeni najbliższej dekady na obszarach afro-azjatyckich powstało kilka czy kilkanaście państw komunistycznych w pełni niezależnych zarówno od Pekinu jak i od Moskwy — wywarłoby to decydujący wpływ na przemiany zarówno w bloku państw wschodnio-europejskich jak i w Związku Sowieckim.

Losy imperium sowieckiego zależą w całości od problemu narodowościowego. Komunizm musi być do pogodzenia z nacjonalizmem i z niezależnością. Droga, która wiedzie do tego celu jest policentryzm. Przez policentryzm należy rozumieć nie tylko autonomię poszczególnych partii komunistycznych lecz również niezależność państwową.

Stany Zjednoczone popierają policentryzm w krajach Europy wschodniej natomiast na obszarach afro-azjatyckich gdzie policentryzm jest propozycją niewspółmiernie bardziej realną niż w Polsce czy na Węgrzech — Waszyngton przyjmuje pogląd, że żaden komunista nie może być nacjonalistą.

Ów historyczny ruch anty-imperialistyczny i w stu procentach nacjonalistyczny, który objął Azję i Afrykę — Stany Zjednoczone mogą obrócić albo przeciwko Rosji Sowieckiej albo przeciwko sobie.

Sowietolodzy amerykańscy popełniają często następujący błąd. Twierdzą mianowicie, że wzrost bezpośrednich wpływów chińskich na terenach azjatyckich nie leży w interesie Sowietów. Jeżeli więc państwu X grozi satelictwo chińskie — powstaje swojego rodzaju „wspólnota interesów” pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą, mająca na celu zatamowanie wpływów chińskich.

To jest rozumowanie logiczne lecz nie kompletne. Jeżeli w azjatyckim kraju X Sowiety miałyby do wyboru — komunistyczny rząd pro-chiński lub rząd prawicowego generała plus doradców amerykańskich — w takiej sytuacji Moskwa wybrałaby prawicowego generała wraz z amerykańskimi doradcami. Dopóki bowiem istnieje prawicowy generał i amerykańscy doradcy — istnieją również możliwości opanowania kraju przez komunistów pro-sowieckich. Lecz w tym miejscu „wspólnota interesów” pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą kończy się definitywnie i nieodwołalnie. Jeżeli w azjatyckim państwie X Rosja miałaby do wyboru satelicki rząd pro-chiński lub komunistyczny rząd w pełni niezależny zarówno od Moskwy jak i od Pekinu — w takiej sytuacji Sowiety wybrałyby satelicki rząd pro-chiński. Z punktu widzenia interesów Związku Sowieckiego lepszy jest satelita pro-chiński *lecz satelita* — niż rząd komunistyczny, nacjonalistyczny, niepodległy i nie uznający ideologiczno-politycznej zwierzchności ani Pekinu ani Moskwy.

Dopóki świat komunistyczny rozpada się nominalnie na dwa

imperia, każde ze swoimi satelitami — zawsze istnieje możliwość taktycznego wyrównania frontu i korektury linii rozdziającej sfery wpływów. Natomiast znacjonalizowanie komunizmu i jego policentryzacja doprowadzić by musiały do upadku systemu satelickiego a w dalszej perspektywie do radykalnej przebudowy Związku Sowieckiego.

Z wszystkich możliwych rozwiązań powstanie niezależnych narodowo-komunistycznych państw na obszarach afro-azjatyckich dla Związku Sowieckiego stanowi największe zagrożenie. Dopóki małe i średnie kraje adoptujące metodę komunistyczną automatycznie stają się nie tylko anty-amerykańskie lecz i satelickie (w odniesieniu do Moskwy lub Pekinu) Związkowi Sowieckiemu nic nie zagraża. Z punktu widzenia interesów Rosji Sowieckiej utrzymanie systemu satelickiego ważniejsze jest od ideologii. Chińczyków i chińskich satelitów można piętnować jako dogmatyków i stalinowców. Lecz nikt satelitów sowieckich czy chińskich nie identyfikuje z wolnością i niepodległością. Z tychże przyczyn system satelicki w Afro-Azji nie zagraża systemowi satelickiemu w Europie wschodniej.

Gdyby jednak okazało się w przyszłości, że dany kraj może przyjąć komunistyczną metodę startu przemysłowego i równocześnie pozostawać w dobrych stosunkach z Ameryką, utrwalając swą narodowo-państwową niezależność — wówczas państwa satelickie w Europie wschodniej zaczęłyby wysuwać konkretne żądania pod adresem Moskwy. Systemowi satelickiemu można bezpośrednio zagrozić nie w Europie lecz w Azji. Na obszarach afro-azjatyckich Stany Zjednoczone są władne dopomóc tym partiom rewolucyjnym, które pragnęłyby udowodnić w praktyce, że prawo do „własnej drogi do socjalizmu” oznacza również prawo do narodowo-państwowej niepodległości. Rozwój po tych liniach wywarłby bardzo szybko decydujący wpływ na sytuację w Europie wschodniej. Policentryzm z zjawiska ideologicznego przekształciłby się w zjawisko polityczne.

Rozpatrywanie konfliktu Wschód-Zachód w perspektywie klasyczno-zimno-wojennej na obszarach afro-azjatyckich jest bez sensu. Dynamicznymi siłami Afro-Azji są anty-kolonializm, nacjonalizm, nawet rasizm lecz nie... dialektyczny materializm.

29 czerwca br. w Algierze odbędzie się konferencja państw afro-azjatyckich. Na przygotowawczej konferencji ministrów w Dżakarcie delegacja sowiecka walczyła o prawo uczestniczenia w projektowanym „szczycie” afro-azjatyckim w Algierze. Po dłuższych debatach afro-azjaci odprawili Rosjan z kwitkiem obiecując, że ich petycje rozpatrzy powtórnie komisja ministrów, która zbierze się w Algierze 24 czerwca br. a więc na 5 dni przed rozpoczęciem się właściwej konferencji.

Dopóki uznajemy Związek Sowiecki za legalne państwo w sensie prawa międzynarodowego — dopóty nie możemy kwestionować jego azjatyckiego charakteru. „Człowiek radziecki” może być Azjatą lub Europejczykiem zależnie od pnia narodowego z jakiego się wywodzi. Lecz Rosjanie należą do rasy białej i są

narodem europejskim. I to jest punkt, który zadecydował w Dżakarcie i — być może — zadecyduje w Algierze.

Obserwujemy dwa prądy, które na pozór wydają się sprzeczne. Z jednej strony wyrastają jak grzyby po deszczu nowe, niepodległe państewka jak Cypr czy Malta. Z drugiej strony mówimy o Zjednoczonej Europie i podkreślamy przy każdej okazji, że jesteśmy Europejczykami. Wierzmy bowiem, że „europeizm” w takiej czy innej formie umożliwi nam zachowanie w pewnym stopniu narodowo-państwowej niezależności w stosunku do światowych hegemonów tj. Ameryki i Związku Sowieckiego.

Koncepcja afro-azjatyizmu idzie po tych samych liniach. Afro-azjaci łączą się by zachować niezależność świeżo zdobytą i nieustabilizowaną.

Z trzech mocarstw zainteresowanych, tzn. Rosji, Ameryki i Chin — największe możliwości działania i oddziaływania miałyby Stany Zjednoczone. Amerykanie są biali, lecz nie są Europejczykami i nie ciąży na nich przeszłość imperialna. Nie tylko nie mają kolonii lecz samo wywodzą się z antykolonialnego eposu. Zainteresowani są nie triumfem ideologii i systemu satelickiego lecz przeciwnie, triumfem wolności i niezależności.

Nieufność budzi potęga amerykańska, bogactwo i ścisłe powiązania z byłymi kolonialnymi mocarstwami. Lecz główną przyczyną niepowodzeń polityki amerykańskiej na omawianych obszarach jest ideologiczne doktrynerstwo. Amerykanie nie rozumieją, że afro-azjatycki Tito może być stabilizatorem sytuacji w daleko większej mierze niż prawicowi, przekupni generałowie czy miejscowa arystokracja. Prawicowy generał często występuje po obu stronach barykady — raz po stronie partyzantów drugi raz po stronie Amerykanów. Wietnam obfituje w tego rodzaju epizody. Lecz przywódca komunistyczny, który raz wstąpił na drogę wiodącą do niezależnego socjalizmu w praktyce odcina sobie możliwość powrotu na łono Moskwy lub Pekinu.

Amerykanie nie powinni przejmować od Rosjan przebrzmiałej definicji, że komunizm jest nie do pogodzenia z nacjonalizmem. Tylko komunizm satelicki jest nie do pogodzenia z nacjonalizmem.

Ghita Ionescu w swym doskonałym studium pt. „Communism in Rumania” wydanym przez Oxford University Press pod auspicjami „Royal Institute of International Affairs” — pisze, że zmarły niedawno Georgiu Dei „przeistoczył swój własny stalinizm w rodzaj dynamicznego nacjonalistycznego dogmatyzmu”. Owo znacjonalizowanie komunizmu — co jest równoznaczne z de-satelizacją — zostało osiągnięte w Rumunii dzięki szybkiej i wydatnej pomocy Zachodu.

Policentryzm stanowi przegraną ideologii na rzecz nacjonalizmu i w tym sensie zagraża bezpośrednio systemowi satelickiemu. Oczywiście policentryzm stwarza koniunkturę tylko dla tych przywódców komunistycznych, którzy poparcie Moskwy zastąpić mogą poparciem własnej partii i społeczeństwa.

Komunistyczni przywódcy, którzy utrzymują się przy wła-

dzy wyłącznie dzięki poparciu z zewnątrz — są de facto największymi anty-komunistami epoki, ponieważ nikt bardziej skutecznie nie kompromituje ruchu komunistycznego niż ci nie-szczęśni figuranci. W następnej, policentrycznej fazie rozwoju komunizmu panowie ci znikną ze sceny.

W krajach afro-azjatyckich w najbliższej dekadzie komunizm — być może — poczyni pewne postępy. Jasne rozeznanie i poparcie Amerykanów w znacznej mierze przesądzić może odpowiedź na pytanie: jaki to będzie komunizm? Narodowo-niezależny, zdolny do ewolucji — czy agenturalny i satelicki.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

IDEOPOLIS I IDEE

I

Ekonomiści w porównaniu z politykami są optymistami. Dr Cyril Zebot — profesor ekonomii (Georgetown University) w swojej książce pt. „The Economics of Competitive Coexistence” stwierdza spokojnie:

„Rzetelny i skuteczny socjalizm w orbicie sowieckiej jest rzeczą nieuniknioną. Jest rzeczą nieuniknioną nie z uwagi na swoje zalety lecz dlatego, że w państwie totalnym tylko poprzez prawdziwy socjalizm społeczeństwo wywierać może nacisk na rząd”.

Kiedy to nastąpi? Wówczas, gdy rząd sowiecki stanie się zależny od technologicznej wiedzy i umiejętności znacznego odłamu społeczeństwa. Socjalizm, by mógł funkcjonować prawidłowo jako system ekonomiczny, musi być demokratyczny.

Łatwo wyobrazić sobie „demokrację ekonomiczną”. System tego typu może być demokratyczny w tym sensie, że o potrzebach gospodarczych, ich kolejności i sposobach zaspakajania — decyduje społeczeństwo a nie autokratyczny rząd. Można sobie wyobrazić szeroko rozbudowany samorząd gospodarczy, który stanowiłby instrument ekonomiczny demokracji. Kraj tak zorganizowany może być wzorem ładu i sprawiedliwości społecznej oraz rajem na ziemi dla konformistów.

Niestety łatwo sobie również wyobrazić że w kraju „gospodarczej demokracji” nie byłoby (poza więzieniem) miejsca ani dla Dżilasa ani dla prof. Michajłowa.

Wolność w pojęciu demokratycznym oznacza wolność dla mniejszości. Fakt, że w Ameryce biali — stanowiący znakomitą większość — mogą głosować bez trudności podkreśla problem czarnych wyborców. Wolność w Stanach Zjednoczonych oznacza wolność dla Murzynów.

Demokracja w sensie gospodarczym jest zagadnieniem *większości* — demokracja w sensie politycznym jest zawsze zagadnieniem *mniejszości*.

Wysokowartościowe towary dostępne dla jak najszerzych warstw społeczeństwa, komfortowe, nowoczesne mieszkania dla jak największej ilości rodzin, samochody dla wszystkich — to są cele i sprawdziany „ekonomicznej demokracji”.

Gdyby narody „radzieckie” samostanowiły o pierwszeństwie celów ekonomicznych — jest rzeczą wątpliwą czy statki kosmiczne i kosmonautykę uznano by za istotniejsze zagadnienie niż mieszkania, których ciągle jest brak w Rosji Sowieckiej.

Prof. Michajłow, jak wiadomo, w jednym z periodyków jugosłowiańskich ogłosił artykuł w którym stwierdził, że nie hitlerowcy lecz Rosjanie w okresie stalinowskim pierwsi stosowali ludobójstwo. Na długo przed Oświęcimem istniały w Sowietach obozy śmierci. W tymże artykule Michajłow opisuje również ferment i niezadowolenie wśród pisarzy sowieckich, którzy mają dość komenderowania literaturą przez aparatczyków.

Jugosłowiański komunista myślący z nawyku ekonomicznymi kategoriami — czytając artykuł Michajłowa musiał zadać sobie pytanie czy tego rodzaju wystąpienie nie zaszkodzi stosunkom jugosłowiańsko-sowieckim. Jeżeli nie uwięzi się autora pierwszego anty-sowieckiego artykułu — to na przestrzeni miesiąca może się ukazać dziesięć podobnych artykułów. Izolowane wystąpienie można zatuszować, lecz kilka czy kilkanaście anty-sowieckich artykułów doprowadziłoby do pogorszenia stosunków z Moskwą. W konsekwencji ucierpiałaby wymiana gospodarcza, co nie leży w interesie szerokich mas społeczeństwa jugosłowiańskiego.

W systemie totalnego socjalizmu nie ma miejsca na poglądy nie-konformistyczne ponieważ państwo, dysponując wszystkim, za wszystko ponosi odpowiedzialność. Jeżeli państwo jest jedynym wydawcą — wszystkie dzienniki i periodyki są pismami oficjalnymi. Rząd brytyjski czy amerykański może zawsze powiedzieć, że na dane pismo nie ma wpływu. Rząd jugosłowiański nie może użyć tego argumentu.

Nawet w utopijnie idealnym państwie komunistycznym podporządkowanie jednostki totalnej polityce interesu społecznego — oznaczać by musiało wygaśnięcie indywidualnej wolności.

Dogmatycy i totaliści powiadają, że nikt nie ma prawa okupowania indywidualnej wolności za cenę interesu zbiorowego. Interes społeczeństwa wykreśla granice indywidualnej wolności. Lecz kto decyduje — co leży, a co nie leży w interesie społeczeństwa? Po obu stronach wielkiej barykady interpretatorem interesu społecznego w coraz mniejszej mierze jest społeczeństwo a w coraz większej mierze państwo.

Spójrzmy na ów problem z innej perspektywy. Dr Kerr, prezydent uniwersytetu kalifornijskiego wydał interesującą książkę pt. „The Uses of the University”. By sobie zdać sprawę z rosnącej roli uniwersytetów wystarczy podkreślić, że Dr Kerr zapowiada gigantyczny plan budowy w La Jolla nowych „college’ów” na przestrzeni najbliższych 20 lat. Co dwa lata budowany będzie nowy gmach obliczony na 2,500 studentów. W obrębie

dwóch dekad „Campus” w La Jolla przemieni się w miasto liczące 25,000 mieszkańców-studentów.

Przystępuje się do masowej produkcji ludzi wykształconych i nie dziwnego, że Dr Kerr mówi w swej książce o *the knowledge industry* („przemysł wiedzy”).

„To czego dokonała kolej żelazna w drugiej połowie ub. wieku (pisze Dr Kerr) — i to czego dokonał samochód w pierwszej połowie bieżącego wieku — dokona w drugiej połowie bieżącego wieku „przemysł wiedzy”.

Uniwersytety stają się promotorem i ogniskiem wzrostu narodowej gospodarki. W tym miejscu Dr Kerr spotyka się z Dr. Zebot, który w swej książce, cytowanej już w niniejszej notatce — wysuwa tezę, że nie ideologie tylko rozkwit gospodarczy stanowią elementem ładu i pokoju między narodami. Dr Zebot sądzi, że w swych krańcowych formach kolektywizm (komunizm) skapitułuje na rzecz indywidualizmu (kapitalizmu) i odwrotnie. Z owego procesu wzajemnej, częściowej kapitulacji — tak na Wschodzie jak i na Zachodzie wykrystalizuje się pogląd, że wzrost gospodarczy winien służyć zaspokojeniu potrzeb społecznych samo-określanych przez odnośne społeczeństwo.

Czy *knowledge industry* obejmuje humanistykę? Dr Kerr zapewnia swych czytelników, że przyszłe uniwersytety-miasta, które określa mianem „Ideopolis” — obejmują swym opiekuńczym skrzydłem nie tylko dyscypliny humanistyczne lecz i sztuki piękne.

Ameryka przeżywa okres wybuchowej twórczości w malarstwie, w literaturze, w muzyce, w teatrze — twierdzi Dr Kerr. Uniwersytety chcąc wywierać wpływ na rozwój kultury będą musiały w swych murach znaleźć miejsce dla czystej twórczości (*pure creative effort*).

Koncepcja „Ideopolis” nie jest buntem czy protestem wymierzonym przeciw *establishment*. To jest raczej zamach na *establishment*. W okresie czystego kapitalizmu — wielcy przemysłowcy wywierali wpływ na rząd — identyfikując własne interesy z interesem społeczno-narodowym. Dr Kerr w swej wizji przyszłości staroświeckich kapitalistów zastępuje secentystami, którzy dzierżyć będą w swych rękach klucze do ziemskiego raj.

Należy zgodzić się z Lionel Trillingiem, który powątpiewa w możliwość zakwaterowania pisarzy w „Ideopolis”. Pisarz włączony w taki czy inny sposób w system uniwersytecki — musi akceptować nie tylko dyscyplinę akademicką lecz również polityczne „credo” *establishment*.

Wyobraźmy sobie dla przykładu, że znakomity pisarz amerykański X. głosi w swych książkach tezę jednostronnego atomowego rozbrojenia. Pisarz Y. napisał świetną powieść w której przekonuje czytelnika, że jedyną drogą do przewyciężenia uprzedzeń rasowych są mieszane małżeństwa białe-czarne i czarno-białe. Wyobraźmy sobie, że inny gwiazdor literatury amerykańskiej śladem André Gide’a występuje w swych dziełach w obronie homoseksualizmu.

Każdy z tych fikcyjnych autorów mógłby być laureatem nagrody Nobla — lecz żaden z nich nie mógłby być członkiem amerykańskiego uniwersytetu. Działalność owych pisarzy — podobnie jak działalność prof. Michajłowa nie pokrywałaby się z interesem społecznym interpretowanym przez odnośne *establishments*.

Ekonomiści mówiąc o interesie społecznym mają zawsze na myśli

„człowieka masowego”. Ideolodzy mówiąc o sprawiedliwości społecznej mają również na myśli „człowieka masowego”.

Realizacja owych słusznych i szlachetnych postulatów pociąga za sobą niebywałą rozbudowę biurokracji państwowej — ponieważ raj zapewniający sprawiedliwość i zamożność dla wszystkich nie może być organizowany „inicyjatywą prywatną”.

Z chwilą kiedy wszystko zostaje uspołecznione i upaństwowione w imię społecznej sprawiedliwości — człowiek indywidualny jeżeli nie mieści się bez reszty w „człowieku masowym” podnosi bunt. Socjologowie mówią o alienacji, frustracji, kryzysie wartości — ideologowie natomiast wszczynają wielki proces przeciwko pisarzom, poetom i humanistom.

Można mówić o *knowledge industry* lecz nie o *culture industry*. Przy odpowiednich urządzeniach można produkować tysiące inżynierów rocznie lecz nie pisarzy, krytyków czy poetów.

Sprawiedliwość socjalna i powszechny dobrobyt mogą być osiągnięte poprzez uspołecznienie i upaństwowienie dokonane kosztem inicjatywy prywatnej. Twórczość kulturalna jest jednak zawsze i wszędzie owocem inicjatywy prywatnej. Tu leży owa podstawowa sprzeczność pomiędzy kulturą a *establishment* — sprzeczność, której do tej pory nie rozwiązano w żadnym z państw komunistycznych.

Ceną, którą płacimy za sprawiedliwość społeczną jest wolność. Ustroje państw zachodnich są obecnie nieporównanie sprawiedliwsze socjalnie niż 30 lat temu — lecz margines wolności obywatela kurczy się z roku na rok. Ów margines w państwach komunistycznych zredukowany został do zera.

Gdyby ustrój komunistyczny w praktyce w sposób doskonały urzeczywistniał zasadę sprawiedliwości społecznej — cenę płaconą za realizację tego ideału należałoby uznać za zbyt wysoką.

Możliwe jest tylko kompromisowe rozwiązanie ponieważ ustrój likwidujący wolność dla sprawiedliwości staje się więzieniem — a ustrój stawiający wolność przed sprawiedliwością przemienia się w dżunglę.

II

Dr Zebot pisze o zdemokratyzowaniu socjalizmu (komunizmu). Co należy przez to rozumieć? Czy nawrót do systemu wielopartyjnego w ramach państwa socjalistycznego?

Gomułka w referacie wygłoszonym na III Plenum KC PZPR (marzec 1965) powiedział m.in.:

„Trójpartyjny układ polityczny w naszym kraju nie jest równoznaczny z reprezentacją poszczególnych klas pracujących i warstw społecznych przez poszczególne partie. Jego korzenie tkwią w tradycji wielopartyjności życia politycznego w naszym kraju. Jego aktualna postać w nowych socjalistycznych warunkach znajduje wyraz w działalności ZSL i SD, które, nie będąc partiami marksistowskimi, stanęły na gruncie budownictwa socjalizmu w Polsce Ludowej pod kierownictwem naszej partii”.

W powyższym tekście nie jest istotnym stwierdzenie, że ZSL i SD stały na gruncie budownictwa socjalizmu pod kierownictwem PZPR. W sojuszu wielopartyjnym — partia najsilniejsza zawsze jest czynnikiem decydującym.

Istotne jest pokreślenie przez Gomułkę faktu, że ZSL i SD nie są partiami marksistowskimi. Totalitaryzm partii komunistycznej polega na jej monopolu w stosunku do marksizmu.

W początkach 1961 r. prasa paxowska rozwijała koncepcję „wielopoglądowości”. 25 stycznia tegoż roku Piasecki został wezwany przez Gomułkę. Na konferencji pierwszemu sekretarzowi towarzyszyli Kliszko i Sztachelski. Pax reprezentowali Piasecki, Dr Hagmajer i Reiff.

Hansjakob Stehle autor książki pt. „Nachbar Polen” jest niepomieranie lepiej zorientowany w problematyce Polski Ludowej niż Lucjan Blit, który o Bolesławie Piaseckim napisał pracę pt. „The Eastern Pretender”. Blit Piaseckiego zdemonizował, lecz go nie zrozumiał.

Znane jest zachowanie się Piaseckiego i prasy paxowskiej w październiku 1956. Wódz Paxu chciał się wówczas przedstawić swoim protektorom w Moskwie jako obrońca ortodoksyjnego dogmatycznego komunizmu. „Kierunki” stale podkreślały, że Pax nie jest wrogiem materializmu a zwalczając jedynie monizm filozoficzny. Piasecki sądził, że absolutną wiernością w stosunku do Moskwy okupi filozoficzno-religijne „odchylenie” swojego komunizmu. Gdyby jego nadzieje ziściły się — Moskwa zezwoliłaby na przemianę Paxu w partię polityczną, która byłaby stalinowska i katolicka. Propagowana przez Pax koncepcja wielopoglądowości zmierzała do utworzenia katolickiej partii komunistycznej, która w takim kraju jak Polska — mogłaby liczyć na znacznie szersze poparcie społeczne niż ateistyczny komunizm reprezentowany przez PZPR.

W KC odczytano bezbłędnie zamiary Piaseckiego. Według Dra Stehle, Gomułka zamknął dyskusję z reprezentantami Paxu następującym oświadczeniem:

„Koncepcja wielopoglądowości nie może być propagowana w Polsce Ludowej. Istnieje tylko jeden naukowy światopogląd — to jest światopogląd marksistowski. Wielopoglądowość jest nonsensem. Koncepcja ta służy Paxowi za pretekst do wprowadzenia w Polsce dwupartyjnego systemu”.

W Polsce nie ma dwu czy trzypartyjnego systemu — ponieważ ZSL i SD nie są partiami marksistowskimi. Sytuacja uległaby radykalnej zmianie gdyby obok PZPR pojawiła się druga partia komunistyczna odrzucająca ateizm. Pax jako stowarzyszenie pro-komunistyczne spełnia rolę ujemną. Pax jako druga partia komunistyczna spełniałaby rolę dodatnią.

Nie jest rzeczą możliwą by ta sama ideologia była policentryczna na zewnątrz i monolityczna na wewnątrz. Dogmatycy typu Gomułki będą oczywiście do końca podtrzymywać fikcję, której przeczy historia. Lecz cóż znaczy Historia w obliczu biurokracji i policji.

III

Filozofowie i socjologowie komunistyczni przekonywali nas latami, że

alienacja w ustroju socjalistycznym (komunistycznym) jest zjawiskiem nieznanym.

Posłuchajcie:

„...Opisane typy politycznej i ekonomicznej alienacji występują w mniejszym lub w większym nasileniu — nie tylko w ustroju kapitalistycznym lecz również i w tych po-kapitalistycznych ustrojach w których rządy sprawuje biurokracja.

Nie ma klasy rządzącej, której służy biurokratyczny aparat państwowy — lecz biurokracja per se jest dziś rządzącą klasą społeczną o następującej charakterystyce:

1 — Biurokracja (w ustrojach po-kapitalistycznych) jest wycanypowana i odcięta od społeczeństwa. Ów stan rzeczy spowodowany jest całkowitą profesjonalizacją polityki, formalizacją wyborów i likwidacją wszelkiej odpowiedzialności w stosunku do wyborcy, który stanowi izolowaną, bezbronną, statystyczną jednostkę.

2 — Biurokracja posiada monopol władzy i decyduje o wszystkich kluczowych zagadnieniach tak ekonomicznych jak i politycznych. W rezultacie klasie robotniczej i całemu społeczeństwu narzucono rolę *przedmiotu* historycznego — podczas gdy biurokracja zarezerwowała dla siebie wyłączny status *podmiotu* historycznego.

3 — Suwerenne dysponowanie owocami pracy całego społeczeństwa umożliwia biurokracji zachowanie dla siebie poważnej części „wartości dodatkowych” w postaci różnych korzyści i przywilejów.

Pomimo zmian w odniesieniu do kapitalizmu włącznie z obaleniem własności prywatnej środków produkcji, planowania itp. — społeczeństwo rządzone przez biurokrację zatrzymuje trzy cechy na których opiera się społeczeństwo klasowe:

a) Polityka jest izolowana lub wręcz wroga w stosunku do nauki, filozofii, etyki i innych elementów społecznej nadbudowy.

b) Występuje proces reifikacji tzn. traktowanie człowieka za przedmiot-rzecz.

c) Kwitnie eksploatacja tzn. biurokracja zagarnia w formie przywilejów i korzyści większą niż by się jej należało część „wartości dodatkowej” wyprodukowanej przez klasę robotniczą”.

Powyżej przytoczony tekst nie został przepisany z „Nowej Klasy” Miłovana Džilasa lecz stanowi przekład fragmentu artykułu prof. Dr. M. Marković'a, który ukazał się w oficjalnym periodyku jugosłowiańskim „Review of International Affairs” (marzec 1965).

Czytelnikowi nie obznajmionemu z terminologią ekonomiki marksistowskiej należy się wyjaśnienie dotyczące „wartości dodatkowej”. Marks przez „wartość dodatkową” rozumiał część wartości towarów wytworzonych przez robotników najemnych — przywłaszczoną bez ekwiwalentu przez kapitalistów. Innymi słowy prof. Marković zarzuca biurokracji ustrojów po-kapitalistycznych, że uprawiają klasyczny wyzysk w stosunku do całego społeczeństwa.

Prof. Marković jest komunistą — niestety nie polskim lecz jugosłowiańskim. Jednak fragment jego artykułu przytoczony powyżej jest nie zamierzonym lecz uderzająco trafnym portretem Polski Ludowej.

Jedynym wyjściem z kryzysu według Marković'a jest społeczny samorząd, który stanowi dialektyczną anty-tezę socjalizmu państwowego.

Samorząd i decentralizacja są niezmiernie ważne i istotne lecz nie gwarantują nikomu wolności demokratycznych o czym przekonał się kolega Marković'a prof. Michajłow, a przed nim Dżilas.

JUBILEUSZ

„Tygodnik Powszechny” obchodził niedawno jubileusz 20-lecia. W nawiąsach należy podkreślić, że owa powódź „dwudziestolecia” w Polsce Ludowej jest spowodowana „naszą” Polską o której pisze się w kraju per „okres międzywojenny”, „Polska dwudziestolecia”, „międzywojnie” — nigdy Polska niepodległa. Jubileusze są kadencją ćwierćwieczy — 25 lat, 50 lat 75 lat itd. Ponieważ jednak 2-ga Rzeczypospolita trwała 20 lat — okres dwóch dekad przyjęto u nas za miernik historyczny.

Gdybym mieszkał nadal na Krupniczej 11 w Krakowie, w normalnych demokratycznych czasach, „Tygodnik Powszechny” nie byłby moim prasowym faworytem. Lecz w normalnych czasach Kisiel nie pisywałby do „Tygodnika Powszechnego”, który byłby klerykalny, ciasny i nudny. Ponieważ czasy nie są ani normalne ani demokratyczne — „Tygodnik Powszechny” — choć bywa klerykalny, nie jest ani ciasny ani nudny.

Oczywiście „Tygodnik Powszechny” korzysta z taryfy ulgowej podobnie jak żubry w Puszczy Białowieskiej. To jest legalny rezerwat tradycyjnego poglądu filozoficznego, religijnego i społecznego.

Rezerwat skupia zwykle najświetniejsze egzemplarze gatunku i z samej definicji jest instytucją bezkonkurencyjną. Nikt nie dostanie w PRL zezwolenia na wydawanie drugiego analogicznego pisma — wskutek czego — w „Tygodniku Powszechnym” pisują ludzie, którzy — być może — pisywaliby gdzie indziej, gdyby owo „gdzie indziej” istniało.

Pierwszy numer „Tygodnika Powszechnego” z dnia 24 marca 1945 — otwiera orędzie metropolity krakowskiego. Księcia Adama Stefana Sapiehy. Numer Jubileuszowy z dnia 28 marca 1965 — otwiera orędzie arcybiskupa Karola Wojtyły, metropolity krakowskiego.

W okresie ubiegłych 20 lat — wpływy po-szlacheckiej inteligencji i arystokracji w kościele wybitnie zmalały. Kościół w Polsce jako instytucja nabrał chłopsko-klasowego charakteru, co go niezmiernie wzmocniło. Lecz „Tygodnik Powszechny” nie odzwierciadla tej przemiany i jest w dalszym ciągu staroświecko-krakowsko-inteligencki.

Najbardziej obiektywnym kamieniem probierczym tak ludzi jak i pism jest śmierć. Wyobraźmy sobie, że „Tygodnika Powszechnego” nie ma. Po jednej stronie mamy warszawską „Kulturę” a po drugiej stronie paxowskie „Kierunki”. Koszmar.

Bez Kisielea prasa krajowa stałaby się pustynią, z której zniknęła ostatnia plama zieleni. Żaden, dosłownie żaden z tysięcy dziennikarzy w kraju — wśród których nie brak utalentowanych i wybitnych — nie może konkurować z Kisielą na terenie Polonii zagranicznej. Kisielea znają wszyscy i czytają wszyscy. (Wańkowicza ani Cata-Mackiewicza Polacy zagraniczy nie uważają za pisarzy krajowych).

Kisiel jako polityk, jako poseł na Sejm PRL nie zdziałał niczego — lecz jako pisarz zdziałał bardzo wiele. Z talentem, humorem i odwagą reprezentuje anty-konformizm w kraju indywidualistów i sobiepanów, którzy w okresach między wojnami a powstaniami wykazują zdumiewającą skłonność do lojalizmu i do konformistycznych „bezpartyjnych bloków współpracy z rządem”. W przyszłym roku winniśmy obchodzić jubileusz 40-lecia BBWR, jako narodowej instytucji — która przetrwała wszystkie burze dziejowe. Zmieniają się wodzowie i ideologie lecz BBWR — trwa. (I pomyśleć, że jesteśmy narodem, który wymyślił liberum veto!).

„Tygodnikowi Powszechnemu”, a Kisielowi w szczególności — życzymy sto lat!

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

WERNER MARKERT

25 marca zmarł w sześćdziesiątym roku życia Werner Markert, profesor historii i dyrektor Instytutu Badań Europy Wschodniej Uniwersytetu w Tybindze, współinicjator zjazdu historyków polskich i niemieckich w październiku 1956 roku w Tybindze i przewodniczący ekipy niemieckich historyków na londyńskim sympozjonie naukowców polskich i niemieckich w marcu roku ubiegłego.

Urodzony 3 grudnia 1905 roku w Lipsku w środowisku prawników, ukończył nauki uniwersyteckie w swym rodzinnym mieście, studiując socjologię, historię i slawistykę. Doktorat filozofii uzyskał w 1932 roku u znanego socjologa „Lipskiej Szkoły” Hansa Freyera, za pracę „Polityczna Socjologia w Rosji”.

Pod koniec studiów nawiązał bliski kontakt z berlińskim profesorem Otto Hoetzschem, ówczesnym prezesem „Niemieckiego Towarzystwa Studiów Europy Wschodniej”, oraz z rodziną hrabiego F.W. von der Schulenburga, późniejszego ambasadora w Moskwie, straconego w październiku 1944 w związku z lipcowym zamachem na Hitlera. Rezultatem tych kontaktów był dłuższy pobyt Markerta w Moskwie.

Gdy, po zawarciu układu niemiecko-polskiego z 26 stycznia 1934, Otto Hoetzschem dostosował działalność Niemieckiego Towarzystwa Studiów Europy Wschodniej do zmienionej sytuacji politycznej, powołał w maju 1934 W. Markerta na stanowisko generalnego sekretarza Towarzystwa, a wkrótce potem powierzył mu redakcję miesięcznika „Osteuropa”, wydawanego przez Towarzystwo od 1913 roku. Na tym stanowisku pozostawał do wybuchu wojny.

Równoległe z reorganizacją berlińskiego Towarzystwa powstało w War-

szawie polsko-niemieckie Towarzystwo mające popierać wzajemne zbliżenie kulturalne. Z ramienia warszawskiego Towarzystwa w czerwcu 1934 prof. Tadeusz Zieliński wygłosił w auli Uniwersytetu Berlińskiego szeroko komentowany wykład, otwierając dość obfitą listę wykładów polskich uczonych w Berlinie: Edward Lipiński, Oskar Halecki, Adam Krzyżanowski, Witold Staniewicz, Olgierd Górka i inni. Markert, jako sekretarz generalny berlińskiego T-wa, nawiązał wówczas liczne znajomości z polskimi uczonymi, literatami i publicystami.

W trudnych dla nie-członka partii przedwojennych latach, zwłaszcza po usunięciu Hoetzsch'a w 1936 roku z Uniwersytetu i wszystkich zajmowanych stanowisk, Markert zdołał utrzymać się na stanowisku sekretarza T-wa i redaktora miesięcznika „Osteuropa” aż do wybuchu wojny. Potrafił też utrzymać stały i lojalny kontakt z usuniętym profesorem, co zapewne przyczyniło się do utrzymania „Osteuropu” na poziomie dodatnio wyróżniającym się wśród ówczesnego piśmiennictwa niemieckiego.

Wojnę przetrwał Markert w oddziałach tłumaczy, dosługując się stopnia porucznika. Po wojnie, nie mając trudności „denazyfikacyjnych”, wykończył rozpoczętą jeszcze w berlińskich czasach pracę habilitacyjną, która została przyjęta przez Uniwersytet w Getyndze. W 1953 roku otrzymał w Tybindze katedrę historii i stanowisko dyrektora Instytutu Badań Europy Wschodniej. Na tym stanowisku rozwinął pełną inicjatywę działalność, której szczytowymi osiągnięciami stały się trzy podręczniki uniwersyteckie: „Jugosławia”, „Polska” i znajdujący się w końcowej fazie druku „Związek Sowiecki”, oraz redakcja „Przyczynków do historii Europy Wschodniej” i „Sprawozdań badawczych i analitycznych historii współczesnej”.

Przy organizowaniu Instytutu Badań Europy Wschodniej kierował się profesor zasadą, że obowiązkiem niemieckiej nauki jest ponowne przeanalizowanie „przestarzałych zapatrywań i wyobrażeń”, zwłaszcza w stosunku do Polski i Rosji, by na tej drodze znaleźć i ustalić podstawy wzajemnego zrozumienia i porozumienia między Niemcami i ich bezpośrednimi sąsiadami na wschodzie. Dwanaście lat działalności Instytutu (1953-65) dowiodło, że zmarły jego dyrektor konsekwentnie stosował powyższą zasadę i że w badaniu „przestarzałych zapatrywań i wyobrażeń” dokonano wielu poważnych osiągnięć.

Poza Instytutem i katedrą w Tybindze W. Markert brał bardzo czynny udział i w innych instytucjach, jak na przykład w Zarządzie Związku Historyków Niemieckich, w Dyrekcji Państwowej Centrali Wykształcenia Politycznego, i w pracach naukowo-doradczych kilku ministerstw.

Jeżeli wśród wielu przemian, jakie zachodzą w Niemczech Zachodnich dawne skłonności polityków do dyrygowania nauką zastępuje zwyczaj korzystania z wiedzy uczonych, to z pewnością przedwcześnie zmarły profesor Werner Markert walnie się tej przemianie przysłużył.

S.W. KOZŁOWSKI

Monachium, 5 kwietnia 1965.

Ewolucja w kierunku dyktatury oświeczonej

(Uwagi na marginesie publikacji Juliusza Mieroszewskiego: „Ewolucjonizm”. Instytut Literacki, Paryż, rok 1964, str. 69).

Znamienным dla dylematu współczesnej Polski jest poniekąd fakt, że niewspółmiernie łatwiej jest ustosunkować się krytycznie do wszystkich sugestii pozytywnych rozwiązań, aniżeli samemu takie wysunąć. Sytuacja taka wynika nie tylko ze skomplikowanych elementów, które określają byt państwowy, narodowy i społeczny Polski, ale przede wszystkim dlatego, że inicjatywa polityczna w sprawie Polski przesunęła się poza jej granice, to zaś co się dzieje w kraju i kształtuje byt narodowy Polaków jest, w swoich zasadniczych założeniach tylko odbiciem i funkcją gry sił politycznych na arenie międzynarodowej. Jest to konfiguracja nie sprzyjająca nie tylko dlatego, że stawia pod dużym znakiem zapytania suwerenną egzystencję trzydziestomilionowego narodu, ale także dlatego, że jakkolwiek ograniczenie suwerenności narodowej nastąpiło w wyniku osiągnięcia pozornie chwiejnej stabilizacji i jest wypadkową gry złożonych sił politycznych, tym niemniej w jej rezultacie Polska znalazła się w izolacji politycznej w swoich dwustronnych stosunkach ze Związkiem Sowieckim. Jest to świadomość, która od roku 1956 zdeterminowała ponownie stosunek kierowniczych instancji Polski do Moskwy, a w stosunkach wewnętrznych, przesądziła w stopniu zasadniczym o treści stosunków pomiędzy partią a społeczeństwem.

Rozmyślając nad możliwościami rozwiązania tego nieprzychylnego spłotu sytuacyjnego Juliusz Mieroszewski wysuwa jak to widać, dwie współzależne hipotezy: po pierwsze, nastąpi ewolucja komunizmu, po drugie, nastąpi europeizacja Rosji. Hipoteza pierwsza jest zapewne słuszna, gdyż oparta jest na dotychczasowym doświadczeniu; proces ewolucji komunizmu jest procesem ciągłym, nawet wówczas gdy jest to ewolucja wsteczna, jak to miało miejsce w okresie stalinowskim. Nie można jednak — pomijając pierwszy okres władzy sowieckiej, gdy trwała euforia rewolucyjna, a zarazem zamęt polityczny i pojęciowy — zapominać że zawsze, jak dotąd, dokryna komunistyczna była podporządkowana interesom mocarstwowym Rosji, nigdy zaś odwrotnie. Pod tym względem nie sposób jest mówić o ewolucji, gdyż po-

lityka zagraniczna Związku Sowieckiego jest kontynuacją polityki imperialnej Rosji i realizuje jej maksymalne aspiracje. Tezę drugą chociaż w zmienionej formie, próbuje również Związek Sowiecki, gdy godzi się na europeizację Rosji za cenę sowietyzacji Europy, której pierwszym etapem winny być połączone komunistyczne Niemcy. Jeśli zaś sugerowaną przez Juliusza Mieroszewskiego europeizację należałoby rozumieć nie jako wyłącznie założenia polityki zagranicznej, lecz jako koncepcje ustrojowo społeczne, to wydaje mi się, że pojęcie to jest zbyt ogólnikowe i zarazem zbyt uwikłane w sprzeczności historyczne, by kwalifikowało się do dyskusji jako propozycja polityczna. Zupełnie zaś już niesposób jest podjąć dyskusji ze sformułowaniami typu: „Rosji nie tylko nie należy wypierać z Europy — lecz przeciwnie, trzeba ją z Europą związać, by ją móc zeuropeizować”, a wskazania tej kategorii znajdują się w esejach Juliusza Mieroszewskiego nie na prawach wyjątku.

Mieroszewski zebrał doświadczenia pokolenia, które dojrzało wprawdzie w okresie przedwojennym, ale którego myślenie w znacznym stopniu ukształtował okres powojenny, spędzony na emigracji. Stąd też do dyskusji nad sprawami Polski przystępuje on uzbrojony w doświadczenie i erudycję na których znać wyraźnie piętno anglosaskiej myśli politycznej, z charakteryzującą ją skłonnością do szukania kompromisowych, racjonalnych rozwiązań, w oparciu o zasadę demokracji i legalizmu, którą zabawił — niech mi będzie wolno dodać — polskim entuzjazmem i romantyzmem, i zespolił patriotyzmem. Jest on, innymi słowy, typem intelektualisty polskiego na emigracji z którym każdy „wybitny działacz partyjny na urlopie zagranicą” (cytuje z pamięci) łatwo znajdzie wspólny język, od którego jednak w kraju odseparuje się całkowicie on i jego partia, bo takie są prawa dyscypliny partyjnej i jej naczelną zasadą unicestwiania indywidualności. Jest to zasada przed którą ugiąć się musiał nawet Chruszczow, która w znacznym stopniu zapewne określiła myślenie polityczne Gomułki po 1956 roku, która sprawia wreszcie, że wyprany z inteligencji Zenon Kliszko decyduje o losach państwa w niewspółmiernie większym stopniu niż Oskar Lange.

Jeszcze w mniejszym stopniu niż w ewentualne reakcje czynników politycznych w kraju, skłonny jest Mieroszewski wsłuchać się w głos Moskwy, zresztą Związek Sowiecki milczy uparcie w sprawie możliwości rewizji stosunków w Europie Wschodniej, gdyż wedle sowieckiej wersji stosunki te uformowały się w wyniku konieczności historycznej, zaaprobowane zostały w Jalecie i Poczdamie i potwierdzone — aczkolwiek niechętnie — w roku 1956.

Rozmyślenia Mieroszewskiego wychodzą z analizy sytuacji obecnej, by natychmiast uczynić przeskok do sytuacji końcowej, bez uwzględnienia etapów pośrednich, gdyż tematem Mieroszewskiego jest ideologia bardziej niż polityka; w centrum uwagi autora są koncepcje ustrojowo-społeczne a nie realia mechanizmu władzy, toteż sprawom poniechanym niejako przez Juliusza Mieroszewskiego poświęcę kilka bardzo pobieżnych uwag.

Interesujący jest w szczególności charakter i treść wzajemnych stosunków pomiędzy partią a społeczeństwem — zasadniczo są one nadal określone przez wskazania o dyktaturze proletariatu, toteż obowiązuje w tej dziedzinie prymat doktryny nad empiryzmem, polityki nad ekonomią, dyktatury nad demokracją, mitu nad faktem, wreszcie wiary nad doświadczeniem. Są to założenia niewspółmiernie utrudniające przeobrażenia typu demokra-

tycznego, które są następstwem myślenia racjonalnego odrzucającego zasadę monizmu na rzecz pluralizmu. Odnoszę wrażenie, że zagadnienia o treści politycznej przestały absorbować uwagę powszechną, w bezpośredniej też konsekwencji zeszyły na plan drugi z chwilą gdy przestano ludzi masowo wsadzać do więzień za potencjalne lub rzeczywiste zamiary zagrożenia monopolu władzy, gdy przestały mnożyć się prowokacje i zelżał terror; słowem, gdy nastąpiła ewolucja dyktatury typu azjatycko-stalinowskiego, w dyktaturę oświeconą, której — jakkolwiek brzmi to paradoksalnie — nie obce są reminiscencje okresu pomajowego. W mniejszym stopniu o regresie zainteresowań ogółu społeczeństwa dla zagadnień politycznych, zdecydował fakt, że w przeświadczeniu powszechnym, perspektywy zasadniczych przeobrażeń ustrojowych odsunęły się w czasie poza granice realnych oczekiwań. W zaistniałej sytuacji, czujność kierowniczego trzonu partii skierowana jest nie na zwalczanie majaku wielopartyjnego, lecz na przeciwstawienie się wszelkim tendencjom wielonurtowości w łonie samej partii, a więc tego co tak gorąco zaleca Juliusz Mieroszewski. W dalszej więc konsekwencji można by założyć, że wszelkiego typu i odcieni rewizjonizmy są zwalczane w pierwszym rzędzie dlatego, że stanowią zagrożenie nietylę dla spoistości ideologicznej co organizacyjnej aparatu partyjnego, a w bezpośredniej konsekwencji również państwowego. Na tej samej zasadzie trwa nadal walka z Kościołem, która obecnie jest bodajże bardziej walką o monopol władzy, aniżeli o monopol ideologii. Nastąpił więc proces typowy dla systemów totalnych wszelkich odcieni, który da się określić jako instytucjonalizacja ideologii. W jej konsekwencji tworzy się w łonie społeczeństwa hermetyczna i sztuczna elita, dla której legitymacja partyjna jest ekwiwalentem legitymacji sprawności intelektualnej. Jeśli więc centralne ośrodki dyspozycji partyjnej zainteresowane są w utrzymaniu monopolu władzy, co w większości przypadków jest równoznaczne z monopolem prerogatyw, realizują one swoją politykę personalną w sposób wielostronny, poprzez odpowiedni dobór składu osobowego elity, poprzez jej materialne i polityczne uprzywilejowania, a ponad wszystko przez przeciwdziałanie wszelkim próbom rozprzyskienia aparatu partii w ogólnonarodowych organizacjach typu jednolitifrontowego.

Kiedy więc wyeliminowane zostały z centrum zainteresowania ogólnonarodowego sprawy natury politycznej, w ich miejsce stanęły zagadnienia ekonomiczne, wagę ich podkreśla nieustannie aparat propagandy, który agituje na rzecz podniesienia wskaźników produkcyjnych, podczas gdy ogół społeczeństwa mówi wciąż o brakach w zaopatrzeniu. Tak więc zarysowała się zasadnicza rozbieżność pomiędzy dezyderatami partii i społeczeństwa. Mieroszewski rozstrzyga ten spór zgodnie z tezami głoszonymi przez czynniki oficjalne, wychodząc zresztą z założeń czysto racjonalnych — nie może być bowiem mowy o zwiększeniu zaopatrzenia bez uprzedniego zwiększenia produkcji. Myśleniu takiemu nie można zarzucić uchybień formalnych, jeszcze trudniej podważyć je w oparciu o dane gospodarcze, które są tajemnicą państwową. Tym niemniej wypada się zastanowić, czy winą należy obarczyć polski charakter narodowy, czy też charakter polskich powiązań gospodarczych. Moje argumenty nie zmierzają jednak do podważenia podstawowej tezy Mieroszewskiego o realności przemian ewolucyjnych, widzę jednak te możliwości w innej konfiguracji: w chwili obecnej „azjatyzcja” Rosji wydaje się bardziej realna niż jej „europeizacja”. Innymi słowy zaangażowanie się interesów i środków materialnych Związku Sowieckiego w płynną sytuację jaka

zarysowuje się w Azji, zdaje się być bardziej prawdopodobne, niż możliwość oddziaływania na zmianę równowagi sił w ustabilizowanej sytuacji europejskiej, a więc chęci zaangażowania w Europie zarówno sił materialnych jak i prestiżu politycznego. Jest to tym bardziej podobne, że ewentualne rozgrywki na terenie Azji nie pociągałyby za sobą bezpośredniej groźby uwikłania się w konflikt nuklearny, w stopniu w jakim mogłoby to mieć miejsce w Europie. Związek Sowiecki uwikłany w sprawy Chin, Indii, czy też Indochin byłby łatwiejszym kontrahentem niż jest nim dzisiaj. Jedynym argumentem jaki Związek Sowiecki traktuje poważnie jest argument siły, toteż ewolucja stosunków na Zachodzie jest czynnikiem równie ważnym jak ich ewolucja na Wschodzie, są to dwa ciągi współzależnych procesów. Nie powinna przeto zaistnieć sytuacja w której obecna równowaga potencjału militarnego objęłaby również inne dziedziny wzajemnych stosunków, by przeistoczyła się w równowagę potencjału ekonomicznego, stopy życiowej i treści stosunków międzyludzkich: utrzymanie prymatu Zachodu w tej sferze wydaje się być podstawowym nakazem mądrości politycznej. Jest to warunek konieczny dla przyspieszenia erozji dyktatury proletariatu, a zarazem także gwarantujący nieuchronny proces wykruszania się systemu satelickiego.

Sprawa wreszcie ostatnia, sprawa wielu nieprzejeźdźnianych i osamotnionych działaczy emigracyjnych, którzy skłonni byłiby wylać dziecko z kąpielą, naród z partią. Nie mają oni nic do ofiarowania narodowi prócz wspomnień i tęsknot własnych, które dzisiaj są już tylko częstką historii i to niezawsze jej częstką najchlubniejszą. Zgadzam się całkowicie z Juliuszem Mieroszewskim, że nie ma dzisiaj powrotu do form i treści społecznych z lat trzydziestych, ale mam zarazem poważne wątpliwości czy stało się to za sprawą dyktatury proletariatu, gdyż do lat trzydziestych nie ma powrotu ani w Stanach Zjednoczonych, ani we Francji, ani w Wielkiej Brytanii, ani nigdzie, gdyż prawa historii określa zasada postępu. Inną rzeczą jest czy w Polsce nie ma odwrotu od istniejącego modelu gospodarki socjalistycznej, i czy w ogóle uzasadnione jest mówienie o gospodarce typu socjalistycznego w kraju gdzie rolnictwo oparte jest na indywidualnej własności chłopskiej, i wobec wyznawanej przez samego Lenina zasady, że kapitalizm nie dławiony przez aparat władzy odradza się spontanicznie.

Andrzej J. CHILECKI

Polacy w Argentynie (dok.)

Misiones.

Kilka tygodni temu jechałem autobusem po Paragwaju, od Assunción w dół Parany. W pewnym momencie autobus zatrzymał się dla nabrania benzyny i został otoczony dzieciakami, sprzedającymi owoce, bułeczki, ciepłe pierogi i inne wymysły paragwajskie. Kraj ten jest dwujęzyczny — obok hiszpańskiego ma wszystkie prawa guarani — język Indian. Z tego powodu niezupewnie rozumiałem tę rozwrzeszczaną bandę. Zresztą nie było potrzeby, aby się zrozumieć, gdyż na specjały apetytu nie miałem. Niebawem ruszyliśmy dalej. Co jednak od razu zwracało uwagę, to między tymi południowcami, duży procent jasnych blondynów z niebieskimi i szarymi oczami, jakby je ktoś żywcem przeniósł spod Kielc czy innych Pabianic.

To była paragwajska prowincja Misiones. Z drugiej strony Parany leży dalszy jej ciąg — Misiones argentyńskie.

Nazwa tego kraju pochodzi od jezuickich misji, które w początkach XVII wieku zorganizowały tutaj coś w rodzaju państwa w państwie, dla obrony miejscowej osiadłej indiańskiej ludności przed bandami poszukiwaczy złota i łowcami niewolników — Paulistami, którzy w dużych dobrze zorganizowanych jednostkach grasowały po Ameryce Południowej. Cały ten kraj należał wtedy do hiszpańskiego króla, a rządzony był przez wicekróla, który urzędował w Limie (Peru). Jezuici uzyskali nawet dla swoich Indian przywilej noszenia broni, co było wyjątkiem od ogólnego prawa, surowo to Indianom zakazującego. Państwo Jezuickie było pod wielu względami podobne do państwa krzyżackiego. Były to rządy twarde, autorytatywne, bezpardonowe, absolutne. Rządzonymi byli Indianie. Bezsprzecznie poddanym Jezuitów powodziło się znacznie lepiej, niż ich współplemięcom żyjącym wolno. Ale wolności osobistej nie posiadali w ogóle. Zasadniczą różnicą między Jezuitami w Misiones i Krzyż-

kami było to, że ci pierwsi nie prowadzili wojen, ani nie wynaradawiali Indian.

Po zniesieniu Zakonu Jezuitów przez jakiś czas zajmowali się tym państwem Franciszkanie i Dominikanie, ale sprężysta organizacja zaczęła podupadać. Król hiszpański gdzieś w połowie XVIII wieku sprzedał ten kraj Portugalii i Indianie podnieśli bunt przeciw nowym władzom w obronie misji. W wyniku tych zmian częściowo wyginęli, częściowo rozproszyli się i Misiones się wyludniło.

Dopiero zaludnili je na nowo Polacy na spółkę z Ukraincami.

Gdyśmy, nowi emigranci powojenni, przybyli tu w latach 1947-1949, przyjmowali nas starzy Polacy całym sercem i wszystkimi pomocami materialnymi i moralnymi, jakimi tylko rozporządzali. Zapoznawaliśmy się z nimi i smuciła nas jedna ważna prawda — starzy Polacy nie mówili już po polsku, a jeśli mówili, to bardzo słabo. Tymczasem nowi Polacy zaczęli zapuszczać wędrowne zagony po całym tym olbrzymim kraju. Jedni poszukiwali najodpowiedniejszych miejsc do osiedlenia się według swych indywidualnych umiejętności, potrzeb i upodobań, a inni po prostu wędrowali dla wędrowania. taki bowiem wzięli w swych wojennych wędrówkach rozpęd, że nie mogli się zatrzymać. Niektórzy więc z tych niestrudzonych wędrowców trafili do Misiones, inni stamtąd wrócili pełni przedziwnych opowieści o tamtejszych Polakach. Przede wszystkim zaś wszyscy zachłystywali się jednym — polscy emigranci w Misiones z pierwszej i drugiej generacji mówią po polsku, a niektórzy po ukraińsku, i że znowu niektórzy Ukraińcy mówią po polsku. Albowiem w Misiones mieszkają Polacy i Ukraińcy w dużych zwartych zbiorowiskach.

I dalej opowiadali ci, co stamtąd wrócili, że w Apostoles jednym z większych tamtejszych miast — dwie najpiękniejsze awenidy się zwą: Polonia i Ucraina, że w Misiones do niedawna wychodziły dwa polskie pisma, że widzieli tam wozy na czterech kołach jak w starym kraju (tutejsze wozy są dwukółowe i zowią się „sulky”), że nazwiska — Zubrzycki, Sawicki, Szychowski, Krzechowski, Szydłowski należą do tamtejszych milionerów, że do konstrytanty prowincji wszedł Rudolf Raczkowski, wybrany głosami polskimi i ukraińskimi. (Prowincja w Argentynie to coś w rodzaju stanu o szerokim samorządzie z własnymi kongresami i innymi urządzeniami organizacji państwowej i konstytucjami. Misiones dopiero niedawno z *teritorio nacional* zostało podniesione do godności prowincji, a więc pierwszy kongres był konstytuanta).

Zachęcenii tymi opowiadaniem inni, stęsknieni do atmosfery swojskości, zaczęli się tam coraz tłumniej zapuszczać, aby jednak prędzej czy później (raczej prędzej) powracać. Okazało się bowiem, że temperatura w Misiones często przekracza 40 stopni Celsjusza, że ciepłota normalna to ponad 30°, że stan dróg

jest bardzo kiepski (jeszcze bardziej kiepski niż w starym kraju), że z puszcza trzeba walczyć, bo wciąż wraca aż pod serca dużych miast, że buszują tam różnego rodzaju niebezpieczne gady, a jadowite węże mają zwyczaj szukać spoczynku w ludzkich łóżach. I jak to zwykle bywa, o ile pierwsze obrazy przeświecone były idylliczną pięknnością, o tyle następne przesadzały w opisywaniu brzydoty i trudnych warunków życia misjonerskiego.

Misiones leży na północy, jest jakby argentyńskim półwyspem w morze paragwajsko-brazylijskim. Jak wyglądają stosunki w paragwajskiej części tego kraju, trudno mi powiedzieć. Nie wiem o nim nic.

Jest to już strefa podzwrotnikowa. Koloniści przybyli tu z Brazylii w poszukiwaniu lepszych terenów. Był to rok 1897.

Dzisiejsza młodzież to już trzecie pokolenie. Ale chociaż tam właśnie nie wstydzą się swego pochodzenia, ani o nim nie zapominają, są z niego nawet dumni, to młodzi po polsku już nie mówią.

Języki w Argentynie.

Urzędowym językiem jest hiszpański, zwany tutaj kastylskim (*castellano*). Powstało to przypuszczalnie dlatego, że takie języki czy gwary (wciąż na ten temat odbywają się zaciekle dyskusje) jak kataloński, baskijski czy andaluzyjski uważa się tutaj za pełnoprawne współjęzyki hiszpańskie.

Język hiszpański Ameryki Południowej miał wszystkie dane, aby, podobnie jak w Południowej Afryce holenderski, przetrwać się na język zupełnie nowy. W końcu XIX wieku żargon włosko-hiszpański do tego stopnia opanował cały kraj, że czystym hiszpańskim nikt prawie nie rozmawiał. Dopiero gwałtowny krzyk purystów spowodował dekret rządowy, stwierdzający, że językiem kraju jest hiszpański zgodnie z zasadami, określonymi przez Akademię Królewską w Madrycie. To i odpowiednia propaganda spowodowały nawrót do *castellano*. Używają go teraz inteligenci, wykształceni w Argentynie. Niemniej jednak są pewne zwroty czy formy gramatyczne, które z uporem pasożytów trzymają się języka. Nauczycielka w szkole powszechnej, profesor w szkole średniej i wyższej wykładają jak należy poprawnie wymawiać, jaka jest poprawna forma gramatyczna, ale sami używają formy argentyńskiej, a więc nie poprawnej, nawet w rozmowie ze swymi własnymi uczniami i studentami. Z drugiej strony Akademia Królewska w Madrycie przyznaje prawo obywatelstwa wielu argentyńskim.

Największym nieprzyjacielem czystości hiszpańskiego jest język włoski. Inteligencja włoska przyswaja sobie język poprawny nie zaśmiecając przy tym swego rodzinnego. Jest to dość utrudnione przez podobieństwo obu języków. Robotnik włoski

w 90% nie opanowuje nigdy hiszpańskiego, ale szybko zapomina włoskiego, czy jego gwary, z którą tu przybył i stwarza nowy żargon. Co gorsze — żargon ten jest zaraźliwy. Chwytają go szybko nie tylko „Polacos”, którzy uczą się nowego języka nie z książki, ale z rozmów w warsztatach pracy. Podchwytyują go szybko rdzenni Argentyńczycy — początkowo w sensie żartobliwym, aby z czasem porządnie zachwścić swój język.

W północnych prowincjach Argentyny — Entre Rios, Corrientes, Chaco — używa się jeszcze często języka guarani. W Argentynie nie ma on prawa obywatelstwa, jak w Paragwaju, ale jednak studiuje się go łącznie z tańcami, muzyką i pieśnią jako część tradycji, formującej kulturę argentyńską.

Z innych języków dużą popularnością cieszy się angielski. Mówią nim „businessmani” angielscy i amerykańscy, używają go „anglo-argentine” (Anglicy urodzeni w Argentynie posiadają podwójne obywatelstwo), uczą się go Argentyńczycy.

Francuski stracił swoje znaczenie języka międzynarodowego. Mówią nim nieliczni tutaj Francuzi, porozumiewają się narodowości Środkowego Wschodu, których jest spora garść: Grecy, Turcy, Syryjczycy itp.

Kiedyś, na początku mego tutaj pobytu, gdy językiem *castellano* posługiwałem się jakając i z pomocą gestów, podsłuchiłem przypadkiem grupę młodych ludzi. Rozmawiali między sobą ni to hiszpańskim, ni to angielskim. Widoczne było, że oba języki mieli opanowane bardzo dobrze. Na przykład ktoś mówiąc po angielsku, gdy mu nagle zabrakło słowa swobodnie przechodził na hiszpański, aby po kilku słowach czy zdaniach przejść znowu na angielski. Wydawało mi się to wtedy bardzo dziwne.

Upłynęło od tego czasu sporo lat. Przebywam często w towarzystwie młodzieży polskiej, której domowym językiem jest polski, ale która ma już wykształcenie argentyńskie. Rozmawiają między sobą w ten sam sposób jak tamci podsłuchani Anglicy.

Rozmawiając kiedyś ze znanym tutejszym działaczem, oburzałem się na młodych, którzy nawet w Domu Polskim rozmawiają między sobą po hiszpańsku. Powiedział do mnie:

— Mam dwóch synków. Przestrzegam surowo, aby w domu rozmawiali po polsku. Ale gdy są sami od czasu do czasu brakuje im słowo polskie — powiedzmy techniczne z ich zabawowo-sportowego świata — zastępują hiszpańskim i nie wiadomo kiedy przechodzą na ten język, jako na wygodniejszy, w którym nie brakuje im żadnych potrzebnych słów. Gniewam się na nich, karcę, ale życie jest silniejsze.

Niemniej jednak młodzież nasza, ta z nowej imigracji, mówi czysto po polsku. Rodzice tego pilnują. Gorzej już jest z pisanie. Synowie i córki ludzi ze średnim i wyższym wykształceniem polskim nie znają ortografii. Dlatego też nie bardzo ufam w apele pani W. Jezierskiej, która nie pominie żadnej okazji, aby nie zawołać: — Pamiętajmy aby wnuczki nasze mówiły po polsku.

Dzieci starych Polaków przeważnie już językiem swych ojców nie władają. Rozumieją co się do nich mówi, ale odpowiadają po hiszpańsku. Oni sami — starzy Polacy — mówią przeważnie jakąś potworną mieszaniną polsko-argentyńsko-żargonową.

Sytuacja u pobratymczych nam Ukraińców, Litwinów, czy Słowaków jest bardzo podobna.

Argentyńczycy — jak w ogóle wszyscy Amerykanie Południowi — chcą zachować treść nazwy, którą stosują do siebie: — Amerykanie Łacińscy. Dlatego obok hiszpańskiej imigracja włoska jest popierana, dlatego włoski język jest honorowany i — półoficjalnie — uznawany jako drugi język tutejszych państw. Imigracja z innych krajów europejskich, szczególnie zaś Europy Wschodniej, jest ograniczona, a pielęgnowanie języka i tradycji regionalnych tych krajów jest tolerowane z dużą niechęcią.

Argentyńskie szkolnictwo.

Szkolnictwo w Argentynie jest zorganizowane w sposób prosty i celowy. Dziecko po ukończeniu szóstego roku życia zaczyna sześciolletnią szkołę powszechną, po czym, jeśli chce kontynuować uczenie się, przechodzi do szkoły średniej. Ten okres szkolenia trwa zależnie od rodzaju szkoły sześć albo pięć lat, po czym następują szkoły uniwersyteckie.

Szkoły są państwowe i miejsce w nich znajdzie się dla każdego; studia na wszystkich szczeblach są zupełnie bezpłatne. To też kiedy radykalne elementy rozbujały swego czasu propagandę, że wyższe studia nie są dostępne dla dziecka robotniczego, nie mogłem zrozumieć, o co chodziło. Poinformowano mnie później, na skutek moich natrętnych dopytywań się, że chodziło o pomoc państwa w utrzymywaniu się studentów. Jedna marginesowa uwaga — mówiąc o studiach, studentach, będę w to włączył szkoły średnie i ich uczniów, bo tak to tutaj jest traktowane.

Równolegle do szkolnictwa państwowego istnieje szkolnictwo prywatne. W tych szkołach miejsca dla dzieci biednych rodziców nie ma, bo tak czesne, jak wymagania co do ubioru, dodatkowych opłat i t.d., są wysokie. Szkoły te podzielę na trzy rodzaje.

Na pierwszym miejscu należy postawić szkoły narodowościowe. Do szkół tych, szczególnie angielskich, uczęszczają także Argentyńczycy. Uczniowie są przeważnie dziećmi rodziców bogatych, niemniej jednak swoim przyznaje się nieraz bardzo wysokie zniżki. Szkoły te starają się godzić systemy szkolne starych krajów z wymaganiami programów argentyńskich. Są więc szkoły angielskie, północno-amerykańskie, niemieckie, francuskie, włoskie. Polskich nie ma.

Istnieją następnie szkoły dla bogatych dzieci bogatych ro-

dziców. Ich zadaniem jest przepchać niezdolnych, czy też leniwych młodych ludzi do matury, ponieważ w innych szkołach tego by dokonać nie mogli.

Na koniec zostawiłem omówienie szkół katolickich, prowadzonych przez zakony Franciszkanów, Marianów itp. Bezsprzecznie poziom nauczania w tych szkołach jest najwyższy. Są to zakłady bogato wyposażone w pomoce naukowe, pobierające czesne wygórowane, ale wymagające — od uczniów, aby się uczyli, od profesorów, aby byli dobrze przygotowani. Szkoły te stoją kością w gardle elementom radykalizującym. Że syn ubogich rodziców dostępu do nich nie ma, mają rację, jak również, że absolwent tych szkół wynosi głowę znacznie lepiej umeblowaną, aniżeli absolwent szkół państwowych. Ale czy dlatego trzeba je znieść, czy też podciągnąć szkoły państwowe do ich poziomu? Pytanie jest retoryczne, bo słuszna odpowiedź jest chyba tylko jedna.

Uniwersytety z prawami wydawania uznawanych dyplomów były do niedawna tylko państwowe. Dopiero po objęciu prezydentury państwa przez Frondziego miejscowy Buenosajreński Uniwersytet Katolicki wystąpił o przyznanie mu praw, a wtedy rozszalała się istna orgia propagandy przeciw szkolnictwu wyznaniowemu. W propagandowych manifestach i strajkach brali udział studenci (to znaczy i uczniowie szkół średnich), jedni za, inni przeciw. Zaciętrzewienie doprowadzało do częstych bójek między czternastoletnimi smarkaczami. Przeciwnicy szkół wyznaniowych z całym cynizmem i jawnie mówili o niedopuszczeniu do tworzenia uniwersytetu o wyższym poziomie niż państwowy, czyli żeby syn bogatych rodziców nie wchodził w życie lepiej przygotowany niż jego biedniejszy kolega.

Nas obchodzi ten uniwersytet także i dlatego, że pod jego patronatem zostały stworzone najpierw katedry sowietologii i sławistyki, a obecnie i literatury polskiej. Tylko że profesorów tych katedr nie opłaca uniwersytet. Sowietologię wykłada prof. W. Toczyłowski. Opłacany był w poprzednich latach przez Fundację im. Paderewskiego, a w tym roku, gdy fundacja cofnęła zasiłek, wykłada honorowo. Sławistykę wykłada prof. Hałujczuk. Jest on profesorem normalnym uniwersytetu, wobec czego dwie godziny tygodniowo sławistyki także wykłada honorowo. Katedrę literatury polskiej, stworzoną w tym roku objęła mgr. W. Fuksa, opłacana z niedawno stworzonego przez Związek Polaków Funduszu Millenium Państwa Polskiego.

Polacy uczęszczają do wszystkich rodzajów szkół, lecz oczywiście najtężniej do państwowych. Coraz ich więcej z dyplomami argentyńskimi wsiąka w życie argentyńskie. Miejmy nadzieję, że o ile nawet ich dzieci nie będą mówiły po polsku, o tyle na pewno nie zapomną swego pochodzenia, ale nawet będą z niego dumne.

Zakończenie.

Polacy jako siła polityczna, która by mogła swymi głosami zdecydowanie poprzeć kandydata prezydenckiego, lub wybrać swych reprezentantów do parlamentów — federalnego czy prowincjonalnych — nie istnieje. Jest to spowodowane na ogół tym samym, co powodowało, że dziecko starych Polaków nie zawsze skwapliwie przyznaje się do swego pochodzenia. Odrobić tego stanu rzeczy nie będziemy w stanie. Może by można było o to się pokusić, gdyby wszyscy „Polacos”, a szczególnie Polacy z Ukraińcami chcieli się porozumieć i w tej sprawie maszerować w nogę. Na to, niestety, nie zanosí się.

Masowych skupisk Polaków poza Misiones, w którym już też są rozładowane, nie ma. W prowincji Buenos Aires znajdują się małe wyspy o polskim zagęszczeniu i tam natychmiast powstają polskie stowarzyszenia. Tak starzy i nowi Polacy starzeją się i nasza energia też się starzeje. Z drugiej strony kryzys gospodarczy Argentyny powoduje, że bardziej przedsiębiorczy element szuka sobie innych miejsc przesiedlenia i rozjeżdża się. Życie społeczne Polaków ulega zastojowi.

Witold KUSS sen.



TRAF W SEDNO!

**SZYBKIM PRZEKAZEM
PIENIĘŻNYM DO POLSKI**

TAZAB

22, ROLAND GARDENS • LONDON

S.W.7

TEL.FRE - 3175

Nowa literatura na Ukrainie

Tak to już jest, że literaturą rosyjską, nawet drugorzędną, wszyscy się interesują czy choćby o niej wiedzą. O odwilży w sowieckiej literaturze rosyjskiej wszyscy słyszeli (wystarczy wspomnieć Jewtuszenkę, no i *Odwiłż* Erenburga). O tym, że była jakaś odwilż w sowieckiej literaturze ukraińskiej czytelnik zachodni, w tym czytelnik polski na Zachodzie nic nie słyszał; nic nie wie też o niej, zapewne z nieco innych powodów, czytelnik w Polsce, choć powinno nas to interesować, nie tylko ze względu na sąsiedztwo geograficzne, ale też dlatego, że w tej odwilży ukraińskiej pewną skromną rolę odegrało polskie pośrednictwo: w latach 1955-57 kontakty pisarzy polskich z Kijowem i Lwowem były stosunkowo żywe i coś z fermentu ówczesnego w Polsce przesiąknęło i na Ukrainę. Odwilż, choć o tyle bardziej ograniczona niż w Polsce, pozwoliła jednak na pojawienie się w druku młodego pokolenia, tak zwanych sześciudziesiątników. Książka I. Koszełiwa¹ jest antologią tej najmłodszej poezji i prozy poprzedzoną krótkim 20-stronicowym wstępem (obszerniejsza jego książka na ten temat pt. „Suczasnna literatura w URSS” zapowiedziana we wstępie, ukazała się jakoby w międzyczasie²).

Odwilży tej nie zrozumie się nie znając choćby w zarysach historii lat 1930-1955 na Ukrainie. Tego okresu nie można porównać z latami stalinizmu w Polsce nie tylko dlatego, że w Polsce trwał on najwyżej 6-7 lat, ale przede wszystkim dlatego, że mimo straszliwych szkód, które zadał ten okres kulturze polskiej, nie było jednak wtedy masowego fizycznego niszczenia pisarzy czy uczonych. Tymczasem w samych latach 1930-38 wymordowano lub wywieziono do obozów koncentracyjnych na dalekiej północy po-

1. I. Koszełiwa, *Panorama najnowszej literatury w URSS*, wyd. Proloh, New York, 368 str.

2. Jak wynika z notatki B. Osadcuka w „Kulturze” nr 5, 1964, str. 85.

nad 200 pisarzy ukraińskich, mniej więcej 80% uczonych humanistów, zamknięto wszystkie uniwersytety (część z nich potem otworzono z rosyjskim językiem wykładowym), wszystkie pisma nie ściśle partyjne lub techniczne, włącznie z tak niewinnymi jak *Kino*. Z tych przykładów widać, że stalinizm na Ukrainie można raczej porównać z okupacją hitlerowską w Polsce. Trudno sobie wyobrazić, jakby Polska wyglądała, gdyby okupacja potrwiała 25 lat. Ponadto jednak NKWD, jak wiadomo, odznaczała się o wiele większym wyrafinowaniem niż Gestapo, toteż na przykład spośród pisarzy ukraińskich darowano życie trzem-czterem wybitniejszym (m.in. Ryłskiemu, Tyczynie, Bażanowi), jako swego rodzaju alibi dowodzące, że sowiecka literatura ukraińska jednak istnieje. Oczywiście ocaleni pisarze musieli okupić się odami do Stalina, budownictwem socjalistycznego i tp., a przede wszystkim, co chyba jest jeszcze gorsze, rezygnacją z jakiegokolwiek indywidualizmu twórczego i przejściem na styl socrealistycznej „drętwej mowy”, która sprawia, że większości utworów napisanych po 1930 r. niesposób niemal czytać.

Tak więc odwilż na Ukrainie nie była rzeczą łatwą ani samo przez się zrozumiałą. Niedarmo Czesław Miłosz mógł napisać kilka lat wcześniej (w „Zniewolonym Umyśle”), że pisarze i krytycy, którzy marzyli o odrębnej literaturze ukraińskiej przestali istnieć³. Jeśli chodzi o odwilż spontaniczną, nie odgórną (do tej dał znak nieco wcześniej Kornijczuk, o którym za chwilę), to rozpoczęła się ona w r. 1956, po oficjalnej rehabilitacji szeregu pisarzy prawie wyłącznie partyjnych i przeważnie drugorzędnych; powróciło też wówczas kilku pisarzy z dalekiego zesłania (najciekawszy z nich to Borys Antonenko-Dawydowycz). Ale nie było oczywiście mowy o takiej „lawinie” jak w Polsce czy na Węgrzech. Paradoksalnie, odwilż spontaniczną rozpoczął człowiek, którego nie trzeba było rehabilitować, bo nigdy nie był zesłany (był tylko „wydalony” z Ukrainy) i który nie był zawodowym pisarzem, a mianowicie znany reżyser filmowy, A. Dowženko, autor „Ziemi”.

Dowženko rozpoczął odwilż w literaturze w najlepszy możliwie sposób, a mianowicie nie atakując teoretycznie, a ogłaszając w jednym z czasopism swoje wspomnienia z dzieciństwa pt. *Zaczarowana Desna*. W powodzi drętwej mowy, sztampy językowej, którą zalana jest literatura sowiecka, *Zaczarowana Desna* uderza czytelnika absolutną świeżością, brakiem szablonu i wydaje mi się, że porównanie jej z pamiętnikami Erenburga wychodzi na korzyść Dowženki, więcej u niego literatury niż wspomnień o literatach. Być może wyszło Dowżence na dobre, że nie musiał zarabiać na życie piórem, to jest pisać obowiązkowych produkcyjniaków czy żurnalistycznych kobył.

Ten sam Dowženko, zmarły niestety już w 1956 r., ogłosił

3. Cytuję według artykułu G. Lućkiego w „Problems of Communism”, XI, 6 (1962) str. 51 nn., który jest dobrym, choć niestety zbyt zwięzłym, wprowadzeniem do dyskusji literackiej na Ukrainie w latach 1961-62.

jednak również jedną z pierwszych krytyk pojęcia socjalistycznego realizmu, (charakterystyczne dla sytuacji na Ukrainie jest to, że ogłosił ją po rosyjsku w moskiewskiej „Literaturnej Gazecie”. Przypomina to nieco sytuację w Polsce za caratu, gdzie cenzura petersburska była łagodniejsza dla literatury polskiej niż warszawska).

Jakim otwarciem okna była po 25 latach stalinizmu nawet ta skromna doza swobody pozwalająca na kontakt z kulturą zagraniczną to znaczy zachodnią, świadczą różne wypowiedzi drukowane wówczas w gazetach czy czasopismach literackich, jak choćby taki wyjątek ze sprawozdania z podróży do Paryża ogłoszonego w kijowskiej „Literaturnej Hazecie” we wrześniu 1956, przez pisarza średniej generacji O. Połtorackiego:

„Jak to dobrze, że teraz my, ukraińscy pisarze, możemy podróżować po wielu krajach świata nawiązując osobiste kontakty z naszymi postępowymi kolegami. I jak wspaniale, że nasi nowi przyjaciele, komunistyczni pisarze francuscy popierają nasze życzenie spotkania się nad brzegami Dniepru”.

W tym samym czasie senior poezji ukraińskiej Maksym Rylskij zaczynał artykuł (przedrukowany w *Panoramie* str. 267, od tych słów:

„Niedawno w pewnym towarzystwie toczyła się rozmowa o szlakach rozwoju sztuki radzieckiej (włączając w to literaturę). Rozmawiali specjaliści od literatury, od sztuki, pisarze, malarze, kompozytorzy. Raptem ktoś wymówił słowo: piękno. Wszyscy aż się wzdrygnęli. Naprawdę tak jak gdybyśmy zapomnieli to słowo...”

Wkrótce zainteresowanie Zachodem, włączając w to Polskę, stało się tak silne, że Partia uznała za konieczne zareagować. Jest charakterystyczne dla ambiwalentnej sytuacji starszych pisarzy, że użyto w tym celu tegoż Rylskiego, który w obszernym przeglądzie prasy polskiej ubolewał, że Polacy lekceważą realizm socjalistyczny i cytował między innymi Bieńkowskiego (*to fear or not to fear that is the question*), Jastruna („jest jedną z największych pomyłek Związku Pisarzy Polskich za ostatnich niesławnych lat, że instytucja ta starała się zamienić pisarzy w działaczy politycznych”) oraz Przybosia, który domagał się „skasowania socrealistycznej niewoli na polu sztuki”.

Miało się wrażenie czytając te i podobne wypowiedzi, że gazety polskie były wówczas znane i czytane na Ukrainie. W piśmie „Radjańske Literaturoznawstwo” (marzec-kwiecień 1957), poświęconym teorii literatury, niejaka Wjedina atakowała Woroszyłskiego, Toeplitza, Kołakowskiego, Słonimskiego, Kotta i Przybosia i podkreślała, że wierni wobec socrealizmu zostali tylko Iwaszkiewicz, Schaff i Żółkiewski. Te trzy nazwiska brzmiały jednak w artykule jak imiona ostatnich niezłomnych obrońców Okopów Świętej Trójcy. Wyczuwało się, że to obrona zachwianych pozycji (autorka uważała nawet za konieczne bronić Gorkiego), mimo że artykuł kończył się optymistycznie następującymi słowa-

mi: „Radziecka nauka literaturoznawcza powinna pokazać polskim pisarzom autentyczne próbkę twórczego rozpracowania najważniejszych problemów estetyki”.

W tymże piśmie mamy sprawozdanie z ataku akademika O. Bileckiego na ukraińskiego uczonego na Zachodzie D. Czyżewskiego, za jego książkę „Istorijska ukraińskoj literatury” (N. York 1956). Jak w wielu wypadkach tak i tutaj trudno orzec czy należy uważać ten atak za dowód że książka Czyżewskiego dotarła do Kijowa i była tam dyskutowana, czy też atak jest zamaskowaną próbą zaznajomienia czytelników z książką emigracyjnego uczonego. Atakowano też przekład „reakcyjnego” poety T.S. Eliota pióra emigracyjnego poety I. Kosteckiego, wydany w Monachium w r. 1955. Trudno sobie to wytłumaczyć inaczej, jak tylko przypuszczając, że przekład dotarł na Ukrainę i wywołał wśród młodych pisarzy co najmniej życzliwe zainteresowanie.

Z drugiej strony w prasie literackiej odzywały się głosy domagające się rehabilitacji nie tylko poszczególnych pisarzy, ale całego okresu 1920-1930. Wysuwając ten postulat krytyk średniej generacji St. Kryżaniwskij odważył się stwierdzić, że w oficjalnych przedstawieniach literatura tego okresu ogranicza się do dwu-trzech nazwisk (było to oczywiście publiczną tajemnicą, ale, jak inne tabu, nie łatwą do naruszenia). „A przecież był to burzliwy proces” — pisał Kryżaniwskij — „z wielką ilością rozmaitych tendencji, z dziesiątkami i setkami pisarzy”.

O rehabilitację poszczególnych pisarzy, jak na przykład znakomitego dramaturga M. Kulisza, toczyły się odtąd polemiki w prasie, ze zmiennym szczęściem, ale z ostatecznymi rezultatami przeważnie negatywnymi, podobnie zresztą jak w Polsce, gdzie nawet w najliberalniejszym okresie po październiku nie wydano ani Miłosza ani Jerzego Stempowskiego, choć nie brak było ludzi dobrej woli, którzy próbowali.

Wpływ sztuki nowoczesnej dał się odczuć w Kijowie już pod koniec 1956 (miał tam miejsce między innymi tydzień filmu belgijskiego oraz wystawa książki francuskiej, na której pokazywano reprodukcje Picassa, Braque’a, Matisse’a, i td.). Kazano więc znów Rylskiemu zaatakować malarstwo abstrakcyjne, co uczynił bez zbytniego entuzjazmu, w formie krótkiego wiersza. Widocznie uznane to zostało za niewystarczające, bo nowego ataku, na większą skalę, dokonał wielokrotny laureat nagród stalinowskich, członek rządu (i małżonek Wandy Wasilewskiej) O. Kornijczuk w komedii pt. „Czomu posmichalyś zori”.

Drugorzędni pisarze współcześni przeważnie nie bywają przedmiotem studiów literacko-stylistycznych. Może to czasem i szkoda, bo na przykładzie Kornijczuka widać dobroczynny wpływ odwilży nawet na tego drugorzędnego pisarza i stuprocentowo lojalnego funkcjonariusza. Porównanie tej komedii z wszystkimi poprzednimi jego utworami pozwala stwierdzić, że jest to niewątpliwie najlepsza sztuka Kornijczuka. Na języku i stylu znać wpływ odwilży, są nawet liryczne ustępy w stylu ukraińskiego dramatu lat dwudziestych („Przezroczyśta błękitna noc... Z ot-

wartych okien budynku leje się jaskrawe światło. I kwiaty i zieleń sadu zrobiły się bajkowe"). Jest jeden fragment o tendencjach lekko surrealistycznych (człowiek z głową-kawonem, kobieta z czajnikiem zamiast głowy), co prawda zamaskowany jako satyra.

Wprawdzie bohaterowie pozytywni Kornijczuka wypadają nadal dość blado (np. córka sowieckiego arywisty Olha — blada odbitka Uli ze znakomitej sztuki M. Kulisza „Myna Mazajło” z r. 1929), ale przynajmniej bohaterowie negatywni są zabawni, mimo że też się ich zna czy to z francuskiej komedii bulwarowej czy też znowu z Kulisza. Najbardziej ciekawe są sceny, w których Kornijczuk usiłuje wyśmiać młodzież, przejawiającą zainteresowanie dla sztuki zachodniej. Oto dwa przykłady:

Petro: *Szkoda, że nie byłeś z nami wczoraj. Co to była za noc. Rozeszliśmy się o szóstej rano...* Olha: *A kto jeszcze był?* Petro: *Nasz wielki poeta Kysljak (nazwa oznaczająca skisłe wzgl. kwaśne mleko). Tymisz czytał swoją nową nowelę.* Olha: *Dobra?* Petro: *Genialna.* Olha: *A Kysljak co powiedział?* Petro: *Podobała mu się nadzwyczajnie...* Olha: *Wielka nowela?* Petro: *Trzy stronicie, ale jak napisana!* (ma to być zapewne ironia, sam Kornijczuk nigdy się tak krótkim utworem nie splamił). *Kysljak mówi, że Tymofij ma nie tylko prawdziwie europejską manierę, ale i prawdziwy egzen... egzen... Przepiękne słowo, ale trudno wymówić. Egezcjonalizm.* Olha: *Cóż to takiego?* Petro: *Rozumiesz, Sartre? Tymofij to nasz Sartre. A to najnowsza forma sztuki. To samolot odrzutowy, a nasz realizm to drewniany wóz, który ciągną szare woły, nasi znakomici pisarze. Tak mówi Kysljak i ja się z nim zgadzam.* Olha: *Widziałam sztukę Sartre'a „Lizzy MacKey” i żadnej nowej formy nie zauważyłam...* Petro: *Ależ to nie ten Sartre. Tamten to lewicowy Sartre, a ten całkiem inny, egzen... egzenstancjonalista.*

Nie trudno sobie wyobrazić, że podobne dyskusje, jak ta którą tu skarykaturował Kornijczuk, toczyły się i toczą wokół utworów młodych pisarzy. Nietrudno też sobie wyobrazić, że przedstawiona tu reakcja na nie jest autentyczna. Zresztą czy w założeniu, że trzystronicowa nowela nie może być wybitna, nie przejawia się ten sam duch, co w wypowiedziach sędziego i świadków oskarżenia na procesie Brodzkiego?

Albo taka scena: Tymisz (zapytany o zdanie co do obrazu Pottera): *Wtedy nie było jeszcze kolorowej fotografii, więc zastępowano ją robotą takich artystów...* Szpak (wuj Tymisza i dyrektor muzeum): *Ty mówisz tak o Holendrach?* Tymisz: *Nie tylko. To nie malarstwo. Popatrzcie co robią w Paryżu. Tam od dawna śmieją się z tego, co się u nas chwali...* Pohoda (profesor uniwersytetu, ojciec Petra): *Wy, młody człowieku, kiedyście ostatni raz byli w Paryżu?* Tymisz: *Niestety w Paryżu nie byłem. Ale wiem...* Pohoda: *Ni czorta nie wiecie. Ja (...) byłem ostatni raz w Paryżu w zeszłym roku na kongresie i widziałem kilka wystaw...* Tymisz: *No i co? Tam wszystko jedna zgnilizna, jak to u nas piszą i jak powtarzają szanowni profesorowie?* Szpak:

Tymofiju! Pohoda: Nie, nie wszystko. Ale ja się zgadzam z Romain Rollandem, z Langevinem, z Joliot-Curie, ze wszystkimi wielkimi Francuzami, z ich punktem widzenia. A z kim wy, szanowny żółtodzióbie? Petro: Ojcie, ja protestuję. Mój przyjaciel ma imię. Pohoda: Milcz. Ty też teraz nie masz imienia — obaj jesteście żółtodzioby.

To że ostatnim argumentem „postępowego” profesora jest „milcz” ma swoją wymowę, podobnie jak to że w dyskusji z synem w ogrodzie ostatecznym jego argumentem jest wzniesiona do bicia łopata.

Kornijczuk nie jest wielkim pisarzem, ale niewątpliwie ma nos: styl, który wyśmiewał w 1957 r. (np. przedstawienie nowej poezji jako odrzutowca) przypomina niektóre chwytły stylistyczne młodych pisarzy sowieckich, nie tylko ukraińskich, opublikowanych nieco później, jak na przykład Jewtuszenki „Rakiety i wozy drabiniaste”.

Tymczasem na początku r. 1957 ukazał się pierwszy tomik wierszy poetki Liny Kostenko, najstarszej z pokolenia, które nazwano później generacją „sześćdziesiątników” (ur. 1930). Poezja jej, mimo nieuniknionych naiwności czy nawet niezgrabności, odznacza się brakiem sztampy i świeżym obrazowaniem w przeciwieństwie do przymusowej nudy i optymizmu oficjalnych poetów. Dwa wiersze z tego tomiku, „Śmiech” i „Wschodzi słońce”, zawiera antologia I. Koszeliwca. Zacytujemy z drugiego z nich sam koniec (w dosłownym przekładzie):

*Ranek dobry.
A noce, noce!
Śniesz się ty i cudze kraje...*

*Płakały niebieskie oczy.
Płakały czarne oczy.
Płakały szare oczy.
A wszystkie moje.*

Lina Kostenko została wprawdzie niebawem zaatakowana za pesymizm, przygnębienie i brak „rezonansu społecznego”, ale pozwolono jej dalej drukować. Jej następne wiersze zostały z kolei zaatakowane przez jednego z czołowych krytyków oficjalnych, O. Barabasza, który oskarżał ją o „manieryzm” i o „chorobliwe filozofowanie” ’dodając z rozbijającą szczerością, że nic z jej poezji nie zrozumiał.

Drugi tomik wierszy poetki ukazał się mimo to w r. 1958, po czym zaatakowała ją najpierw kijowska „Literaturna Haze-ta” ostrzegając przed posługiwaniem się formalnymi sztuczkami i przed skomplikowaną metaforą. W grudniu 1958 r. potępił poetkę sam „Komunist Ukrainy”, organ CK ukraińskiej partii. Głównym punktem oskarżenia był wiersz *Paproc* (*Panorama* str. 30-31). Podajemy go poniżej w dosłownym przekładzie:

*Ptaki zielone
późną porą
spać przyleciały
na świeżą porębę.*

*Cicho opuściły się
na żółte igliwie
ptaki zielone,
zielone ptaki.*

*Skrzydłami biły,
pióra gubiły,
głowy szare
nisko chyliły...*

*Ptaki zielone!
Czego wam jeszcze trzeba?
Macie księżyc.
Macie i niebo.*

*Ale o świcie
w złocistą porę
ptaki zielone
porwały się w górę.*

*Tylko że wzlecieć
nie zdołały, nie umiały,
za ciasno było,
poplątały się skrzydła.*

Ten obraz ptaków, w którym niewtajemniczonemu czytelnikowi doprawdy trudno doszukać się akcentów antysowieckich potępiony został przez „Komunist Ukrainy” jako wyraz beznadziejności dalekiej od „optymistycznych i kolektywnych uczuć typowych dla narodu sowieckiego”. A wreszcie w marcu 1959 na zjeździe pisarzy w Kijowie zadał poetce *coup de grâce* przewodniczący Związku pisarzy, M. Bażan.

Nie był to przypadek. Lata 1958-1961 to okres ponownego przymrozku. Między innymi przeprowadzono wówczas kolejną czystkę w redakcjach czasopism literackich, wstrzymano publikację zapowiadzianych poprzednio utworów zrehabilitowanych lub częściowo zrehabilitowanych pisarzy, na przykład Kulisza i Dowżenki, a wreszcie rozprawiano się znowu po gazetach z odchyleniami w literaturze a zwłaszcza z krytykami, którzy podczas odwilży „wychylili” się.

Tak na przykład wyżej wspomnianego St. Kryżaniwskiego zaatakowano za to, że ośmielił się bronić jednego z poematów L. Perwomajskiego, stwierdzając, że zarzuty, które w swoim czasie wysuwano przeciw temu utworowi, miały charakter ko-

niunkturalny. Kryżaniwskiemu przypominano, że nie tak dawno sam te zarzuty stawiał i zaatakowano w związku z tym za „brak zasad” odwracając niejako zarzut koniunkturalności przeciw niemu samemu.

Nie pozbawiony swoistej specyfiki jest fakt, że obok pisarzy „częściowo zrehabilitowanych”, to jest zamordowanych za stalinizmu, a których tylko niektóre utwory są dozwolone, istnieją też pisarze „częściowo zakazani” to jest wprawdzie należący do partii i którzy nigdy nie zostali potępieni, ale niektóre ich dzieła znajdują się na indeksie, sytuacja, do której paralele dałyby się znaleźć w innych epokach i pod inną szerokością geograficzną. Jednym z tych „częściowo zakazanych” jest właśnie L. Perwomajskij, do którego jeszcze wrócimy, ale również wszyscy wielcy „orderoności”, jak Ryłski, Tyczyna, Bażan.

Jednakże w początku r. 1961 przyszła nowa odwilż a z nią „rewolucja poetyczna”. Po trzyletnim milczeniu Lina Kostenko ogłosiła cykl wierszy napisanych podczas pobytu w Polsce. Poetka osiągnęła obecnie swój własny styl, bardziej dojrzały i mniej ozdobny niż poprzednio, na którym znać wpływ poezji ukraińskiej lat dwudziestych (głównie owego zakazanego Bażana i Falkińskiego), a także — jak mi się wydaje — nowszej poezji polskiej (np. w wierszu „Kobzarewi”)⁴. Tutaj i gdzie indziej L. Kostenko operuje delikatną ironią. Tak na przykład w wierszu *Sztafety* (*Estafety*), który podajemy poniżej w dosłownym przekładzie⁵:

*Różne bywają sztafety.
Mieszczanie mieszczanom przekazują bufety,
Załuższczone łyżki, tępe noże,
Głupotę swoją i myśli cudze.*

*Różne bywają sztafety,
Wojownicy wojownikom przekazują bagnety,
Majstrzy majstrom swoje tajemnice,
Carowie carom ukazy i ciemnice.*

*Różne bywają sztafety.
Przekazują poeci poetom
Z duszy w duszę, z języka w język
Swobodę ducha i prawdę słowa⁶.*

Dla atmosfery sowieckiej charakterystyczne jest, że ci sami krytycy, którzy atakowali poetkę w r. 1957, teraz wystąpili z po-

4. W *Panoramie* niestety nie umieszczony. Znam go z przedruku w interesującym artykule B. Krawciwa (*Suczasnist*, nr 2, 1962, str. 28 nn), z którego czerpię też szereg innych informacji.

5. (*Panorama*), str. 31-32.

6. *Rizni buwajut estafety. Peredajut poetam poety Z duszi u duszu Iz mowy w mowu Swobodu duchu i prawdu słowa...*

chwałami, tak np. W. Iwanysenko, który ganił ją przedtem za „skomplikowaną metaforę”, teraz wystąpił z artykułem, w którym tłumaczył, że poezja liryczna a szczególnie liryka nowoczesna nie da się ograniczyć do „nieskomplikowanych” obrazów. Krytyk zacytował cały wiersz *Paproć*, o którego potępieniu wspominaliśmy przed chwilą, twierdząc, że kompozycje poetyckie o tak bogatej zawartości zjawiają się dziś rzadko i broniąc go przed atakami sprzed trzech lat.

Wśród poetów, którzy zaczęli drukować po r. 1961, należy wymienić I. Dracza, M. Winhranowskiego i W. Korotycza (wszyscy trzech urodzeni w r. 1936). Winhranowskyj, którego odkrył jeszcze Dowżenko, był mniej lub więcej bojkotowany przez prasę literacką do r. 1961, kiedy to nagle krytyka sowiecka odkryła go i zaczęła wynosić pod niebiosa (między innymi znany nam już O. Barabasz, jeszcze niedawno surowy obrońca realizmu socjalistycznego w artykule zatytułowanym entuzjastycznie: *Oto poezja!*). Winhranowskyj zresztą jest najbardziej klasycznym z młodych poetów, jeśli chodzi o formę, wykorzystuje umiejętnie osiągnięcia poezji ukraińskiej lat dwudziestych. W przeciwieństwie do Dracza, o którym za chwilę będzie mowa, operuje oszczędnie metaforą, choć zdarzają się u niego też przykłady, jak

*Wujku, wujku, wracaj niezwłocznie,
Księżyc z nieba zrzuca (ci) wiosło...
Witaj, witaj moja georginio
I moja wierzbowa wiosko.*

(Georgia, str. 50⁷)

Przykłady takie przypominają nieco Czechowicza (ale i georgia jest tu metaforą, zamiast żony wujka⁸). Winhranowskyj posługuje się umiejętnie rymem, jak na przykład w tymże wierszu, który rymowany jest abab oprócz dwu kluczowych strofek, z których jedna rymuje się abba, a druga końcowa, nieoczekiwanie aabb. Interesującym wierszem jest też *Preludium ukraińskie*, które niestety w przekładzie dosłownym traci swe walory rytmiczne:

*Już serce moje jest pod kołami pętla!
Upadło serce! Gdzie tego przyczyna?
Już słyhać, jak obraca się Ziemia
I jak obraca się wraz z Ziemią Ukraina⁹.*

7. Djaď'ku! Djaď'ku! Nazad nestrymno' Misjać z neba kyda westo... Zdrastuj, zdrastuj, moja żorżyna I werbowe moje seło!

8. Na steżyni zostałas družyna, A win dali na zachid pobih... Ohljannuwsja — stojit' żorżyna Na rozhilli nicznych dorił. (Na ścieżce została żona, A on dalej na zachód pognał. Obejrzał się — stoi georgia Na rozgałęziu nocnych dróg).

9. Wże serce pid kolesamy petlja!... Upalo serce! De tomu pryczyna?... Wże czut', jak obertajetsja Zemlja, I obertajetsja z zemleju Ukraina...

Jeśli chodzi o W. Korotycza, to wydaje mi się, że emigracyjni krytycy ukraińscy nieco go przeceniają. (To że autor jest lekarzem i pisze w związku z tym wiersze moralnie godne pochwały, nie wydaje mi się jeszcze wystarczającą literacką rekomendacją). Pod względem literackim przypomina on raczej angielskiego poetę Cecil Day-Lewisa, znać też wyraźny wpływ Majakowskiego.

Za to najwybitniejszym poetą młodej generacji jest, obok Liny Kostenko, niewątpliwie I. Dracz. Ogłosił on w kijowskiej „Literaturnej Hazecie” dłuższy poemat pod tytułem „Nóż w słońcu” (*Niż u sonci*), niestety nie przedrukowany w antologii I. Koszeliwca, który jest pierwszą próbą poetycką, przynajmniej jeśli chodzi o Związek Sowiecki, poświęconą tragedii chłopów ukraińskich podczas przymusowej kolektywizacji i głodu, tak w latach trzydziestych jak i po wojnie. Poeta daje niesamowity obraz matki-chłopki, samej w chacie z kogutem, psem i kotem, której dwu synów zginęło na wojnie a trzeci za kolektywizacji. Straciwszy zmysły, matka nazywa zwierzęta imionami synów:

*Podawała kieliszki kogutowi,
Kotu i psu, mówiła do nich po imieniu:
„To dla Andrija będzie, to Petrowi,
To dla Iwasia, wystarczy dla wszystkich.*

*A tu i goście mamy. Proście do stołu, dzieci”.
I obłąkana puściła się w taniec.
I wicher przekłęty i opętany
Wkoło czarnego stołu nią zakrecił.*

*I trzech synowie płakali nad starą,
Ale nie mogli zejść w dół z krwawych ram.
Ten pod Berlinem, ten w śnieżnej zawiei
Gdzieś pod Warszawą, a trzeci niby sam*

*Od czarnego szyderstwa w trzydziestym siódmym.
A matka, siwa i straszna, płynęła
Nad jasnym światem po świętej łomie,
Wokoło stołu jak wokół planety.*

Choć mniej dojrzały niż utwory Liny Kostenko poemat Dracza jest jako pomysł ciekawy, miejscami wstrząsający, i, mimo pewnych młodzieńczych naiwności, stylistycznie nowatorski (np. rakieta kosmiczna jako rekwizyt poetycki). Dracz był zresztą za niego atakowany ze względów politycznych. Jeden z tych ataków przedrukowany jest w *Panoramie* (str. 349-355). Mykoła Szemeret protestuje w nim „jako uczestnik Wojny Ojczyźnianej”¹⁰ przeciw spotwarzaniu powojennej rzeczywistości w obrazie obłą-

10. W polskiej terminologii oficjalnej wojna 1941-45 nosi nazwę Wielkiej Wojny Narodowej Związku Radzieckiego, pozwalam sobie jednak zachować nazwę sowiecką ze względu na *couleur locale*.

kanej matki, która tańcząc wokół stołu „śpiewa kułacką piosenkę o ówczesnych kołchoźnikach”.

W stylu Dracza widać wpływy poetów lat dwudziestych (także tych oficjalnie zabronionych, widocznie wiersze ich kursują w odpisach) a także, jak mi się wydaje, Przybosia. Miło jest po blisko trzech dziesięcioleciach najgorszej drętwej mowy mieć do czynienia z poetą, który ma takie wyczucie stylistyczne własnego języka, widoczne na przykład w używaniu niektórych potocznych rusycyzmów (których oczywiście starannie unikają ukraińscy klasycy socrealizmu, którym wystarczy kopiowanie ducha rosyjskiego), a z drugiej strony — podobnie jak Przyboś — w nadawaniu nowego blasku pewnym tradycyjnym i właściwie już wyświechtanym formom poezji czy to ludowej, czy nie-ludowej (wiadomo, jak epigoni Szewczenki, a zwłaszcza poeci komunistyczni nadużywali tych *clichés*. O tym zobacz też trzy ciekawe artykuły krytyczne, jeden St. Kryżaniwskiego, *Panorama*, str. 289-297 i dwa Iwana Dziuby, str. 299 i 309).

Oto kilka przykładów z Dracza: *chrustyt' powitryja Wafljamy sypkymy Kowtaje z witrom czornobrywyj spiw* (czarnobrewa — typowy epitet pieśni ludowej, ale nie w tym połączeniu). Użyte w nieoczekiwanym kontekście tradycyjne zwroty nabierają niespodziewanego blasku: *My jszły u dwoch. Lisy połumjanity Odspiwanym stuchajuczym wohnem. Topol' diwocznych zołotysti strity Trymały sonce nad błakytным dnem*¹¹ (topola-dziewczyna to tradycyjna metafora poezji ludowej i nieludowej od czasów Szewczenki, ale tutaj przewartościowana dalszą podwójną metaforą: *strzały topol i trzymały niebo*).

Albo też taki oszczędny obrazek wsi: *Chatky bilyły* (znowu tradycyjny obraz, porównaj nawet znaną pieśń), *czepuryłyś strichy, Diwczata pisnju w nebo poneśły* (wariant zwykłego zwrotu: pieśń niesie się w niebo). *Chłopjata koleśa kotiły i dlja wtichy* (dwie sylaby dodatkowe przypadające akurat na *koleśa kotiły* nadają w tym miejscu wierszowi szczególnie udanego przyspieszenia) *Puskały zmija miz osinnich styw*¹².

Z cyklu „Lato w Teliżeńcach” (wieś rodzinna autora) umieszczonego częściowo w *Panoramie* warto wyróżnić *Balladę o wia-drze*, która tematem — choć nie formą — przypomina polskiemu czytelnikowi poniekąd Białoszewskiego (forma rytmiczna jest tu raczej tradycyjna):

...Jam cynkowa forma. A treść moja gruszki,
rywalki słońca, kandelabry sadu,
z republiki soków zabłąkane dusze,
pobierane w podołki w noc gruszopadu.

11. Szliśmy we dwóch. Lasy pałyły odśpiewanym gasnącym ogniem. Topol dziewczęcych złociście strzały Trzymały słońce nad błękitnym dniem.

12. Domki białe, pyszniły się strzechy. Dziewczęta piosnkę w niebo poniosły. Chłopey toczyli koła i dla zabawy Puszczały latawca wśród jesiennych śliw.

*Jam cynkowa forma. A treść nie ode mnie,
podlegam czasowi, podlegam potrzebom.
A gdy jestem puste w bycie całodziennym,
to-m po brzegi wypełnione niebem. (...)*

Przekład jest niemal dosłowny, to że po polsku przypadkiem wyszedł też mniej więcej rymowany wiersz wynika nie tylko z bliskości obu języków — ta bywa nieraz raczej przeszkodą niż pomocą — ale może spowodowane jest tym, co Koszeliweć w swym wstępie nazywa upodobaniem młodych poetów do lek-sykalnego prozaizmu, do suchego lakonicznego sposobu wyrażania. Do tej kategorii należą też niektóre bardziej udane rzeczy wspomnianego wyżej Korotycza.

Tom *Panoramy* zawiera obok poezji (str. 1-112) też dość obszerny wybór z prozy (str. 115-253), a ponadto z krytyki literackiej (str. 257-364). Ta ostatnia jest ciekawa zresztą nie tyle sama w sobie, ile jako odbicie prowadzonych dyskusji, częściowo tylko literackich.

Z fragmentów powieści lub nowel zawartych w tomie wyróżnia się urywek z powieści *Dziki miód* wspomnianego już Ł. Perwomajskiego: młoda kobieta spotyka na froncie oficera NKWD, który przed kilku laty aresztował jej męża. Oficer zresztą żałuje (w duchu). Scena cofa się do chwili aresztowania¹³, wraca do okopów, po czym następuje najlepsza część: ucieczka młodej kobiety z Moskwy na wieś. Z dzieckiem na ręku przechodzi nocą przez małe uśpione miasteczka, nad ranem obserwują ją podejrzliwie milicjant i gwarzący z nim gdzieś na roku, wsparty na miotle, stary zamiatacz ulic (w kobiecie serce zamiera). Zupełnie wyczerpaną podwozi zarośnięty bradiaga, szofer ciężarówki. Dochodzi do cichego miasteczka, gdzie mieszka jej matka. To ciche miasteczko i ta matka, symbole kraju lat dziecińczych, literacko zresztą całkiem udane, są jednak niestety, jak się wydaje, tylko literaturą. Antonina Kulisz opisuje, jak po aresztowaniu męża spędziła z dwojgiem dzieci cztery dni i cztery noce pod parkanem domu pisarzy w Charkowie, nikt nie odważył się przyjąć jej na noc, znajomi widząc ją przechodzili na drugą stronę ulicy.

Tom zawiera ponadto wyjątki z powieści zmarłego w r. 1961 H. Tjutjunnyka, których „bohaterem” jest naczelnik kołchozu, pastwiący się nad chłopami. Najbardziej niesamowitą sceną jest tu opis próby zamordowania naczelnika przez grupę zrozpaczonych Cyganów, których spotkał gdzieś daleko w stepie; wstrząsającą zwłaszcza przez dystans, który zachowuje pisarz w stosunku do przedstawionych wydarzeń. Atmosfera nienawiści między „władzą” a podwładnymi wypada tu tak plastycznie, a trak-

13. Warto ją porównać z autentycznym opisem aresztowania dramaturga M. Kulisz w r. 1934, a zwłaszcza z opisem rewizji trwającej sześć godzin, o wiele bardziej dramatycznym (M. Kulisz, *Twory*, N. York 1955, str. 424 nn. Żona pisarza Antonina napisała to wspomnienie na emigracji w Ameryce).

towanie chłopów przez naczelnika tak przypomina najgorsze obrazy pańszczyzny i ekonomów, że czytelnik niesowiecki dziwi się wprost, jak tego cenzor nie widział i jak taką powieść w ogóle wydrukowano i skłonny jest wnioskować, że obraz ten musi być dla czytelnika sowieckiego równie znany i normalny jak była pańszczyzna na przykład dla XVII czy XVIII wieku.

Jak podkreśla Koszeliweć we wstępie, spośród pisarzy, którzy debiutowali jeszcze za życia Stalina, Perwomajskij i Tjutjunnyk (ur. 1920) są bodaj jedynymi, którym udało się wyrwać z więzów „drętwej mowy”. Fakt ten uderzający jest w wypadku młodszych, jak na przykład N. Pawłyczko, który urodził się wstępnego o rok wcześniej niż Lina Kostenko, ale miał to nieszczeście, że zaczął drukować już w r. 1951. Ale może należałoby odwrócić sformułowanie i zapytać czy nie było raczej tak, że ci co mieli coś do powiedzenia, bywali z góry odrzucani albo i nie pchali się do druku wiedząc, że ich nie przyjmą, i że wobec tego drukowały tylko miernoty, od których nie ma co oczekiwać, że mogą czy choćby chcą pisać lepiej, albo też, że będą się palić do odwilży, która może im przynieść co najwyżej koniec uprzywilejowanej pozycji, którą zawdzięczają właśnie swym mierności. Co innego znowu pisarze starsi, których moralnie złamano, jak Rylskiego czy Tyczynę (zdaje się Czesław Miłosz opowiadał, że widział wkrótce po wojnie w Polsce Rylskiego, który przyjechał z jakimś odczytem. Wyglądał jak człowiek, któremu przejechano twarz).

Trzeba wreszcie na koniec zanotować opowiadanie A. Dimarowa, *Matka i syn* (str. 247), którego tematem są odwiedziny matki u syna w łagrze. Jak pisze I. Koszeliweć we wstępie, po ukazaniu się książki Sołżenicyna „Jeden dzień z życia Iwana Denisowicza”, redakcje czasopism literackich zawałone były utworami o podobnej tematyce, ale ogłaszania ich zabroniono i z ukraińskich pisarzy tylko Dimarowowi udało się „przedrzeć”, jak to nazywa Koszeliweć, niedarmo posługując się metaforą zaczerpniętą z placu boju.

Nie trzeba chyba podkreślać znaczenia, jakie ma *Panorama* dla poznania nowej nonkonformistycznej literatury na Ukrainie. Wystarczy powiedzieć, że mimo o wiele bardziej sprzyjających warunków, nie mamy dotychczas podobnej antologii w języku polskim ani w Polsce ani na emigracji. Jest oczywiście wiele innych, poczynając od wyboru artykułów z „Po prostu” a kończąc na różnych almanachach młodych, ale są to wszystko antologie o wiele bardziej szczegółowe, brak właśnie tego rodzaju zwięzłego wyboru z całości. Opracowanie podobnej antologii polskiej literatury nonkonformistycznej lat, na przykład 1955-1964, byłoby zadaniem zarówno wdzięcznym jak pożytecznym. Niemniej wdzięcznym a niewątpliwie łatwiejszym byłoby zapoznanie czytelnika polskiego z młodą literaturą ukraińską. Łatwiejszym, bo wybór już jest zrobiony, choć zapewne dla czytelnika polskiego musiałoby się go nieco zmienić, usuwając większość artykułów krytycznych, odnoszących się przeważnie do spraw dla niego niezro-

zumiały. Taki wybór — jak słusznie zauważył niedawno w „Kulturze” Bohdan Osadczyk — mógłby mieć pewne znaczenie w dziedzinie stosunków kulturalnych polsko-ukraińskich. To zadanie zdaje mi się z natury rzeczy przypadać Bibliotece „Kultury”. Trudno przecież liczyć na to, aby ten przekład czy też jakikolwiek inny wybór z nonkonformistycznych pisarzy ukraińskich ukazał się obecnie w Polsce. Obawiam się, że nie tylko ze względów cenzuralnych. Tak już jest, że mody literackie przychodzą do nas ciągle jeszcze z Paryża (zresztą nie tylko do nas: Niemcy Zachodnie nigdy by nie odkryły Gombrowicza i nie zachwyciły się nim tak, gdyby nie to, że Paryż odkrył go przedtem). Także więc z tego powodu Biblioteka „Kultury” wydaje się idealnym pośrednikiem.



W ostatnim numerze miesięcznika *Suczasnist*, ukraińskiego odpowiednika „Kultury” wychodzącego w Monachium pod redakcją I. Koszeliwca, ukazał się szereg wierszy oraz wyjątki z dziennika zmarłego przed dwoma laty Wasyla Symonenki. Symonenko, urodzony w r. 1935, zdążył już ogłosić pewną ilość wierszy, część ich wyszła nawet drukiem jako osobna książka. Wiersze ogłoszone obecnie w *Suczasnosti* jednakże się na Ukrainie nie ukazały, krążą one podobno tam w odpisach, jak również po krajach satelickich, i zapewne przez jeden z tych krajów przedostały się zagranicę. Jest to, o ile mi wiadomo, pierwszy wypadek tego rodzaju, jeśli chodzi o utwory w języku ukraińskim.

Nie wszystkie ogłoszone wiersza wydają się z punktu widzenia sowieckiego „niecenzuralne” (oczywiście, o ile można to w ogóle ocenić na odległość). Zapewne o odmowie drukowania zdecydował pesymistyczny aspekt całości, a bardziej jeszcze coś, co można by nazwać negacją systemu. Symonenko nie tylko pisze wiersze na zgniłą kolbę kukurydzy, które doskonale dałyby się zmieścić w ramach walki z marnotrawstwem i biurokracją, ale też kończy je strofką: *Przekleństwo wam, podstępni złoczyńcy, W jakiegokolwiek włóczyście się randze, Wy zabijacie ludzkie nadzieje, Tak samo jak zabiliście tę kolbę kukurudzy, a co gorzej pisze też takie rzeczy, jak „Granitowe obeliski”*:

*(...) Granitowe obeliski, jak meduzy,
Czołgały się, czołgały, aż do utraty sił.
Na cmentarzu rozstrzelanych iluzji
Już nie ma miejsca dla grobów.*

i dalej

*Już lud cały jest jedną wielką raną,
Już od krwi dziczeje ziemia,
I każdego kata i tyrana
Już oczekuje gotowa pętla.*

To że wiersze takie nie mogą się ukazać, świadczy, jak nie daleko idą destalinizacja i liberalizm na Ukrainie. Dzienniki młodego poety rzucają nieco światła na tło wierszy:

(8.X.62) W wierszu „Róże w żałobie”... występuję przeciw nowej religii, przeciw hipokrytom, którzy nie bez powodzenia usiłują przetworzyć marksizm w religię, w prokrustowe łożo dla nauki, sztuki i miłości. Smutne przykłady z cybernetyką, z geometrią, „wieczne wezwania do składania ofiar i niekończące się obietnice „raju na potem”. Czyż to wszystko tak dalekie od tragedii (Giordana) Bruna i Galileusza, pisania psalmów i malowania ikon, od monasterów i królestwa niebieskiego? O ile marksizm nie stawia czoła szalonemu naporowi dogmatyzmu, to jego przeznaczeniem jest stać się religią.

(16.X.62) Nie ma nic strasznego od nieograniczonej władzy w rękach ograniczonego człowieka. Naczelnik kołchozu we wsi Jeremenki krzychał z bezsilności i wściekłości na zebraniu: „Ja wam zrobię nowy 33-i rok!” Oczywiście, nikt nawet nie pomyślał, by wziąć za kołnierza tego niegodziwca.

(21.X.62) Do niepamięci nienawidzę oficjalnej patentowanej wypasionej mądrości.

(21.6.63) Mało nie udusiłem się od prochowego dymu batalii ideologicznych. Realizm odniósł następne z kolei zwycięstwo, co prawda nie przy pomocy utworów, a środkami administracyjnymi. A w ogóle to niebezpieczeństwo formalistycznego ształu było zdaje się pozorne. Przynajmniej na Ukrainie nie spotkałem nikogo otumanionego abstrakcjonizmem czy jakimś neofuturyzmem. Realnym pozostaje nadal, jak i przedtem, zagrożenie formalistyczną tępotą w literaturze. Bo czy to nie formalizm, gdy setki pisarzyków według zgóry gotowych schematów obsmokują kilka dziesiątków tak zwanych wiecznych idei: kochaj pracę, szanuj tatę i mamę, nie patrz krzywo na sąsiadów?... Formalizm zaczyna się tam, gdzie kończy się myśl. (...) Wątpię czy można by mi zarzucić formalizm, a nie drukuję niczego.

(22.VII.63) Myśląc o śmierci nie odczuwam żadnego strachu. Może dlatego, że jest ona jeszcze daleko? Dziwna rzecz: nie pragnę śmierci, ale i szczególnej żądzy życia nie mam. Dziesięć lat byłoby dla mnie więcej jak dosyć. (Symonenko umarł 13 grudnia 1963).

(3.IX.63) Przyjaciele moi przycichli, nie słysząc o nich ani słowa. Organy drukowane stały się jeszcze niedołączniejsze i zuchwalsze. „Literaturna Ukraina” kastruje mój artykuł, „Ukraina” znęca się nad wierszami. Każdy lokaj robi, co mu się podoba. Jak tu błyszczeć wdzięcznością, jak tu nie modlić się za tych, którzy podarowali nam taką wolność. Do tego można jeszcze dodać, że w kwieciu „zdjęto” moje wiersze w „Zminie”, zarzucono w „Zowniu”, potem nadeszła odmowa z „Dnipra” i „Witczyny”¹⁴.

Także i Symonenko należy do pisarzy, których warto by

14. Nazwy czasopism literackich.

uprzystępnąć w wyjątkach czytelnikowi polskiemu, choć należałoby z tym poczekać na zapowiadane w ostatnim numerze *Suczasnosti* ukazanie się w nowojorskim wydawnictwie „Proloh” całego tomu przemyconych wierszy poety. Miejmy też nadzieję — wbrew pesymistycznemu stwierdzeniu wyrażonemu na wstępie — że Symonenko dotrze śladem Terców, Iwanowów i innych rosyjskich pisarzy sowieckich do czytelnika zachodniego.

SPOTKANIE W NOWYM JORKU

Na zakończenie kilka słów o spotkaniu, które odbyło się niedawno w Nowym Jorku z inicjatywy ukraińskiego klubu okrągłego stołu. Ukraińscy pisarze emigracyjni zamieszkali w Ameryce zaprosili na tę rozmowę grupę ukraińskich pisarzy, krytyków, malarzy i tp. działaczy kultury z Sowietów, którzy odbywali podróż po Stanach. Wśród pisarzy z Sowietów była między innymi znana jeszcze przed wojną autorka lwowska, Irena Wilde, oraz krytyk literacki Stepan Kryżaniwskij, o którym wspominaliśmy powyżej. Zwięzłe sprawozdanie ze spotkania przynosi tenże styczniowy numer *Suczasnosti*.

Kryżaniwskij rozpoczął od oświadczenia, że „wy znacie w najdrobniejszych szczegółach procesy literackie na Ukrainie, wam o nich nie trzeba opowiadać”, wobec czego mówił raczej o problemach natury ogólnej. Obok obowiązkowych komunałów o tym, że przewodnią ideą dla pisarzy Ukrainy jest idea komunizmu, idea braterstwa, równości i swobody (i tp.) Kryżaniwskij (urodzony w r. 1911) mówił też jednak o młodych, których nazwał „naszą zmianą”, między innymi o Linie Kostenko, I. Draczu, W. Korotyczu oraz o W. Symonencie. Przyznał, że „młodzi nastroszeni są bardziej krytycznie od nas”, ale podkreślał, że są zwolennikami idei komunizmu. Podkreślił też wielki wpływ Dowżenki na literaturę i na wszystkie gałęzie sztuki. A wreszcie zakończył wyrażeniem zadowolenia ze spotkania i stwierdził, że jeszcze półtora roku temu spotkanie takie byłoby niemożliwe „zarówno z jednej jak i z drugiej strony” (warto podkreślić, że spotkanie miało miejsce 30 listopada, to jest w sześć tygodni po upadku Chruszczowa).

Irena Wilde mówiła z kolei o sytuacji literackiej w Zachodniej Ukrainie względnie Galicji Wschodniej, wspominając między innymi, że Związek pisarzy miał tam w r. 1941 (to jest podczas pierwszej okupacji, przed wojną sowiecko-niemiecką) 150 członków, obecnie zaś liczy ich sekcja lwowska pięćdziesięciu (zaraz po wojnie było wszystkiego siedmiu członków). Także Irena Wilde podkreśliła, że o procesach literackich na Ukrainie „wy dużo wiecie, niektóre rzeczy wiecie lepiej od nas”.

Charakterystyczne było też zakończenie spotkania przez tegoż Kryżaniwskiego, który oświadczył, że dziś już może być położony pierwszy kamień pokoju i zgody (między pisarzami na Ukrainie

i na emigracji), mówił o wspólnej miłości do ludu ukraińskiego i do Ukrainy.

Niesłuszne byłoby traktować tego rodzaju zdań tylko jako banalnych frazesów. Jeszcze przed kilku laty prasa sowiecka napałała na tych samych pisarzy emigracyjnych jako na burżuazyjnych nacjonalistów, agentów Wall-Street i td. Witając gości Jewhen Stachiw podkreślił zresztą wyraźnie, że pisarze emigracyjni stoją na stanowisku niepodległości Ukrainy. Jeżeli więc teraz Kryżaniwskyj, który przeżył czasy Stalina i chyba nauczył się, co może kosztować zbytne „wychylanie się”, wyciąga do nich bratnią dłoń, to jest to niewątpliwie nie tylko szczere, ale i znamienne. Przyszłość pokaże, czy mamy do czynienia tylko z jeszcze jedną kampanią powrotową zmierzającą do rozbrojenia emigracji czy też jest to zapowiedź dalszej liberalizacji na Ukrainie.

Andrzej VINCENZ

Historycy sowieccy

17 i 18 czerwca 1964, w Instytucie Historii sowieckiej akademii Nauk w Moskwie, przy ulicy Dmitrja Uljanowa, odbyła się interesująca dyskusja historyków sowieckich nad „makietą” 9-go tomu *Istorii SSSR s drevnejších wremen*, obejmującego okres lat 1933-41. Dyskusji przysłuchiwali się obecni w Moskwie zagraniczni studenci i poczynili z niej być może niezawsze ściśle i dokładne notatki. Pomimo tego zastrzeżenia, wydaje się nie ulegać wątpliwości, że dyskusja była nie tylko niezwykle ciekawa, lecz, co więcej, świadczyła o dość szerokim marginesie „wolności słowa” oraz o osobistej odwadze poszczególnych mówców i powszechnej nienawiści do rzekomo niegdyś ubóstwianego „Wielkiego Stalina”.

Dyskusję zaczął Aleksander Pawłowicz Koruszew od krytyki przedstawienia w „makiecie” okresu 2-iej Pięciolatki. Gdy wspominał, że w 1933 r. studenci sowieccy omdlewali z głodu w kolejkach po zupy w stołówkach, z audytorium rozległy się głosy protestów, na co mówca oświadczył, że sam był tego świadkiem i wyraził zdanie, że w „makiecie” należy szerzej omówić okres i system racjonowania żywności w Rosji.

W czasie 2-iej pięciolatki — mówił dalej — wiele prac, jak np. *Bełomor-kanal* i inne, zostały wykonane przez masy *łagierników*, które nigdy rehabilitowane nie zostały. Tylko przywódcy partyjni są rehabilitowani, nie masy. Niech więc 9-ty tom powie przynajmniej, ilu *łagierników* brało udział w tych pracach? Należy również lepiej oświetlić sytuację chłopów w kołchozach: w 1933 była ona gorsza niż w 1929, gorsza nawet niż w 1913.

(„Jeśli tak było, to po co była rewolucja Październikowa” zawołała w tym miejscu z audytorium prof. *Genkina*). Hasła kolektywizacji dobre były tylko na użytek zewnętrzny, bodźce materialne nie istniały. Za dzień pracy (*trudodień*) kołchoźnicy otrzymywali 2 kilo zboża, produkując przeciętnie 69 kilo. 67 kilo zabierało państwo. Należy w „makiecie” omówić podział produkcji rolnej pomiędzy wytwórców i państwo. A Pakt 1939 r. pomiędzy Hitlerem i Stalinem: czy były w nim tajne punkty? Zachodnia prasa twierdzi, że były: na temat Polski i w innych sprawach. Jeśli to prawda, to trzeba je w „makiecie” omówić, jeśli nieprawda, trzeba wykazać, że prasa zachodnia kłamie. A wojna fińska: czego nauczyła się z niej armia sowiecka? Przemysł obronny w 1938: „makieta” mówi, że w ciągu 1-1½ roku produkcja jego wzrosła 2-2½ razy, ale produkcja czołgów, dział i samolotów nie zwiększyła się wcale. Cóż więc spowodowało ten przeszło dwukrotny wzrost produkcji? Ilu oficerów zostało zlikwidowanych podczas czystki? 33 czy 40 tysięcy? W przedzień wojny nasza armia została obezwładniona. Czy były jakieś plany wojny? 9-ty tom winien wyjaśnić, dlaczego było tylu szefów Sztabu w 1940/41 i jaką była siła naszej armii w ludziach i sprzęcie.

W dalszej dyskusji ciekawsze przemówienia wygłosili:

Jekirim. Nie są właściwe w 9-ym tomie pochwały fanatyzmu Stalina przy budowie socjalizmu. Tak było przed powstaniem „kultu”, ale w czasie „kultu” Stalin przeszkadzał tylko w budowie socjalizmu. W 1937 represje doszły do szczytu. Dlaczego 9-y tom nie wyjaśnia genezy ustaw represyjnych i nie omawia sprawy używania fizycznych tortur oraz wymuszania przyznawania się. Trzeba tam również wymienić nazwiska ludzi uwiecznionych w okresie „kultu”.

Tomunow. Nie jest prawdą, że dopiero przyjście do władzy Hitlera spowodowało załamanie się demokracji w Sowietach. Stało się to dzięki Stalinowi. „Kult” był określoną epoką historyczną w historii ZSSR i 9-y tom winien to wyjaśnić jak również to w jakim stopniu i dlaczego naród wierzył w Stalina.

Nekrasowa. Plany pięcioletnie nie były realne. Trzeba o tym wzmiankować przy omawianiu trzeciego planu.

prof. Genkina. Moi przedmówcy byli zbyt krytyczni. Jeśli hasła kolektywizacji miały na celu jedynie oszukanie Zachodu, dzisiejsza zaś struktura naszego państwa jest taka jak w latach trzydziestych, jakie z tego wnioski mają wyciągać ludzie? Jak na to godziła się partia w ciągu lat 30? Tom 9-y zbyt podnieca czytelników. W najnowszych pracach historycznych pomija się całkowicie Stalina. Nie jest to słuszne, gdyż studenci pytają: „A gdzie był Stalin?”. Pod tym względem 9-y tom zajmuje słuszną postawę. Jest w nim jednak za wiele powtarzania się i za wiele sprzeczności. Nie jest prawdą, że nie ma obecnie dostępu do archiwów.

To ostatnie twierdzenie Genkinej wywołało ożywioną dyskusję zebranych, czy i w jakim stopniu archiwa sowieckie zostały otwarte dla studiów. M.in. *Roszał* oświadczył, że w Muzeum

Rewolucji Październikowej działa (*fondy*) 2 i 17 są wciąż zamknięte. Z dyskusji wynikało, że dział 2 dotyczy Lenina, czego zaś dotyczy i co obejmuje dział 17, wyjaśnione nie zostało.

Kuric. Jest za wiele sprzeczności w tomie 9-ym. Historię należy pisać prosto; tak jak było. Należy omówić sprawę organów karzących NKWD.

Uljanowska. Należy w tomie 9-ym wyjaśnić sprawę naszego udziału w hiszpańskiej wojnie domowej. Ilu było tam ochotników, ile czołgów zostało wysłanych do Hiszpanii? Pora już ujawnić te tajemnice, jak również wiele innych. Czy Nikołajew (zabójca Kirowa) został usunięty z partii jako zwolennik Zinowiewa? Czy procesy w czasie „czystek” były jawne czy tajne? (Głos z publiczności: „Jeśli jawne, to tylko dla współpracowników NKWD”). A samobójstwo Gamarnika? Został on pochowany jako wróg, a aresztowany dlatego, że był zbyt popularny. Trzeba ujawnić nazwiska pogromców Pokrowskiego, szczególnie tych, którzy wciąż są czynni.

Szczególne zainteresowanie zebranych wywołało przemówienie Aleksandra Władimirowicza *Snegowa*. Przyszedł on na dyskusję później, już po przemówieniu Genkinej, mówił bez notatek wywołując niekiedy sprzeczny, częściej aprobatę zebranych:

Zgodzimy się wszyscy, że lata trzydzieste były okresem pełnym sprzeczności, gdy Związek Sowiecki posuwał się jednocześnie naprzód i wstecz. Połowa prawdy w przedstawianiu historii tych czasów w tomie 9-ym jest ogromnym postępem w stosunku do absolutnego kłamstwa dawnych historyków. Należy również podziwiać niezwykłą zręczność niektórych współpracowników 9-go tomu. Powstaje pytanie, dla kogo 9-y tom jest przeznaczony? Ze sposobu jego napisania wygląda, że dla tych tylko, którzy już wiedzą sporo o tym okresie. Należałoby wymienić w nim więcej nazwisk; nie koniecznie wszystkich, którzy zostali zrehabilitowani, ale większą ilość.

Nie ma historii, jeśli nie mówi się prawdy. W wielu pracach o latach trzydziestych pochlebstwa są pomieszane z kłamstwami i to nazywało się historią. Należy w tomie 9-ym ujawnić sztuczne przeszkody stawiane w owym okresie postępowi; rola Kaganowicza powinna zostać wyjaśniona. Rok 1930 był najcięższym rokiem dla naszego rolnictwa. Należy wskazać w 9-ym tomie trudności, jakie Stalin osobiście stwarzał przy kolektywizacji, i wyjaśnić, dlaczego, pomimo tych trudności, kolektywizacja posuwała się naprzód. Na temat „kultu”: ile faktycznej opozycji było w owym czasie przeciwko Stalinowi? Prawdopodobnie nie było nikogo. Czy było konieczne rozstrzelanie Kamieniewa i Zinowiewa jako szpiegów? (Głos z audytorium: „Nie”). W 9-ym tomie należy ujawnić, kto podpisywał fałszywe dokumenty w procesach. Wie-

my wszyscy, że będą jeszcze dalsze wydania tego tomu. Problem naczelnego redaktora jest najważniejszy. Ale jakiś język dla powiedzenia prawdy znaleziony być musi. Należy rozwiązać psychologiczną zagadkę Stalina i odpowiedzieć na pytanie, co dał on krajowi? Stalinowskie prowokacje wśród różnych narodowości winny zostać omówione. Musi być pokazane, że w owym okresie nie było przeciwko Stalinowi opozycji; odpowiednie słowa dla przedstawienia tego muszą być znalezione. Jaką rolę odegrała walka przeciwko Trockiemu? Czy była ona nonsensem? Jeśli w obozach koncentracyjnych było tylko 12 trockistów, czy z tego wynika że reszta, 80.000, była leninowcami? Historycy sowieccy wciąż powtarzają stalinowskie formułki o prawicy, lewicy, trockistach; bardziej sensowne sformułowania muszą być znalezione. Wszystko to bowiem jest tylko kalaniem naszego sztandaru w świecie; nic tak nie zaszkodziło reputacji socjalizmu, jak poczynania Stalina w latach trzydziestych.

Czy w 1938 konieczne było zlikwidowanie polskich rewolucjonistów? Czy nie było to niezwykle cenną pomocą dla Hitlera? Mam nadzieję, że rozumiecie o co mnie chodzi. Dlaczego podział Polski musi być pochwalony w tomie 9-ym? Co dał on dla obrony ZSSR? Należałoby sięgnąć do żywych jeszcze świadków. Jest to tom bardzo trudny do napisania i cieszę się, że nie ponoszę zań odpowiedzialności.

Przemówienie Snegowa zakończyło pierwszy dzień dyskusji i dominowało podczas dyskusji w dniu następnym. Ciekawsze przemówienia wówczas wygłosili:

Polikow. Książka zawiera wiele słabych części, szczególnie przy omawianiu okresu 1938-1941. Nie jest słuszne twierdzenie, że procesy z 1934-38 skierowane były tylko przeciwko opozycji. Procesy wojskowych nie były właściwie procesami i odbyły się w całkowitej tajemnicy. Trzeba to wyjaśnić. Przyzwyczailiśmy się do malowania wszystkiego na białe i czarne. Musimy się nauczyć bardziej skomplikowanych ocen. Snegow nie miał zupełnie racji w sprawie paktu z 1939 r. i podziału Polski. Akcja Stalina miała uzasadnienie, a mianowicie usunięcie uprzednio popełnionego zła; przywróciła nam części Polski i Białorusi.

Hessen. Jak wyjaśnić powstanie „kultu”? Tom głównie mówi o represjach, ale należy wskazać i inne źródła. Nic się nie mówi o sytuacji materialnej ludności; należałoby wykazać, co ludności przyniosła rewolucja społeczna. Nic nie ma o sowieckiej potęgze militarnej. Potrzebne są szczegóły o represjach w stosunku do wojskowych. Wiele już o tym pisano w wojskowych czasopismach. Jaki był wpływ represji na nasze przygotowanie wojenne? Większy, niż samo usunięcie głównych dowódców. Tuchaczewski przewidział dokładnie rozwój

drugiej wojny światowej, ale ponieważ był uznany za wroga ludu, wszystkie jego rozważania były odrzucone. Nic nie ma o tym, a powinniśmy o tym mówić. Gdzieś należy wyjaśnić w szczegółach wszystkie strony „kultu”. W jaki sposób Stalin i jego zausznicy: Kaganowicz, Malenkov i Mołotow, mogli osiągać swoje cele i zamierzenia?

Czaadajewa, stara bolszewiczka, przemawiała bardzo emocjonalnie. Jak, ja osobiście, wyjaśniam powstanie „kultu”? Czyśmy wierzyli Stalinowi? Tak. Uważaliśmy, że Stalin nie zdaje sobie sprawy z pewnych aspektów represji. Teraz musimy o tym mówić. Pomiędzy Leninem a Stalinem było ogromne przeciwieństwo. Lenin był wielkim humanistą; to nas ku niemu pociągało. Nawet opozycja mienszewicka nie mogła go nie lubić. Władimir Iljicz umiał przyznawać się do błędów: otwarcie przyznawał, że bolszewicy popełniają wiele głupich błędów, ale je usprawiedliwiał tym, że było to pierwsze doświadczenie w sprawowaniu władzy i dokonywaniu społecznej rewolucji. Ludzie słuchali, wierzyli i szli za nim. Lenin słuchał i uczył się od opozycji. Przed śmiercią Lenin nie zdolał wyznaczyć spadkobiercy. Swierdłow odszedł; do Sierdłowa Lenin ustosunkowywał się jak do syna. Obecnie nie miał nikogo. Toteż ostrzegał partię przed Stalinem i zalecał kierownictwo zbiorowe. (Następnie Czaadajewa przeszła do ostrego osobistego ataku na Stalina, który przerwał przewodniczący by mówiła o książce). Szczerze przyznaję, że nie wiem jak wytłumaczyć powstanie „kultu”. Wydaje się, że KC praktycznie przestał istnieć. Stalin był jedynym przywódcą. Tragedią było, że przy pobieraniu najważniejszych decyzji, dawna tradycja schodzenia do mas ludowych, przysłuchiwania się im i odwoływania się do nich, została zagubiona. Od końca 1929 r. Czeka panowała nad partią, zastraszala zebrania itd. Stalin otoczył się ludźmi, którzy go windowali w górę i ślepo oddawali mu całość władzy. To było błędem. Partia zawsze musi sprawować kontrolę nad wódzami.

Łopatow. Ten tom jest dużo lepszy, niż uprzednie opracowania tego okresu; krytyka jest bardziej realistyczna. Jednakże należy głębiej sięgać przy krytyce „kultu” i przeciwstawiać go leninizmowi. Nie można ograniczać się do stosowanej dotąd powierzchownej krytyki. To stało się już powszechnie znane. Trzeba szczegółowszego przedstawienia faktów i analizy skomplikowanej osobowości Stalina. Musimy dokonać tego, tak jak zrobiliśmy z Iwanem Groźnym i Piotrem Wielkim. Stalin gwałcił wszelkie przyjęte normy postępowania nie tylko w stosunku do krajów kapitalistycznych, ale i socjalistycznych. Należy mówić o błędach w tej dziedzinie, jak również o sprawie kolektywizacji. Zapłaciliśmy wysoką cenę za liczne błędy. Tak na przykład, wysoce wykwalifikowani i wyszkoleni ludzie szli na wieś, ale nie mogli tam zostać. Warunki

były zbyt straszne. Ludzie szli i uciekali. Należy to powiedzieć. Są liczne inne zniekształcenia rzeczywistości w tomie 9-ym, należy je możliwie usunąć.

Gusew. Struktura książki jest wadliwa, częste powtarzania się. Należałoby zająć się analizą struktury społeczeństwa sowieckiego w owym okresie. Kto właściwie był likwidowany? Jakie instytucje demokratyczne zostały wyeliminowane i jakie było tego znaczenie? Te sprawy winny być wyjaśnione dla zrozumienia ówczesnej rzeczywistości. Tom 9-y musi opisać rolę Stalina w ustanowieniu osobistej dyktatury i przetworzeniu instytucji i organizacji społecznych w stalinowskie marionetki. To należy wyjaśnić. Zresztą tom 9-y nie powinien się ograniczać do ujawniania tylko błędów; gospodarka uczyniła duże postępy i to powinno też zostać podkreślone.

Młody aspirant, nazwisko nie uchwycone. Należy szerzej i lepiej wyjaśnić powstanie „kultu”. Po XXII Zjeździe stało się jasne, że represje były świadomą polityką Stalina, a nie tylko przypadkiem. Należy ujawnić dane liczbowe. Liczba ofiar podawana dotąd waha się od setek do milionów. Istotne też jest wyjaśnienie dlaczego szereg osób nie zostało dotąd rehabilitowanych, pomimo zdyskredytowania w znacznym stopniu podstaw ich oskarżenia. W tomie 9-ym należy przerobić niektóre ważne kwestie z dziedziny polityki zagranicznej. Np. sprawa wojny z Finlandią. Trzeba wyjaśnić dlaczego armia rosyjska nie odnosiła sukcesów na początku wojny; przyczyniło się to przecież do przekonania Hitlera, że jest ona słaba.

Jakubowska, członek redakcji 9-go tomu. Wiele specyficznych kwestii nie zostało dotąd należycie przestudiowanych. To utrudniło przygotowanie ogólnego tekstu. Dopiero z chwilą początkowego potępienia „kultu”, można było naprawdę rozpocząć studia nad tym okresem. W okresie „kultu” mogliśmy o wszystkim pisać tylko jako o nadzwyczajnie dobrym lub złym, białym lub czarnym. Nic pośredniego. Wciąż też mamy tendencję do robienia tego. Ciągłe jesteśmy pod tym względem pod wpływem Stalina. Czyśmy zdołali kiedykolwiek dać jakąś wyważoną ocenę czyjejs osobowości z wykazaniem jej dobrych i złych cech? (*Audytorium godzi się, że nie*). A przecież nikt nie jest ani Bogiem, ani diabłem. To nie może trwać nadal. Nie możemy dzisiaj tak pisać. Musimy pisać tak, aby za lat 10 nie spalać się ze wstydu. Nie możemy też używać przy zwalczaniu „kultu” metod stalinowskich. Musimy być obiektywni. Partia nie byłaby utrzymywana Stalina, gdyby był zbrodniarzem i takim złym. O procesach powiedzieliśmy wszystko, co mogliśmy i powinniśmy byli obecnie powiedzieć. Nie były one tajne. Czerwiakow, Ordżonikidze i wielu innych popełniło samobójstwo.

Daniłow. Zagadnienia wysunięte przez Snegowa o półprawdach. Nie jest prawdą, że prawdziwa prawda była autorem znana, lecz jest przez nich ukrywana. Tom 9-y mówi o wielu rzeczach na podstawie uprzednio przeprowadzonych badań. Wiele zagadnień musi być przepracowanych głębiej zanim zagadnienie powstania „kultu” będzie mogło zostać wyjaśnione.

Werchin. Przedtem niż będziemy mogli udzielić jakiejś odpowiedzi na wiele podniesionych w tej dyskusji kwestii, musimy rozważyć zasadniczą kwestię roli jednostki w historii. Rola mas też wymaga zdefiniowania przed próbą udzielenia odpowiedzi. Jestem zdania, że siły społeczne są czynnikiem pierwszym. Zresztą powstanie „kultu” nie zmieniło socjalistycznego charakteru społeczeństwa sowieckiego i bynajmniej nie uczyniło niemożliwym społecznego postępu. Toteż zwycięstwo socjalizmu w ZSSR, a nie powstanie „kultu” powinno być podkreślone.

Na tej właśnie nucie została zakończona dyskusja historyków sowieckich nad przedstawieniem okresu stalinowskiego w *Historii ZSSR od najdawniejszych czasów*. Zamykając dyskusję przewodniczący akademik Kim, stwierdził, że była ona pożyteczna i wykazała, że „makieta” wymaga jeszcze przeróbek. Niektóre rozdziały winny być usunięte lub włączone do innych. Niektórzy z mówców jednak szli za daleko i wypowiadali zupełnie niedopuszczalne twierdzenia, jak np. wypowiedzi Snegowa w sprawie polityki zagranicznej. W niektórych wypadkach zagłębianie się zbyttnio w sprawy związane z „kultem”. Nie zgodził się też przewodniczący z twierdzeniem Snegowa, że autorzy w tomie 9-ym wypowiadali świadomie „półprawdy”: wiele spraw dotąd pozostaje nie całkowicie wyjaśnionych, i zarzut taki nie jest uzasadniony.

Wypowiadał się stanowczo za prawdą — zakończył Przewodniczący — i właśnie prawdą jest, że za Stalina i ze Stalinem zbudowaliśmy socjalizm. Jako historycy, musimy pisać o tym, co się rzeczywiście działo, a nie o tym, co mogło i powinno było się dziać. Zagadnienie „kultu” nie może nam przesłonić dokonanego istotnego postępu. Nie jest to bowiem monografia o „kulcie” czy związanych z nim represjach.

Aczkolwiek z tego zakończenia wynika, że ewentualna dalsza (czy ostateczna?) redakcja 9-go tomu sowieckiej *Historii* nie będzie zbyttnio odbiegała od dotychczasowego szablonu, sam fakt odbycia w Moskwie powyższej publicznej dyskusji i przeważające na niej wypowiedzi świadczą o daleko idących zmianach zachodzących w środowisku sowieckiej inteligencji. Jeśli tak pójdzie dalej, to klimat intelektualny Moskwy stanie się bardziej łagodny od warszawskiego, gdzie wzmagają się wciąż gomułkowskie przymrozki. A szkoda październikowej „polskiej wiosny”, czy raczej „babiego lata”.

W oczach Londynu (dok.)

Poza publikacjami w rozmiarach książkowych rok 1964 przyniósł, na wzór lat poprzednich, obfity plon w postaci artykułów i rozpraw ogłoszonych przez uczonych polskich (lub pochodzenia polskiego) w obcojęzycznych czasopismach fachowych i tzw. „proceedings” towarzystw naukowych. Część tego dorobku dotarła do Biblioteki Polskiej w Londynie w postaci odbitek nadsyłanych przez autorów lub informacji bibliograficznych z pierwszej ręki lub z kronik bibliograficznych w różnych wydawnictwach specjalnych. Oto orientacyjna lista objętych ewidencją bibliograficzną nazwisk: Jerzy Aleksandrowicz, Czesław Marian Bieżanko, Stanisław Bóbr-Tylingo, Adam Bromke, Zbigniew Brzeziński, Jan Krzysztof Danilewicz, Marian K. Dziewanowski, Andrzej Folkiński, Feliks Gross, Kazimierz Grzybowski, Oskar Halecki, Eugeniusz Hinterhoff, Alfred Holiński, Czesław M. Hoirain, Zofia Jakowska, Czesław Jeśman, Zbigniew Jordan, Zbigniew Kabat, Aleksander Kawałkowski, J. Kołosowski, Hilary Koprowski, Andrzej Korboński, Janusz Kolbuszewski, M. Kostowiecki, Marian Kukiel, Jerzy Langrod, Alfred Laskiewicz, Franciszek J. Łęcznar, Wacław Lednicki, Jerzy Lerski, Aleksandra Lichtarowicz-Kulczycka, Leon Litwiński, Zygmunt Stanisław Makowski, Jan Marczewski, Irena Modlibowska, Józef Rotblat, Stefan Ryżewski, Tadeusz Sulimirski, Bolesław Szczepniak, Wiktor Szyryński, Edmund Stefan Urbański, Wierczyśław Wagner, Piotr S. Wandycz, Wiktor Weintraub, Kazimierz Wodzicki, Jerzy Antoni Wojciechowski, Janusz Kazimierz Zawodny.

Lista powyższa jest, jak wspomniano już wyżej, niekompletna. Łączy się przeto z apelem o nadsyłanie uzupełnień. Świadomie nie przeprowadzono w niej podziału na seniorów o ustalonej oddawna pozycji, jak np. prof. J. Rotblat czy prof. A. Laskiewicz, — by lepiej uzmysłowić fakt, iż imponująco wysoki procent autorów prac naukowych należy do przedstawicieli młó-

dego i średniego pokolenia o studiach ukończonych w latach powojennych (np. Aleksandra Lichtarowicz-Kulczycka czy prof. J. K. Zawodny).

Zjawisko zilustrowane przykładami z r. 1964 nie jest bynajmniej ograniczone do tych właśnie ram chronologicznych. Dowodzi tego wymownie wydana przez Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie „Bibliography of works by Polish scholars and scientists published outside Poland in languages other than Polish” (opracowana przez Marię Danilewiczową i Jadwigę Nowakową), przynosząca opisy ponad 4000 prac naukowych ogłoszonych w latach 1939-62. Wynika z niej, iż działalność naukowa Polaków na Obczyźnie zamyka się niejako w trzech różnych rozdziałach: wojennym, w którym publikowanie prac naukowych natrafiało na swoiste trudności — i ułatwienia, latach chaosu powojennego i adaptacji do nowych warunków życia i pracy związanej z dodatkowymi przeszkodami w zakresie ogłaszania prac — i okresie rozpoczętym nie wcześniej, niż w latach 1955-7, w których ujawniać się zaczął niemal lawinowo wkład uczonych polskich do nauki światowej w skali bez precedensu i na poziomie przewyższającym najśmielsze oczekiwania. Kto wie, czy przyszłe oceny znaczenia i dorobku *naszej* Emigracji nie będą mierzyć się kiedyś rozmiarami naukowego ich dorobku? Zjawiskiem szczególnie zastanawiającym jest wysoki procent naukowych „self-made man’ów”, których życiorysy powtarzają schemat niezmiernie charakterystyczny: służba wojskowa na Zachodzie lub w A.K., samotne pokonywanie przeszkód językowych, stypendium angielskie czy amerykańskie, osiągnięcie wyników lepszych od większości kolegów z tego samego rocznika studiów, start od najniższych stopni kariery naukowej, — szybkie wybijanie się w górę i zdobycie trwałej pozycji naukowej. Inną bijącą w oczy cechą jest tendencja do bezpośredniego lub pośredniego nawiązywania do trudnego polskiego losu przez wybór kierunku studiów, idący po linii pewnych zainteresowań politycznych, socjologicznych, itp. — i szczególnie żywo dochodząca do głosu społeczna nuta kierunku studiów lekarskich (Koprowski, Rotblat, Szyryński i w.in.).

Osiągnięcia Polaków na odcinku sztuk plastycznych wymykają się z ram obecnego przeglądu. Niepodobna powstrzymać się jednak od wzmianki o cennych katalogach wystaw galerii sztuki, których właścicielami są Polacy (w Londynie Mateusz Grabowski, Halima Nałęcz).

Wielkim wydarzeniem artystycznym jest seria portretów wybitnych osobistości współczesnych wykonana ostatnio przez Feliksa Topolskiego. Wyzyskała je telewizja brytyjska z okazji serii głośnych wywiadów „Face to face” przeprowadzonych przez Johna Freemana. Wyjątki z nich ukazały się obecnie ze wstępem i w opracowaniu Hugh Burnett’a nakładem londyńskiej firmy Jonathan Cape we wspólnym wydawnictwie albumowym. Zdobia je wspomniane wyżej portrety Topolskiego.

Nowojorska firma The Bobbs-Merrill wydała książkę Tadeu-

sza A. Wittlina pt. „Modigliani — Prince of Montparnasse”, która jeszcze do Londynu nie dotarła.

„The great pianists” Harolda C. Schonberg’a (London, V. Gollancz, s. 448) uwzględnia, poza Chopinem, Paderewskiego, Artura Rubinsteina, Wandę Landowską i in.

Na oddzielną wzmiankę zasługuje tom wierszy Władysława (vel Geoffrey’a) Potockiego of Montalk, potomka powstańców osiedlonych na Nowej Zelandii i tamże urodzonego, znanego przedwojennej Warszawie z roli pretendenta do tronu polskiego (Władysława V). Osobliwości królewskiego życiorysu zbyć trzeba jednym krótkim zdaniem. Warto natomiast zatrzymać się dłużej przy poetyckiej jego działalności, której wyrazem jest wydany osobiście we własnej bibliofilskiej drukarni (The Mélissa Press, Lovelace’s Copse, Plush, Dorchester, Dorset) tom wierszy pt. „The whirling river”. Jego Królewska Mość odnosi się równie krytycznie do swych polskich i angielskich współbraci, czyni to jednak w sposób zaskakująco odważny i świeży. Przypomnieć warto, iż w archiwach królewskich kryje się doskonały przekład „Dziadów”; część II i IV wydano w Londynie w latach wojennych, — część trzecia czeka na wydawcę.

Polacy są bohaterami powieści Franka Tuohy’ego „The Ice Saints”, recenzowanej w „Kulturze” przez M. Czajkowską, „Le retour a 0” Catherine Devilliers (Paris, Julliard, s. 272) — akcja toczy się w okupowanej Polsce, — Alicji Poznańskiej-Parizeau „Survivre” (Ottawa, Le Cercle du Livre de France, s. 315), — A. Winifred Wilkinson „God in Hell” (London, Gollancz, s. 102). Na pograniczu pamiętników i utworów beletrystycznych umieścić należy: Janiny Dawidowicz „A square of sky. The recollections of a childhood” (London, Hutchinson, s. 221), książkę doskonale przyjętą przez krytykę angielską (wydaną pod skróconym nazwiskiem J. David); Marii Ginter: „Life in both hands” (London, Hodder and Stoughton, s. 253) w doskonałym przekładzie Krzysztofa Muszkowskiego; Mendla Manna „At the Gates of Moscow” (London, St. Martin’s Press), — angielski przekład francuskiej wersji powieści, której bohaterem jest polski Żyd w Armii Sowieckiej w r. 1941; Sali Pawłowicz: „I will survive” (London, Fred. Muller, s. 253) — relacja o przejściach wojennych polskiej Żydówki opracowana przy udziale Kevina Klose’a; angielski przekład „Le sang du Ciel” Piotra Rawicza oprac. przez Peter Wiles’a (London, Secker and Warburg, s. 316), Dawida Wdowińskiego „And we are not saved” (London, W. H. Allen) — książka dotycząca tragedii warszawskiego Ghetta. Oświećmia dotyczą wspomnienia R. Vrby i A. Bestic’a: „I cannot forgive” (London, Sidgwick and Jackson).

Sprawy polskie dochodziły często do głosu na kartach książek dotyczących szerzej ujętych zagadnień europejskich czy światowych. Na pierwszym miejscu wymienić tu należy potężną rozmiarami księgę Alexandra Werth’a „Russia at war, 1941-1945” (London, Barrie and Rockliff, s. XXVI, 1100, mapy, wykresy). Autor, który nie dał się dotąd poznać ze szczególnej dla Polaków

życzliwości, uległ sile faktów i w ocenie Katynia zdobył się na odwagę przeciwstawienia propagandzie sowieckiej a w rozdziale dotyczącym powstania warszawskiego na przychylne Polakom omówienie zachowania dowódców sowieckich drzemiących na przedpolach płonącego miasta. Książka zawiera setki wzmianek o Polsce — i już przez to samo, niejako mechanicznie, ukazuje wagę spraw polskich w ogólnym rozrachunku wojennym Sowietów.

Liczne polonica zawierają także: J. Waage'go „The Narvik Campaign” (London, G. Harrap, s. 221), przekład „Monte Cassino” Rudolfa Boehmler'a (London, Cassel, s. 314) i E. Florentin'a „Stalingrad en Normandie” (Paris, Presses de la Cité, s. 389, ilus.) oraz D. Roxan'a i K. Wanstall'a „The jackdaw of Linz. The story of Hitler's art thefts” (London, Cassel, s. 195, ilus.). Na szczególną uwagę zasługuje Arthura Conté'go „Yalta ou le partage du monde”, druk. we fragmentach w „Dzienniku Polskim” w grudniu 1964 w przekł. polskim.

Rolę Jana Sobieskiego pod Wiedniem omawia obszernie (i nie nazbyt dokładnie) John Stoye w „The siege of Vienna” (London, Collins, s. 349).

Z książek omawiających problemy związane z ustrojem komunistycznym obszerniejsze omówienia spraw polskich zawierają: A. Buzek'a: *How the Communist press works* (London, Pall Mall Press, s. 287); W. Jaksch'a: *Europe's road to Potsdam* (New York, Fred. A. Praeger, s. 486); praca zbiorowa pt. *The development of the U.S.S.R.* pod red. D.W. Treadgold'a (Univ. of Washington Press, s. 430), zawierająca rozdziały pióra prof. Zb. Brzezińskiego i prof. Oskara Haleckiego) oraz symposium pt. „Talking to Eastern Europe” (London, Eyre and Spottiswoode), przynoszące teksty wypowiedzi radiowych przed mikrofonem Radia Wolnej Europy (w tym Konstantego A. Jeleńskiego „Varieties of Disenchantment”). W Londynie ukazał się przedruk wydanej wcześniej w USA książki Pawła Monata „Spy in the U.S.” (Fred. Muller, s. 252).

Współczesną sytuację polityczną i gospodarczą Polski analizuje wydana w Nowym Yorku pod pseud. Jerzego Łozowskiego broszura pt. „Poland, 1964. A study in lost hopes” (wyd. American Friends of the Captive Nations, s. 16).

W serii znanych przewodników turystycznych firmy Nagel ukazał się tom poświęcony Polsce w wersji angielskiej pt. „Poland”. Opracowanie przynosi, jak twierdzą znawcy, b. optymistyczny obraz warunków podróży; opiera się na materiałach dostarczonych przez instytucje krajowe.

Po angielsku ukazał się reportaż o Polsce Ewy Fournier pt. „Poland” (Vista Books), wydany poprzednio w oryginalnej wersji francuskiej. Tom szkiców z podróży V.S. Pritchett'a pt. „Foreign faces” zawiera rozdział o Polsce oparty na wrażeniach naocznych autora z niedawnej jego bytności w Polsce.

Współczesną organizację szkolnictwa wyższego w Polsce oma-

wia rzeczowo S.M. Rosen i Nellie Apanasewicz w „Higher education in Poland” (Washington, Office of Education).

Zwięzły zarys dziejów harcerstwa w Polsce wydał pt. „Scouts of Poland” Zenon Buczewski (Kitimat, Brit. Columbia).

Na zakończenie kilka cennych publikacji z terenu Stanów Zjedn. i Kanady:

Polski Instytut Naukowy w Ameryce wydał b. starannie teksty poloników z przemówień i artykułów prez. Kennedy’ego w wydawnictwie pamiątkowym pod red. dyr. Jana Wszelakiego („John F. Kennedy and Poland. Selection of documents, 1948-1963”). Książkę otwiera przedmowa pióra brata Zmarłego Prezydenta, Roberta.

W serii „Legal sources and bibliography of Eastern Europe” wydawanej nakładem Free Europe Comm. w N. Yorku ukazał się tom dotyczący Polski w opracowaniu Piotra Siekanowicza. Przynosi on bibliograficzny zarys literatury z zakresu prawodawstwa polskiego od czasów najdawniejszych. Opracowany jest wzorowo.

„Slavica Canadiana A.D. 1963”, wyd. pod redakcją prof. Jarosława Rudnyc’kego, wyliczają m.in. polonica kanadyjskie w opracowaniu T.W. Krychowskiego, następcy ś.p. dra W. Turka.



Tak w ogólnych zarysach wygląda bibliograficzny rok polski 1964. Mimo nierównego poziomu wydawnictw i ogromnej rozpiętości tematów mówić można o roku raczej ciekawym i bogatym w wydarzenia. Niestety wysiłki wydawców emigracyjnych nie znajdują należytego poparcia ze strony nabywców. Dużą przeszkodą w rozpowszechnianiu książek emigracyjnych jest także zaostrożenie kontroli wwozu ich do Polski. Osiągnęło ono w ciągu ostatnich miesięcy rozmiary dorównujące najhulaniebniejszym rekordom z czasów stalinowskich.

(m. l. d.)

Komunikat

Dnia 28-go listopada 1964 roku odbył się jubileusz 10-lecia pracy artystyczno-społecznej na terenie Chicago, artystki dramatycznej przedwojennych scen polskich Wandy Zbierzowskiej-Frydrych, która w roku 1936 w Polsce, została odznaczona dyplomem Ministerstwa Kultury i Sztuki w konkursie Im. Stanisława Wyspiańskiego. Na uroczystość jubileuszową wystawiona została „Warszawianka” St. Wyspiańskiego, w której rolę Marii grała Jubilatka. Przedstawienie to, było dużym sukcesem artystycznym. Wanda Zbierzowska, po przyjeździe do Chicago w roku 1954, organizuje z młodego narybku Teatr „Studium Dramatyczne” w którym wystawia na wysokim poziomie, szereg sztuk z wartościowego polskiego repertuaru.

List do Jana Huszczy

Londyn, 20 marca 1965 r.

Drogi Panie!

Właściwie nie znamy się, ale wielokrotnie przeszliśmy blisko siebie. Pan pochodzi z Dżisny, a ja spod Woropajewa i w okolicach Dżisny bywałem odwiedzając swoich krewnych Jakowiczów. Obaj chodziliśmy po wileńskich ulicach, Pan będąc na Uniwersytecie Stefana Batorego, a ja w Gimnazjum OO. Jezuitów. Obaj oglądaliśmy step nad Irtyszem, Pan w Ramadanie, który był chyba najzamożniejszym *siełom* w *Bieskaragajskom rajonie*, a ja w centrum rejonu w Siemijarsku. Wspólnym naszym znajomym był Nestor M., jeden z pięciu braci o starożytnych imionach, których wspomina Pan w swojej książce. Wreszcie w 1946 r. poznałem w polskim liceum w Garelochhead za Glasgowem pańskiego kuzyna, którego podobno namawiał Pan do powrotu.

Kuzyn Pana skończył podchorążówkę artylerii w Szkocji, której komendantem był major Wojsk Polskich, Borys Godunow (zmarł tutaj parę lat temu). Podobno przed frontem baterii miała kiedyś miejsce taka wymiana zdań.

- *Jak się nazywacie?*
- *Elew Huszcza, panie majorze.*
- *A skont jestestie?*
- *Z Dżisny, panie majorze.*
- *Podobacie się mnie elew Guszcza.*

W owych odległych czasach uważałem Pana za czarną owcę, mówiąc z angielska.

Minęły długie lata, aż wreszcie zaglądnąłem w katalogu emigracyjnej biblioteki w Londynie pod Huszcza Jan. Dużo wier-

szy, które mnie, jako inżyniera elektroniki, zbyt nie interesują, ale może jeszcze kiedyś do nich zajrzę szukając dawnych śladów. I wreszcie „Z dalekich dróg” (Czytelnik 1957 r.). Coś dla mnie.

Przeczytałem jednym duszkiem obie części, Pana osobiste wspomnienia, jak również historię kaprała z Miciuków Ryskalczuka.

Zdobyl się Pan na bezstronne opisanie przedwojennych Kresów. Książd prefekt jest pozytywną jednostką. Na tych samych ławkach siedzą panicze z książęcych rodzin i synowie białoruskich parobków (któżby u nas mówił fornali?). Ziemiaństwo podupaśle, zgnębione podatkami. Policji granatowej prawie nie widać. Polacy, Białorusini, Żydzi, Rosjanie i Tatarzy żyją zgodnie.

A dalej opisuje Pan nie pozbawiony uroku step kazachstański, oazy nad Irtyszem, mróz, pożyczone pimy (walonki), cenne kawałki chleba, Walentyny obarczone dziećmi na jakiejś zagubionej owczej fermie i dużo czasu na rozmyślanie nad przyszłością.

Partyjny Kazach kiedyś mi klarował: — *Twoja smatri, manau Irtisz pływiot tut storonu, kak Irtisz pływiot obratnyj storonu Bolsza budiet i twoja domoj barasen.*

Akien auzen sygein — przekląłem po cichu.

Pan to wszystko zrozumie ale innym trzeba wyjaśnić. Otóż Kazach powiedział: — spójrz, teraz Irtysz płynie w tym kierunku, a jak popłynie w przeciwnym kierunku to Polska będzie i ty do domu pojedziesz. Przekleństwa nie będę wyjaśniał, niech ono zostanie między nami.

Opisuje Pan jak biedny Ryskalczuk omalże nie zamarł w wigilię Bożego Narodzenia 1941 r. jadąc bykami z Nikołajewki do Ramadanu. Nie wiem dlaczego tę potworną zamieć nazywa Pan *boran*, moim zdaniem powinno się pisać *buran* (Rosjanie wymawiają to jako *burian*). Kilka miesięcy przedtem jechałem tą samą drogą, ale w przeciwnym kierunku. Prawie 24 lata temu, a widzę jak dziś. Sierko rozpędzony plecionym knutem do ostrego kłusa i bąki krążące nad nim, lekki *chodok*, trzech pasażerów, *zawiedujuszczaja Rajzdrawa* Fadina, o której mój zwierzchnik, felczer Nikołaj Siemionowicz Dołguszew, mówił *choť ona komsomolka, niet s niej balszowo tołka*, kierowniczką szpitala w Burasie ryża dr. Iwanowa i ja.

Wyruszyliśmy z Burasu. Poziom stepu podnosił się nieco i jak się popatrzyło do tyłu z odległości paru kilometrów, widać było lśniące kopuły cerkwi, nawet jeszcze z krzyżami, panujące nad Burasem. W odległości kilkunastu kilometrów był już Ramadan. Pamiętam piaszczysty plac a na nim drewnianą cerkiewkę podobną do cerkiewek na Wileńszczyźnie.

Dalej kawałek stepu, a potem las. To w tym lesie łapał Pan swego byka Miskę. Szkoda, że spolszczył Pan jego imię. Michaś i Miska niby to samo, a jednak zupełnie inne mają skojarzenia. W lesie droga stawiała się piaszczysta i Sierko zwalniał. Wreszcie sieło Nikołajewka, o której mówiono *nad kołchozom sierp i młot, a w kołchozie śmierć i głód* (tamtejszy kołchoz nazywał się Sierp i Młot). Znowu las, ma Pan rację, brzydkie były te kazachstańskie lasy, angielskie inne są, ale też brzydkie, jedyne ładne lasy, pachnące, podobne do naszych wileńskich, widziałem w Alpach. Dalej duży kawałek stepu i wreszcie Baszkul, cel naszej podróży na ten dzień.

Biedny Sierko, nigdy go tak chyba nie rozgrzałem jak w czasie tej trasy. Zwyczajem kazachstańskim uwiązałem go głową do góry przy paliku na dziedzińcu Baszkulskiego ambulatorium i stał tak, aż płaty piany opadły i wysechł na wietrze. Dopiero wówczas napoiłem go i dałem siana. Polski koń takiej kuracji by nie przeżył, a w Kazachstanie była to normalna procedura bez względu na porę roku.

Sierko i ja żyliśmy na ogół w większej przyjaźni niż Pan i Miska. Na stepie Sierko dawał się łapać bez większych trudności, ale zasady gry musiały być zachowane. Wymagał, żeby go łapać nie za grzywę, a za ogon. Wyglądało to tak, że najpierw zaczynaliśmy krążyć. Chyba po prostu z lenistwa Sierko coraz to zwalniał i odległość między nami malała. Kiedy już byłem tak blisko, że mógłby mnie prawie dostać gdyby kopnął, robiłem pary szybkich susów i już cap za ładny, czarny ogon. Sierko natychmiast stawał. Nawiasem mówiąc koń nie kopie jak się go trzyma za ogon. Od ogona do grzywy już nie daleko. Uzda na łeb, przerzucić wodze, jedną ręką za grzywę, hop. Prawie tak samo jak „Bez strzemion na k-o-ń” na ujeżdżalni siódmeego szwadronu pionierów na Antokolu, gdzie chodziłem na konne P.W.

Jadąc wówczas z Burasu do Baszkulu, między Ramadanem a pierwszym lasem musiałem widzieć po prawej stronie tę owczą fermę, na której odratowany Ryskalczuk poznał Walentynę Jasińską bo przecież widoczność w letni upalny dzień, z powietrzem drgającym na horyzoncie, była dobra, jakieś kilka kilometrów, ale *jej Bohu* nie pamiętam, może siedziałem *na chodkie* w przeciwną stronę, twarzą na Zachód...

Muszę Panu opowiedzieć co się stało następnego dnia. Jeszcze przed wschodem słońca wyruszyliśmy w tym samym składzie (Fadina, dr Iwanowa i ja) z Baszkulu przez Siemionówkę, gdzie była śmietanka dziśnieńskiego ziemiaństwa, do Siemijarska, jakieś chyba 100 kilometrów. Piękny był letni wschód słońca w Kazachstanie, chyba nawet ładniejszy niż u nas na Wileńszczyź-

nie. Jak na syberyjskiego konia przystało, Sierko zaczynał opornie, kręcił się, próbował zejść z drogi, stale powracał do stępa. Kilka batów pomogło (naszych wileńskich koni nigdy tak się nie biło), już po paru kilometrach przeszedł w równy kłus. Raptem spłoszył się, skoczył w bok, coś leżało na drodze. Podjechaliśmy bliżej, nie do wiary, worek pszenicy. Wyobraża Pan sobie, znaleźć w Kazachstanie cały worek pszenicy, chyba jakieś pięć pudów! Wspólnym wysiłkiem wtaszczyliśmy ten skarb na chodok, przykryliśmy czym się dało i jazda dalej.

Kilka kilometrów dalej dogoniliśmy długą kolumnę wozów, które nazywano *arba*, ciągnionych przez woły. Akurat taka kolumna jak Pan opisuje. Kazachi, po jednym na dwa wozy, jeszcze spali, a woły ciągnęły noga za nogą. Szybko wymijaliśmy kolumnę. Na każdym wozie leżały trzy worki pszenicy, ale na jednym tylko dwa. Moje pasażerki nic i ja nic. Pod wieczór byliśmy w Siemijarsku. Worek podzieliliśmy na trzy równe części. Trzeba było pożyczyć żarna u sąsiada Kazacha, ale nim żarna... Czy Pan pamięta smak przeżuwanej surowej pszenicy? Fantastyczne, żadna *chewing-gum* tego nie zastąpiłaby.

Przepraszam, pomyliłem się, to nie było następnego dnia, a kilka dni później, bo pojechaliśmy najpierw przez Kara-Kuduk do Sosnowki w samym rogu rejonu i stamtąd dopiero wracaliśmy przez Baszkul do Siemijarska. Sosnowskim ambulatorium zarządzała samotna, kulturalna pani, która kiedyś, jako stara komunistka spełniała podobno funkcje lekarskie na Kremlu. W domu, po cichu krytykowali z mężem jakieś posunięcia kremłowskie. Zostali zadenuncjonowani przez syna. Mąż poszedł do *isprawitielno-trudowych łagierej*, ona do zapadłej Sosnowki, a patriotyczny synalek robił karierę w Moskwie.

Wspomina Pan Dżołbaszchi. Pamiętam ten ponury auł między Siemionówką i Ramadanem, z każdej izbuszki ziało głodem. Podobno w Dżołbaszchi jakaś policjantowa żyła na wiarę z Kazachem. Kto wie, może to był jedyny sposób zachowania przy życiu małych dzieci.

Pisze Pan o poruczniku Ragini. Nie nazywał się on Ragini — „co brzmi prawie tak samo dumnie jak Mussolini” — jak Pan pisze, a po prostu nasz białoruski Raginia. Przed wojną był kierownikiem szkoły powszechnej gdzieś w postawskim powiecie. Jego żona z synami była w Griaczach, czy Czeromuszce, już nie pamiętam. Porucznik Raginia, jadąc z Buzułuku na placówkę polską w Siemipałatinsku, przejeżdżał przez Siemijarsk. Był uroczysty i pozwalał rozegzaltowanym paniom całować guziki z orzełkami przy swoim mundurze. W Ramadanie, jak Pan pisze, trzymał się na dystans i coś mówił o „nawet społecznie najpod-

lejszych rodakach". Widocznie dotarła do niego popularna opinia, że ramadańscy Polacy nie są pewni.

Resztę wojny spędził Raginia z dziećmi i kobietami w Afryce. Teraz już nie żyje, Panie świeć nad jego duszą.

Wydaje mi się, że nie powinniśmy się wyrzekać swoich rodaków i dajmy na to podrzucać ich Włochom, chociażby nawet można było zastosować do nich stare białoruskie przysłowie *Nie daj Boh świni roh a muzyku państwa*.

Widać, że do żadnego wojska, poza berlingowskim, nie ma Pan przekonania. W jednym miejscu opisał Pan niemiłe spotkanie na ulicy Ramadanu z por. Raginią, w innym karykaturalne przyjęcie pańskiego kaprała Ryskalczuka w koszarach batalionu K.O.P.'u Łużki (nie wiem dlaczego pisze Pan Płużki) w czasie mobilizacji 1939 r. A u Berlinga tak kulturalnie i tolerancyjnie i śmiecia nie każą zamiatać szczoteczka do zębów. Wydaje mi się, że i jedno i drugie przesada, element ludzki był podobny i tu i tam, więc i stosunki w życiu codziennym też musiały być podobne. A z tą szczoteczka to już taki wyświechtany kawał. Nawiasem mówiąc ostatni dowódca batalionu Łużki, którego żona była *sczitowodom* (rachmistrzem) w szpitalu siemijarskim, ppłk. Benrot, walczył we Włoszech i zmarł niedawno tu w Londynie.

Ojciec mój, który był więziony chyba razem z Pana ojcem w pobazyliańskim klasztorze w Berezwechu, przechowywał papiery rodowe w kuferku na strychu. Ja, wierny tradycji, na strychu naszego londyńskiego domu trzymam w drewnianej skrzynce (*sunduk* — pamięta Pan takie słowo?) różne wojenne pamiątki, a między innymi powołanie na komisję poborową w Siemijarsku. Czytam.

POWIESTKA!

Wojenno/obiazannyj tow. Siemaszko Zbigniew Antonowicz.

Miasto raboty — Bolnica.

Pri jawkie k 8 czasow utra 6.II.1942 goda w Siemijarskom sielisko konie biez opozdanija ukazanowo sroka imiet' pri siebie: 1) Wojennyj bi-let. 2) Pasport. 3) Pitanijsz produktow na 10 sutok. 4) Wieszczewoj mieszk. 5) Łożku, krużku. 6) Odietyj byt' w tiopłuju odiożdu. 7) Zapas 2 par bielja. 8) S miasta raboty pońnyj rasczot. Jawka biez opozdanija ukazanowo sroka.

Nacz. WUS

Był to standartowy blankiet powołania do Czerwonej Armii, które setkami wypisywała odręcznie pani Nata, młoda mężatka z domu Korsakówna z Dziśnieńszczyzny, zaangażowana jako woźna

(*uborszczyca*) w siemijarskim *sielsowietie*. Ma się rozumieć my wojennych biletów nie posiadaliśmy.

Tak się kończył przystanek, który nazywał się Siemijarsk.

Jak to się stało, że Pan wówczas w lutym 1942 r. nie wyjechał do Ługowoj? Może w osobie pańskiego bohatera Ryskalczuka chorował Pan w tym czasie na zapalenie płuc. A może komisja poborowa odmówiła Pana od służby w kapitalistycznym wojsku.

Skład tej komisji był taki sam jak i przy poborze do Czerwonej Armii, naczelnik N.K.W.D., *wojenkom* (odpowiednik komendanta Powiatowej Komisji Uzupełnień) major Ostachow i dr Głodzik żona kapitana lekarza batalionu K.O.P.'u Łużki, a wówczas zarządzająca szpitalem w Siemijarsku. Przedstawiciela polskich władz nie było. Dr Głodzik urzędowała w osobnym pokoju i jedynie badała stan zdrowotny poborowych.

Z opowiadania tych, którzy pierwsi przeszli przez komisję wynikało, że naczelnik N.K.W.D. wywiera presję na pewne kategorie poborowych za pozostaniem.

Chociaż moje dane były skrajnie reakcyjne, Polak, rzymski katolik, *socjalnoje proischożdienije* — *pomieszczik*, to jednak obleciał mnie strach. Ktokolwiek studiował historię W.K.P.(b) znał nazwisko Siemaszko, bo tak się nazywał, o ile mnie pamięć nie myli, skarbnik partii w okresie rozłamu na bolszewików i mienszewików w Londynie, który dołączył do bolszewików i przyniósł ze sobą kasę. Kiedy naczelnik N.K.W.D., wypełniając formularz poborowy, dojechał do pytania narodowość, to usłyszawszy moją odpowiedź — Polak, już nie napisał tego, podniósł głowę i wyglądało, że za chwilę zacznie mówić. W tym czasie major Ostachow, który znał mnie jako dezynfektora garderoby powołanych do Czerwonej Armii powiedział: — *Da, czistokrownyj Polak*. W ten sposób indagacje zostały wyeliminowane i majora Ostachowa wspominam mile po dzień dzisiejszy.

Z całego przebiegu komisji poborowej dla byłych polskich obywateli, jak to się wówczas mówiło, wynikało, że religia miała wpływ decydujący i chociaż nie była przedtem notowana w oficjalnej ewidencji, naczelnik N.K.W.D. był świetnie zorientowany, kto jest jakiego wyznania. W pierwszym rzędzie wywierano presję na Żydów, obojętnie, czy uprzednio rejestrowali się jako narodowości żydowskiej, polskiej, czy białoruskiej, decydowała religia. Przyjęto tylko jednego Żyda, który był przechrztą. Odmawiano prawosławnych, odmawiano tych, którzy pochodzili z mieszanych małżeństw polsko-rosyjskich, jak również tych, którzy zajęli pozytywną postawę w stosunku do komunizmu, czy to jeszcze na Kresach, czy to już w Kazachstanie. Nie przypominam sobie, żeby robiono trudności katolikom, którzy uprzednio

podawali się za Białorusinów. Trzeba przyznać, że podział religijny najlepiej chyba odzwierciedlał kresowe stosunki. *Nekawede* (tak się mówiło w Kazachstanie) zatrzymało Jurka S. z Sosnowki, przeciwko któremu prowadzono w tym czasie dochodzenie w sprawie zgubionego byka, który był pod jego opieką. Jedyne sprawę kilku osób stawiał naczelnik N.K.W.D. kategorycznie, w innych wypadkach była to większa lub mniejsza presja. Dzięki temu przeszedł *russkij Polak* Nestor M., jak również prawosławny i z matki Rosjanki Kroško, chociaż jego starszy brat został i pewno był potem u Berlinga.

Ale po co o tym wszystkim piszę przecież z pewnością pamięta Pan te sprawy dobrze i przypomina Pan chyba, że tych, których komisja zakwalifikowała nie odesłano z miejsca, jak to było w zwyczaju z powołanymi do Czerwonej Armii, ale, z powodu bardzo silnych mrozów i braku transportu, rozpuszczono do domów. Powołano nas powtórnie w jakiś czas później i wreszcie odprawiono z Siemijarska 25 lutego 1942 r. Nasza podróż do Pawłodaru (jakieś 250 km) wyglądała zupełnie tak samo jak pańskiego Ryskalczuka w grudniu 1943 r. Niekończący się zamrznięty step i kolumna sań ciągnionych częściowo przez pokryte szronem konie, a częściowo przez porykujące i śliniące się wielbłądy. Podróż trwa trzy dni. Z Siemijarska wyjechało nas chyba 50-60.

Dopiero w Pawłodarze spotkaliśmy przedstawiciela polskich władz. Był nim przysłany z Anglii sympatyczny rotmistrz Likindorf.

Szkoda, że nie mógł Pan napisać więcej o losach tych, którzy w lutym 1942 r. wyjechali z Siemijarska i innych rejonów rozległego Kazachstanu do 10 dywizji w Ługowej, a potem dalej w świat. Postaram się ten brak chociaż częściowo uzupełnić kilku przykładami.

Po przyjeździe do Palestyny w maju 1942 r. zaczęły grać ambicje oddziałowe. Porucznik Baran, który objął dowództwo batalionu w 28 pułku piechoty zorganizowanym w Ługowej (przy ściślejszej weryfikacji okazało się, że poprzedni dowódca, kapitan, był de facto tylko sierżantem) mówił do tego batalionu tak:

— Opowiadają nam co to Tobruk, Narwik i lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii, a my pokażemy co to Syberia, co to Kazachstan.

Nawet nie przypuszczał chyba jak szybko sprawdzą się jego słowa. Byli łągiernicy i chłopcy z Kazachstanu walczyli nie tylko we Włoszech, jak plutonowy Ichniewicz, którego Pan wspomina, lub jak bracia podporucznicy Łoziczonek, synowie chłopca z Mosarza (obaj pochowani we Włoszech). Nawiasem

mówiąc we Włoszech poległo aż trzech Siemaszków, wszyscy z Kresów, Borys Ż. z Prużany, był wywieziony do *siewierokazachstańskiej obłasti* i już pod koniec 1942 r. konwojował transporty zaopatrzenia do Murmańska, będąc radiotą na polskim kontrtorpedowcu „Garland” i znowu stanął na sowieckiej ziemi, ale już nie w fufajce i nie w *czeteze* (chyba pamięta Pan oba znaczenia tego skrótu). Jurek Jakowicki z Jelna, którego Pan chyba znał w *dolońskiej M.T.S.*, latał jako strzelec ogonowy i zginął później w wypadku motocyklowym.

Na jednym z wielu kursów spadochronowych zginął Piotr Romanowski ze wsi Dzierkowszczyzna pod Głębokim. Piotr został powołany do R.K.K.A. (rocznik 1918), ale wkrótce trafił do więzienia, bo jakaś tajna organizacja, do której należał w swojej wiosce, wpadła. Zwolniono go jednak w ramach tak zwanej amnestii (chyba trudno było wymyśleć bardziej obelżywe określenie), znalazł się w 7 dywizji piechoty i przeżył straszne Kermine, gdzie żołnierze marli na tyfus i czerwonkę jak muchy. Ale miesiące jego były policzone. Przy którymś z rzędu skoku spadochronowym na lotnisku Ringway pod Manchester wylądował w zabagnionym stawie i utonął.

Pogrzeb miał uroczysty, jego pluton jako honorowy i mieszana grupa oficerów alianckich, Polacy, Anglicy, paru Francuzów, jakiś Norweg. Najpierw trumnę nieśli najbliżsi koledzy, między innymi ja, a potem oficerowie, a wśród nich por. inż. Piotr T. wywodzący się z Brygady Karpackiej, który przywiózł nas z Iraku do Szkocji. Po odprawieniu modłów i spuszczeniu trumny do gliniastego dołu (tu nie ma takich piaszczystych cmentarzy jak u nas na Wileńszczyźnie) porucznik T. pierwszy rzucił grudki ziemi, ale nim rzucił, długo stał wyprężony salutując.

Tego fatalnego dnia, 7 lipca 43 r., Piotr miał na sobie mój pasek który nosiłem jeszcze w domu. Pasek ten poszedł z nim razem do trumny. To zamiast grudki ziemi wileńskiej.

Teraz na cmentarzu w Manchester stoi zbiorowy pomnik polskich żołnierzy, przeważnie tych, którzy zginęli w czasie treningu spadochronowego. Na pomniku widnieje Piotr Romanowski, jak również Eugeniusz Siemaszko z Prużany, który był w Kazachstanie i w Ługowoj.

Miedzy tymi, którzy skakali pod Arnhem na ziemię ziejącą ogniem niemieckim większość stanowili ci, którzy jeszcze nie tak dawno oglądali piękne niebo kazachstańskie. Nie brakło ich też w najbardziej zaawansowanej technicznie Pierwszej Dywizji Pancernej. Pana kuzyn może być jednym z wielu przykładów.

Wojna się skończyła. Ci, którzy przeszli przez Kazachstan nie mogli wracać do swoich rodzinnych stron.

Latem 1947 r. wysłano mnie na kilka dni do portu Gree-

nock w Szkocji, żeby dopomóc w przygotowaniu transportu do Argentyny. Siedziałem przy stole i wypełniałem jakieś formularze. Kandydaci podchodzili jeden po drugim. Większość z nich nosiła odznaki oddziałów 2 Korpusu, żubr 5 Dywizji Kresowej, jodełka 3 Dywizji Karpackiej, ramię pancerne 2 Dywizji Pancernej, syrena oddziałów korpusnych, proporzycy pułków kawalerii karpackiego, krechowieckiego, podolskiego. Niektórzy mieli Krzyże Walecznych, wielu krzyże Monte Cassino, gwiazdki za rany, a nawet parę Virtuti Militari. Często powtarzały się nazwiska o kresowym brzmieniu, a miejscowości urodzin leżały przeważnie za Bugiem.

Z kolei podszedł ospowaty sierżant.

— Nazwisko. Imię. Rok urodzenia — pytałem znudzonym głosem. — Miejsce urodzenia?

— ...Kozłowszczyzna.

— Koło Słonima, czy koło Postaw — zapytałem z większym zainteresowaniem.

— Koło Postaw.

— To my się chyba znamy, ja się nazywam Siemaszko.

— Owszem, znałem pańskiego ojca — odpowiedział powściągliwie.

Zadałem jeszcze jakieś pytanie próbując nawiązać rozmowę, ale bez skutku, robił wyraźne uniki. Zrezygnowałem, ale ta ospowata twarz nie dawała mi spokoju.

Dopiero kiedy położyłem się spać wszystko mi się przypomniało. W jesieni 1939 r. poszedłem w jakieś sprawie na milicję, może chodziło o przydzielenie lepszej krowy, a może o Cyganów, którzy zajęli większość naszego domu, już nie pamiętam. Milicja mieściła się w budynku gminy, w którym jeszcze tak niedawno, na paradnym miejscu, wisiał portret mego ojca.

Teraz na przeciwko mnie siedział ospowaty milicjant z czerwoną opaską na ramieniu. Rozmowa toczyła się po białorusku, z czym nie miałem wówczas żadnych trudności.

— Ojciec twój był kapitalistą, żył z pracy ludu, za ten sam fakt należy mu się kara. Mam nadzieję, że sprawiedliwość sowiecka weźmie pod uwagę to, że był on dobrym człowiekiem i wymiar kary będzie łagodny. A z tobą to jest zupełnie inna sprawa. Parobcy musieli ciężko pracować, żebyś ty mógł się uczyć w Wilnie. W ciebie został włożony ludowy kapitał, który nie może być zmarnowany. Jak tylko sowiecka władza ustabilizuje się tacy jak ty zostaną wysłani do Mińska, a może nawet do Moskwy na dalszą naukę, ale już prawdziwą sowiecką.

Jasne, że z takimi poglądami nie mógł długo przetrwać w milicji. Przeszedł ciężką szkołę, wyleczono go ze złudzeń. A te-

raz chyba się mnie wstydził i dlatego unikał. Niech mu Argentyna lekką będzie.

W Argentynie czy w Anglii, bez swoich kobiet, trudno było przejść od wielkich spraw do szarego, codziennego życia, a tylko nieliczni mieli swoje Walentyny i Pelagie w Afryce czy Indiach i spotkali się z nimi po wojnie.

Niektórzy załamali się psychicznie i zaludnili szpitale dla nerwowo chorych. Ci spośród nich, którzy trafili do polskiego szpitala w Mabledon, gdzie jednym z lekarzy była córka wielkiego Marszałka (też nasz rodak, w listach z Syberii ojca swego nazywa *baćka* — coś za miłe słowo) byli o tyle w lepszej pozycji, że przynajmniej rozumiano ich problemy.

Inni, na szczęście nieliczni, poszli śladami zdemobilizowanego Ryskalczuka. Ponieważ w Anglii spekulacja dawała ograniczone możliwości przerzucili się oni na drobną kradzież. Przy stojniak Sopoćko z Mołodeczna, który jakiś czas temu budował kolej Akmolinsk-Kartały i tam, jak większość z nas, pobierał podstawowe wiadomości z dziedziny podkradania, przesiedział parę lat w angielskim więzieniu. Jeżeli pański Ryskalczuk zaledwie po dwóch latach wojska i w środowisku, w którym mógł się porozumieć swoim językiem miał trudności z osiedleniem się, to chyba Pan się nie dziwi, że Sopoćko po pięciu latach wojska i w zupełnie obcym kraju miał też pewne trudności.

Ciekawie opisuje Pan powojenne perypetie naszych ludzi przy osiedlaniu się w Prusach Wschodnich. Odżywcza siła swojego otoczenia, ziemi i pracy na roli występują prawie tak silnie jak u Rodziewiczówny, a kresowe rodaczki wyprostowują życie Ryskalczuka. Ale niezawsze chyba to osiedlanie się szło tak gładko jak w wypadku pańskich bohaterów. Czy czytał Pan książkę mego kuzyna Jurka Koźlińskiego. „Podziemie na Pomorzu w latach 1945-47” (Wyd. Morskie, Gdynia, 1959)?

Wdzięczny jestem Panu za opisanie przeżyć tych prostych kresowych ludzi bez wdawania się w wielką filozofię, która tylko zepsułaby obraz.

A jednak zagładną chyba do wierszy, może tam jeszcze coś ciekawego znajdzie.

Załączam serdeczne pozdrowienia

Z.S. SIEMASZKO

Współczesna myśl polityczna

Ideologie i ich rola społeczna i polityczna dopiero od niedawna stały się przedmiotem systematycznych badań naukowych. Wydana w zeszłym roku antologia współczesnej myśli politycznej, zredagowana i opracowana przez dr Władysława J. Stankiewicza, profesora nauk politycznych na Uniwersytecie Brytyjskiej Kolumbii, pod tytułem „Myśl polityczna po drugiej wojnie światowej”¹, mogłaby z powodzeniem nosić tytuł „Współczesne ideologie w oświeceniu krytycznym”. To charakterystyczne skoncentrowanie się właśnie na ideologiach nie jest przypadkowe, wyraża bowiem zarówno osobiste zainteresowania redaktora tomu, jak i głębokie przekonanie, że zbyt mało poświęcano dotychczas uwagi tej właśnie dziedzinie myśli politycznej. Powód dla którego nauki polityczne wołały na ogół pomijać ten aspekt leży w dużej mierze we współczesnym stanie tych nauk. Zwracano już niejednokrotnie uwagę, że zalew behawioryzmu, „małoproblemowość”, niechęć do wartościowania i w ogóle do zajmowania się wartościami, prowadzi do utraty zainteresowania kwestiami ideologicznymi i do zaniku dociekliwości filozoficznej, do czego dochodzi jeszcze uleganie magii cyfr i opancerzanie się w nieznośny, pseudo-ściśły żargon.

Na szczęście ta nowa moda na naukowość „wyższego typu”, imitująca metody jak najbardziej owocne w innej dziedzinie badań, ale niekoniecznie uściślające (a jeśli nawet tak, to za jaką cenę) dziedzinę nauk społecznych i humanistycznych, chociaż zyskała sobie licznych zwolenników, nie zdobyła i zapewne nie zdobędzie pełnego monopolu, czego wybitnym dowodem jest omawiana antologia.

Nie jest to zresztą jedyny tytuł do oryginalności antologii Stankiewicza. Wbrew dotychczasowej praktyce, nie zawiera ona dokumentów myśli politycznej, wyjątków z programów partyjnych, fragmentów wyznań wiary czy uryków traktatów filozoficznych. Nie znajdziemy tu, jak to gdzie indziej, Milla, Hegla, Lenina, Kołakowskiego, Mao-Tse-Tunga, Leona XIII czy Maritaina. To znaczy — nie znajdziemy ich wypowiedzi, chociaż są oni, i nie tylko oni, ciągle obecni, gdyż mowa jest o ich ideach w ramach omawianych ideologii.

Zamiast więc antologii-dokumentów otrzymujemy wybór esejów krytycznych i interpretacyjnych, pisanych niekoniecznie przez najwybitniejszych przedstawicieli czy to danych prądów

1. *Political Thought Since World War II — Critical and Interpretive Essays*, edited by W.J. Stankiewicz; The Free Press of Glencoe & Collier-Macmillan, 1964, XVIII: 462.

ideologicznych, czy akademickiego świata nauk politycznych, ale dobranych pod względem rzeczowym. Stąd obok poważ uznanych, a nawet już z lekka zapomnianych, znajdujemy eseje stosunkowo młodych naukowców, którym udało się zwięźle, głęboko i krytycznie ująć jakiś podstawowy kierunek współczesnej myśli politycznej. Nie odbiera to książce wartości dokumentacyjnej — każdy z esejów oparty jest o bogatą bibliografię i jeżeli zawiera ujęcie krytyczne, łączy je z wszechstronną analizą danego kierunku. Uzyskujemy więc niezwykle zajmujący i pobudzający obraz zachodniej myśli politycznej skierowanej na samą siebie i na zjawiska ideologiczne w reszcie świata; myśli starającej się dotrzeć do filozoficznych podstaw poszczególnych kierunków, często więc pogłębiającej, a równocześnie wyczułonej na aktualia. To więc, że eseje te w wielu wypadkach pisane są nie przez wyznawców poszczególnych prądów, ale ich krytycznych obserwatorów, stanowi dodatkową ich wartość.

Dwa jeszcze kryteria odegrały rolę przy doborze i układzie antologii. Autorowi chodziło o pokazanie współczesnej debaty na temat tych prądów ideologicznych, które okazały swą żywotność, uzyskując poszerzenie, pogłębienie lub twórczą reinterpretację. Takie stanowisko wyklucza więc zajęcie się faszyzmem, który jak się zdaje nie znalazł dla siebie żadnych nowych wcieleń, chociaż być może za wcześniej byłoby odrzucać możliwość jego odrodzenia się w przyszłości (można by zaryzykować twierdzenie, że co najmniej potencjalnie istnieje on zarówno w Afryce jak i w Ameryce Południowej). Po drugie, autora zainteresował problem nacisku jaki wywiera i musi wywierać na tradycyjne postawy polityczne i ideologie współczesny podział świata na dwa systemy rządzenia, system demokratyczny i totalitarny. Wpływ toczącego się między nimi konfliktu na prądy ideologiczne jest niewątpliwy, chociaż nie jednoznaczny. Z jednej strony prowadzi on do zacierania się niektórych różnic, szczególnie na Zachodzie, z drugiej — różnice te uwydatnia, prowadząc do ostrych konfliktów właśnie ideologicznych w ramach jednego obozu (ten właśnie zasadniczy konflikt jest chyba jednym z powodów, a w każdym razie jest współczynnikiem, rozwijającego się policentryzmu w bloku wschodnim).

Książka podzielona jest na pięć głównych części, z których pierwsza ma charakter metodologiczny, druga ustala najogólniejszą platformę, na której rozgrywa się dramat współczesnych ideologii, podczas gdy dalsze dotyczą już samych ideologii.

Debata o ideologiach, o ich znaczeniu, charakterze, sile odpornej, atrakcyjności, o ich wyczerpywaniu się czy żywotności, przynależy właściwie do lat pięćdziesiątych. Wtedy to właśnie padły głosy ubolewające, że „nie ma już spraw, o które warto walczyć”, co spotkało się z bardziej wyrozumowanymi tezami o końcu wieku ideologii². Redaktor antologii wykorzystał ówczes-

2. Taki tytuł uzyskał w wydaniu „Kultury” polski przekład znanej książki Raymonda Arona *L'Opium des intellectuels*, wydany w 1956 roku.

ne polemiki na ten temat, zamieszczając w książce trzy pozycje będące częścią wielkiej dyskusji jaka toczyła się w amerykańskim czasopiśmie *Confluence* w 1953 roku, a którą zapoczątkował esej Raymonda Arona *The Diffusion of Ideologies*. Dyskusja ta ukazała wielką chłonność pojęcia ideologii i jego przydatność, niemniej nie doprowadziła do całkowicie jasnych konkluzji. Zaznaczył się w niej, obok motywów aktualnie politycznych (obawa przed naciskiem ideologicznym bloku wschodniego, i chęć przeciwstawienia mu własnej ideologii), pewien sceptycyzm, nieufność do odrywania się od bazy empirycznej, bez której słowa, sztucznie tworzone „mity” są oszukaństwem i muszą prędzej czy później ukazać swe rzeczywiste, zakłamane oblicze (co się zresztą w pewnym momencie w Europie Wschodniej stało). Wypracowano kryteria siły, trwałości ideologii, znajdując je zarówno w przedstawianiu ideologii do warunków obiektywnych, jak i przede wszystkim w ich wpływie na ludzkie umysły. Przeciwstawiono ideologiom wiarę, widząc w tej ostatniej zjawisko autentyczniejsze, głębiej sięgające w naturę ludzką. Wydobyto, prawem kontrastu, wartość zdrowego rozsądku. Chociaż więc problem pozostał nadal otwarty, postawiono go w sposób, który powinien był prowadzić do dalszych, istotnych debat. Jak się jednak zdaje debata, z paru wyjątkami, nie znalazła dotychczas dalszego rozwinięcia. Przypomnienie jej przez książkę Stankiewicza, wprowadzenie na nowo problemu ideologii na wokandę nauk politycznych, dzięki uczynieniu z niej centralnego zagadnienia antologii, być może przyczyni się do odżycia tego tematu. A w każdym razie stanowi dalszy, istotny krok na tej drodze.

Część druga książki, obejmująca trzy sekcje, dotyczy totalitaryzmu i demokracji. Zajmuje się więc definicją zasadniczych cech systemów totalitarnych, typami totalitarnych ideologii, analizą związków między totalitaryzmem i demokracją, a następnie samą demokracją, jej najistotniejszymi założeniami i cechami. W części tej na czołowe miejsce wybija się praca Hansa Kelsena, *Foundations of Democracy*, stanowiąca summę polityczną pojęcia demokracji. Analiza totalitaryzmu wyjęta jest z książki C.J. Friedricha i Z. Brzezińskiego, *Totalitarian Dictatorship and Autocracy* (1956), która zdobyła sobie pozycję klasyka w swoim zakresie. Inny autor polski Zbigniew Pełczyński z Oxfordu, zastanawia się nad użytecznością pojęcia demokracji totalitarnej, wprowadzonego w obieg w szeroko omawianej pracy J.L. Talmona, *The Origins of Totalitarian Democracy* (1954). Problemem o wielkim znaczeniu zajmuje się uczony padewski, Enrico Opocher, starając się odpowiedzieć na pytanie w jakich warunkach system demokratyczny może się przekształcić w swoją odwrotność, w system totalitarny. W pojęciu autora groźba ta jest zawarta immanentnie w samym mechanizmie systemu demokratycznego i wynika z zasady swobody myśli i wolnej gry czy to sił politycznych czy wartości. Ten podstawowy charakter demokracji może bowiem prowadzić do relatywizmu, utraty wiary w jednoznaczne wartości duchowe. Społeczeństwa formalnie demo-

kratyczne ale opanowane przez relatywizm stają się podatne na atrakcje totalitaryzmu, a więc paradoksalnie na odwrotność relatywizmu (system totalitarny może być bowiem cyniczny, ale nie może uznać relatywizmu). Opocher rozpatruje to zjawisko na trzech płaszczyznach, ideologicznej, instytucjonalnej i społecznej i dostrzega między nimi ściśle związki. Tak więc na płaszczyźnie ideologicznej relatywizm przeradza się w totalitarny dogmatyzm, miejsce wielu równouprawnionych ideologii zajmuje jedna ideologia, opinia wyniesiona zostaje na piedestał absolutnej prawdy. Instytucjonalnie zjawisko to przybiera postać rządów monopartii (partokracji), podczas gdy z punktu widzenia socjologicznego objawia się jako zastąpienie konfliktu politycznego konfliktem klasowym.

Teza Opochera ma pewien posmak paradoksu i ta jej właśnie paradoksalność powoduje, że staramy się doszukiwać także i innych przyczyn, a w każdym razie widzieć je w formie bardziej złożonej. Coś bowiem musi powodować dominację relatywizmu, redukcję systemu do jego strony czysto technicznej, do samego tylko mechanizmu. Poza tym pozostaje sprawą sporną, czy rzeczywiście relatywizm prowadzi do dogmatyzmu, lub, stosując to do jednostek, czy istotnie sceptyk mniej jest odporny na pokusy totalitarne niż człowiek wierzący lub pragnący wiary (z tym, że sceptycyzm to oczywiście nie to samo co indyferentyzm).

Teza Opochera, cokolwiek się o niej powie, jest niewątpliwie ciekawa i pobudzająca. Trudno też powstrzymać się od zacytowania jakże słusznej uwagi autora, że szczególnie „na płaszczyźnie społecznej demokracja ukazuje nam pełnię swej rewolucyjności: jest to bowiem jedyny system w którym klasy zapóźnione mogą rzeczywiście znaleźć wyraz (dla swych interesów) w nowoczesnym państwie”. Doskonałym podsumowaniem części poświęconej demokracji jest esej Richarda Wollheima.

Tak więc problematyka demokracji postawiona została w książce bardzo mocno. Byłoby dobrze, gdyby przynajmniej ta partia książki mogła się znaleźć w ręku polskiego czytelnika w kraju w tłumaczeniu na język polski.

Podobne zresztą życzenie nasuwa się przy czytaniu części trzeciej, która zajmuje się marksizmem, socjalizmem i komunizmem. Znowu dobór esejów jest bardziej niż frapujący. Szczególnie interesująca jest praca Daniela Bella dotycząca prób humanizacji marksizmu, a więc głównie problemu alienacji. Jej wartość polega m.in. na tym, że w sposób przekonujący ukazuje bezpodstawność przypisywania Marksowi zbyt wielkiej roli w sformułowaniu nowoczesnego pojęcia alienacji, a tym samym niesłuszność przypisywania mu nowoczesnej postawy humanistycznej, którą młody ideolog porzucił zanim zdążyła w nim w pełni zakiełkować. Drugi szczególnie zajmujący esej dowodzi nieoryginalności tzw. „maoizmu”, rozbijając mit o „twórczym rozwinięciu marksizmu” przez chińskiego przywódcę. Do opracowań interpretacyjnych należą przede wszystkim dwa eseje, L.G. Churchwarda o współczesnej sowieckiej teorii państwa (zagadnienie

z wielu punktów widzenia kluczowe) i F.W. Neala o jugosłowiańskiej odmianie komunizmu. Według Churchwarda, podstawowe definicje państwa zawarte w stalinizmie właściwie nie uległy zasadniczej zmianie, uzyskując co najwyżej nieznaczne złagodzenia i ważne zaokrąglenia w postaci zwrócenia uwagi na pomijaną dotychczas funkcję państwa jako strażnika praworządności (odzwierciadlona też została w pewnej mierze dążność do decentralizacji). Esej Neala mógłby służyć za wzorzec subtelności analitycznych. Autorowi udało się przeprowadzić szereg „cienkich” rozróżnień, które świetnie określają odrębności jugosłowiańskiego „narodowego socjalizmu”. Nad „czwartą fazą” ideologii komunistycznej zastanawia się Leopold Łabędź. Z punktu widzenia czytelnika zainteresowanego przyszłością polskiego komunizmu, trudno było chyba o dobranie lepszego eseju niż Zbigniewa Jordana *The Philosophical Background of Revisionism in Poland*, będącego angielską wersją ogłoszonego w „Kulturze” artykułu „Rewizjonizm polski” (170/171/172).

Jakie ideologie uznał autor za żywotne i odnowione w ramach systemu demokratycznego, a ściślej — niekomunistycznego? Znajdujemy tu zarówno omówienie niektórych współczesnych krytyków liberalizmu (jak Niebuhr, T.S. Eliot i krytycy-demokraci amerykańscy), jak i obronę i redefinicję liberalnej postawy (F.W. Coker, A.P. Grimes, E. Bieri); znajdujemy charakterystyczne rozważania na temat nowych dróg socjalizmu zachodniego (Sidney Hook) i rozchodzących się coraz bardziej dróg socjalizmu europejskiego i azjatyckiego (D.J. Saposs); mamy wreszcie uderzające zestawienie dwóch esejów na temat nowoczesnego konserwatyzmu, kwestii ideologicznego charakteru konserwatywnej postawy oraz pewnych trwałych wartości tego uparcie się odradzającego stanowiska (F.G. Wilson i S.P. Huntington). Stanowisko konserwatywne znalazło więc tutaj wyraz pogłębiony, ugruntowany filozoficznie i w tej formie wyodrębnione zostało z szeregu płaskich, „fałszywych” pojęć konserwatyzmu. Nie obeszło się też bez krytyki tzw. nowych konserwatystów amerykańskich, których działalność zaznaczyła się w latach pięćdziesiątych.

Może jednak najciekawszą pozycją tej części jest esej Gordona K. Lewisa, *Twentieth Century Capitalism and Socialism: The Present State of the Anglo-American Debate* (pisany w 1959 roku). W eseju tym autor poddał krytycznej analizie szeroką debatę jaka toczyła się w latach pięćdziesiątych, wokół podstawowych założeń zachodnioeuropejskich ideologii, ich aktualnej przydatności i zmian zachodzących pod naciskiem współczesnych problemów i wypadków. Znajdujemy więc w nim zarówno dociekliwą krytykę współczesnego kapitalizmu, a może raczej prób zrehabilitowania go na płaszczyźnie ideologicznej (jak np. A.A. Berlego), jak i niezbyt entuzjastyczną ocenę nowych prądów nurtujących lewicę brytyjską; znajdujemy szereg ostrych sformułowań na temat współczesnej kultury masowej, jak i ciekawe zastrzeżenia metodologiczne pod adresem tych, którzy się tą spra-

wą ostatnio zajmowali; wreszcie znajdujemy bezkompromisowe wypowiedzenie się za zaangażowaniem, za wyraźnym zajmowaniem stanowiska w naukach społecznych i politycznych oraz cierpką ocenę tendencji odwrotnych, behawiorystycznych. Esej Lewisa porusza się z zadziwiającą swobodą po ogromnym polu zagadnień i stanowi istotny wkład do „myślenia na przyszłość”

Ostatnia część książki, szczupła objętościowo, ale zawierająca trzy świetne eseje (W.G. Carletona, R. Emersona i M. Ginsberga), dotyczy nacjonalizmu. Pierwszy z nich omawia tzw. nowy nacjonalizm, koncentrując się głównie na problemie nacjonalizmów komunistycznych i częściowo azjatyckich (esej, pisany w 1950 roku, pomija nacjonalizm afrykański). Drugi omawia związki między nacjonalizmem i demokracją, związki bardzo skomplikowane, w których nacjonalizm raz okazywał się bliskim sojusznikiem demokracji, motorem jej rozkwitu, innym razem niestety jej zabójcą. Autor trzeciego eseju stara się zdefiniować trwałe zdobycze postawy nacjonalistycznej, do których zalicza prawo narodów do nie podlegania żadnej obcej dominacji, nacisk na wartość zróżnicowania kultur, oraz czynnik spójności społecznej i dynamizmu, koniecznych do walki wyzwoleniczej i utrwalenia bytu niezależnych, odrębnych jednostek narodowo-kulturalnych.

Książka zamyka postskrypt K.K. Krogha, *Needed: New Political Labels*. Tytuł jest nieco niepokojący, czyżby rzeczywiście chodziło tylko o nowe nalepki, nazwy? Autorowi chodzi jednak o coś bardziej innego, o pozbycie się stereotypowych ujęć, fałszujących rzeczywistość terminologii, wśród której na czołowe miejsce wysuwa się dychotomia lewicy-prawicy. Ponieważ nie da się utrzymać zasadniczego rozróżnienia między komunizmem i faszyzmem, gdyż oba są totalitarne, upada tym samym użyteczność dotychczasowego podziału. Co więcej zaślepienie pojęciem lewicy-prawicy doprowadziło w końcu — autor kreśli historię tego procesu — do zastąpienia pozytywnego pytania „Co jest postępowe?”, pytaniem negatywnym, pochodzącym z obawy, „Co jest skrajne?”. Jest to spostrzeżenie szczególnie wartościowe. Można by je też ująć inaczej. Jest prawdą, że ruch demokratyczny nie tylko rozbił się, ale i stracił wiarę w przyszłość, przerażony ekscesami totalitaryzmu, przeraził się samych zmian, i zamiast rzutować przed siebie, kręci się w miejscu, gdyż tarasują mu drogę dwa widma — prawicowego i lewicowego totalitaryzmu. Trudno byłoby wyliczyć, jak wielkie szkody wyrządziło postępowi, wierze w postęp, widmo czerwonej reakcji, straszliwa cenna jaką zapłaciła i płaci nadal Europa Wschodnia, a także i Azja za ekscesy swojej skrajnej „lewicy”. Były różne próby wyjścia z tego dylematu, jak np. walka Kołakowskiego o wartość pojęcia utopii, próba powrotu do stanowiska które określano mianem „wiecznej lewicy”. Ale próby te przytłacza nadal ciężki nastrój, który tak dobitnie wyraża się brakiem pozytywnych utopii. Jak zwrócono już uwagę, wszystkie utopie naszego wieku były negatywne, groziły i ostrzegały.

Jakie wyjście sugeruje autor eseju? Wydaje mu się, że współczesna myśl polityczna stoi na progu nowej syntezy, której poszczególne elementy zdobyte już zostały dzięki doświadczeniu ostatnich dekad. Esej pisany był, można dodać, pięć lat temu. Chciałoby się wierzyć autorowi na słowo, że współczesna myśl polityczna na Zachodzie rzeczywiście zdolna jest do uczynienia nowego kroku — w przyszłość. Poza straszliwe widma prawicowego i lewicowego totalitaryzmu.



Już sam dobór esejów tak pasjonujących, o tak bogatej treści i samo zestawienie ich w doskonale skomponowanej antologii³, wystarczyłoby dla autora mniej ambitnego niż Stankiewicz. Nie na tym kończy się jednak wkład redaktora książki. Poprzedził on poza tym krótkim wstępem nie tylko cały wybór, ale i każdą z poszczególnych części. Te krótkie, zwięzłe, bardzo treściwe przedśłowia, mają charakter przede wszystkim syntetyczny, porządkujący, momentami jednak również krytyczny. Do dziedziny porządkujących należy np. wnikliwy podział rewizjonizmów na rewizjonizm racji stanu (*power-revisionism*), którego najlepszym przykładem jest ideologiczny konflikt sowiecko-chiński (w rzeczywistości używający ideologicznej przykrywkę dla sporu dużo bardziej istotnego), rewizjonizm odwilżowy (*thaw-revisionism*), który ma przede wszystkim charakter ruchu intelektualnego i koncentruje się na kwestiach moralno-filozoficznych, oraz rewizjonizm oportunistyczny (*opportunist-revisionism*), którego najlepszym przykładem jest Jugosławia, gdzie odejście od marksizmu-leninizmu a przede wszystkim stalinizmu, wynikało z odmiennych warunków kraju.

Wkład krytyczny ma przede wszystkim charakter wskazywania na luki we współczesnych badaniach politycznych, na stracone możliwości, co z kolei wypływa, jak już wspomniano, z ostrego sprzeciwu autora na minimalizm i indyferentyzm naukowy i pseudo-naukowy. Może najwyraźniej wystąpiła ta postawa w wywiadzie udzielonym R.C. Cooke'owi dla czasopisma *Forum*, z którego najistotniejsze wydają się poniższe zdania:

„Bez szerokiego zrozumienia problemów światowych, nie może być zrozumienia dla problemów naszego społeczeństwa. Bez zrozumienia problemów naszego społeczeństwa nie może być zaangażowania po stronie tych wartości na których podobno nam zależy. Bez zaangażowania zaś nie może być skutecznej obrony demokracji i naszego „sposobu życia”.

Bogdan CZAYKOWSKI

3. W wywiadzie udzielonym niedawno kanadyjskiemu *Forum* na temat tej książki autor wyjaśnił tajemnicę jej kompozycji: „redaktorskie zadanie doboru artykułów jest jak dopasowanie części jakiejś wymyślonej struktury — książki którą by się samemu chciało napisać”.

Krotochwilna egzegeza

W przeciwieństwie do Anglików i innych narodów protestanckich my Polacy nie jesteśmy gorliwymi czytelnikami Pisma świętego, a już zwłaszcza — Starego Testamentu. Toteż gdy Polak weźmie się do tej lektury, najdziwniejsze z tego mogą wynikać rzeczy.

Taką niespodziankę sprawił nam już dość dawno beniaminek polskiej filozofii, profesor Leszek Kołakowski ogłaszając w 1957 r. cykl feletonów osnutych na Biblii. Felietony te — drukowane, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, w „Po prostu” — wyszły dopiero teraz, latem ubiegłego roku, w niewielkiej książeczce pod barokowo-ironicznym tytułem: „Klucz niebieski albo opowieści budujące z historii świętej zaczerpnięte ku pouczeniu i przestrodze**”.

Na przedziwny księgozbiór, który nazywamy Biblią, można patrzeć pod różnymi kątami widzenia i najrozmaiciej go interpretować. Widzieć w nim bezcenne źródło do historii starożytnej a nawet prehistorii, wielką poezję, kolosalny pomnik pierwotnej literatury i filozofii, wspaniały dokument jednostkowych i społecznych przeżyć religijnych, zbiór mitów i baśni lub — wreszcie — pismo święte, natchnione, objawienie.

Wszystkie te punkty widzenia są do przyjęcia także dla niewierzącego badacza. Może on negować obiektywną podstawę przeżyć religijnych, ale nie sam fakt takich przeżyć. Może odrzucać objawienie, ale nie historyczno-psychologiczny fakt, że miliony ludzi przez tysiąclecia uważały pewne księgi za „święte”, podyktowane przez siłę wyższą.

Żaden poważny już nie badacz, ale po prostu czytelnik Biblii nie może prześlepić tego, że niemal wszystko w niej ma „podwójne dno”. Że są to historie wieloznaczne, symboliczne, że niemal wszędzie za ich sensem prostym, naskórkowym kryje się inny, głębszy. Teologowie chrześcijańscy w Starym Testamencie dopatrują się przede wszystkim zapowiedzi, „figur”, jak to nazywają, Nowego Testamentu. Niemniej rozpowszechniona i starożytna jest również interpretacja mistyczna. Przykładem jej są niezliczone traktaty o „Pieśni nad Pieśniami” — ten utwór na pozór zmysłowo-erotyczny obrazuje również inny romans, nadzmysłowy: duszy ludzkiej z Bogiem.

„Pieśni nad Pieśniami” Kołakowski nie tyka, ale zajmuje się pewnym epizodem biblijnym, którego tłumaczenie mistyczne jest — a w każdym razie powinno być — dobrze znane. Mam na myśli ofiarę, jaką Abraham był gotów złożyć z syna Izaaka. Kołakowski wyjątkowo porzuca tu na chwilę swoją dowcipnie udawaną naiwność i wspomina o egzystencjalistycznej interpretacji; według niej — cytuję — „Abraham występuje jako uosobienie trwogi ludzkiej wobec sytuacji, w której istnieje przymus wyboru między wielkimi wartościami i brak racji zewnętrznych dla jego

*) Leszek Kołakowski. *Klucz niebieski albo Opowieści budujące z historii świętej zebrane ku pouczeniu i przestrodze*. Ilustrował i obwolutę projektował Aleksander Stefanowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1964; str. 103 i 3 nl.

dokonania". Interpretacja na pewno godna uwagi, ale nie jedna z głębszych. Godziło się tu bodaj słówkiem wspomnieć o dwu innych: teologicznej, według której ofiara Abrahama jest figurą ofiary Chrystusa, i mistycznej, według której jest to obrazowe przedstawienie doniosłej prawdy życia wewnętrznego: że nie należy się przywiązywać nawet do własnych wyrzeczeń, poświęceń i ofiar, że ich także trzeba się wyrzec, gdy Bóg tego zażąda.

Nawet katolik może Biblię zaliczyć do tych dzieł, które, jak Iliada lub Mahabarata są zbiorem mitów, o ile właściwie określimy sobie wyraz „mit”. Mit jest przedstawieniem jakiejś doniosłej prawdy: religijnej, filozoficznej, etycznej, psychologicznej, historiozoficznej — w obrazowej i pamiętnej formie *wydarzenia*, rzeczywistego lub zmyślnego. Naiwnością jest sądzić, jakoby starożytni Grecy byli tak prymitywni, że wierzyli w dosłowny sens swoich wdzięcznych bajek o bogach i herosach. Waga i niesamowita żywotność tych mitów wynika właśnie z tego, że są mitami w określonym przed chwilą rozumieniu. Niezależnie od rzeczywistego, historycznego podłoża — Syzyfowe prace, koń trojański, pięta Achillesowa, nić Ariadny i tysiące innych mitologicznych szczegółów, to są symbole, skróty ważnych pojęć i podejść do zagadnienia jednostkowej i zbiorowej doli człowieczej. Dlatego właśnie stały się przysłowiowe. Przez tysiąclecia po dziś dzień kształtują sposób myślenia i odczuwania ludzi naszej cywilizacji.

Jeszcze większe, a już na pewno nie mniejsze znaczenie mają „mity” biblijne. Wolno je interpretować nie tylko religijnie, choć w tym ich główny sens. Księga Rodzaju zawiera szereg szczegółów symbolicznych, które dziwnie się godzą z naukowymi dociekaniem kosmologów czy biologów. Mit o Kainie-rolniku i Abłu-pasterzu jest dla historiozofa współczesnego odbiciem starcia cywilizacji rolniczej z pasterską. Bój Dawida z Goliatem, to walka dwu technik wojennych — jeśli wierzyć Toynbee'emu. Dla psychologów Biblia jest istną kopalnią wzorców i prawd psychologicznych — *vide np.* książka Junga o Hiobie. A czyż nie najlepszym przykładem piętna, jakie Biblia wycisnęła na naszej cywilizacji, nie jest nawet... marksizm, ze swoimi prorocत्वami, ze swoim rajem na ziemi, ze swoim ludem wybranym w postaci „proletariatu”, ze swoim „grzechem pierworodnym” w postaci „alienacji”, ze swoją koncepcją wyzwolenia i zbawienia?

Wszystkie te arcyciekawe zagadnienia związane z Biblią, a przeze mnie zaledwie muśnięte, nie obchodzą, niestety, zupełnie Kołakowskiego w jego książeczce. Ograniczył się on do powierzchownej, naskórkowej treści wybranych epizodów biblijnych. Historię świętą rozmięknął na historyjki. Opowiada je zabawnie, z trochę staroświeckim wdziękiem w stylu Anatola France'a. Tu i ówdzie coś dla kawału dofantazjował, tu i ówdzie pozwolił sobie na kpinki. Czy to razi lub gorszy? Mnie nie. Zwłaszcza że Kołakowski taktownie zatrzymuje się na progu Nowego Testamentu, nie wychodząc poza Jana Chrzciciela. „Obrazy boskiej” w tym żadnej nie widzę. Literatura ma prawo robić różnoraki użytek z motywów biblijnych, podobnie jak z klasycznych motywów mitologicznych. Przed laty Chormański napisał zręczne, choć bardzo płytkie opowiadanie o Hiobie, przedstawiając go jako — oszusta ubezpieczeniowego, który po to ściągnął na siebie wszelkie możliwe nieszczęścia, by za nie dostać odszkodowanie. Ta zabawna bzdura była drukowana w odcinkach w bogobojnym „Czasie” i nikt się nią nie zgorszył. Podobnie „Piękna Helena” Offenbacha nie gor-

szy miłośników Homera. „Klucz niebieski” Kołakowskiego ma się do Biblii niemal tak jak ta operetka do Iliady.

Biblia nie jest bowiem tematem „Klucza” — jest tylko pretekstem, rusztowaniem literackim, na którym Kołakowski rozwiesił własne refleksje o naturze ludzkiej i doli człowieczej. Boga w tej książeczynie nie ma, występujący tam Jehowa jest też człowiekiem, pewnym typem człowieka, a mianowicie — dyktatorem. Refleksje Kołakowskiego są sceptyczne, smutne, gorzkawe, ironiczne, niezbyt przy tym oryginalne, gdy mowa ogólnie o ułomnościach natury ludzkiej i okrucieństwie stosunków między ludźmi. Ożywiają się i nabierają smaku, gdy potrącają o problemy z tego klimatu politycznego, w którym autorowi wypadło żyć. Oto kilka z tych myśli, które odnoszą się do postaci i doktryn o wiele, wiele nam bliższych niż biblijne:

„Wykonawca, który pyta o rację otrzymywanych zleceń jest siewcą nieporządku i demaskuje się jako bezpłodny rezoner, pyszałkowaty mędrek, w istocie rzeczy wróg systemu”.

„Przeszłość można zmieniać — wystarczy zmienić świadomość przeszłości, a przeszłość również ulegnie zmianie”. To zdanie pochodzi z historii o Ezawie i Jakubie, a nie — jakby można sądzić — z instrukcji dla historiografów w bloku socjalistycznym!

„Doktryna (jest) taką ogólną zasadą, z której nie wynika konkretnie, bo każdy ją interpretuje na swój sposób”.

Refleksje tego rodzaju — a jest ich dużo więcej — stanowią największą zaletę wdzięcznej, choć dość błażej książeczki Kołakowskiego. Wyszła ona w nakładzie dziesięciu tysięcy egzemplarzy. Oby znalazła tylu wyrobionych czytelników, którzy w szyfrze pseudo-biblijnym potrafią wyczytać, co autor miał naprawdę do powiedzenia! Bo w rękę czytelnika mniej rozgarniętego „Klucz niebieski” może być narzędziem do ośmieszania religii. Na pewno nie było to intencją autora. Co do wydawcy — nie mam już pewności. Takie to są ryzyka i zasadzki wolnomysłicielstwa w kraju, gdzie nie ma wolności myśli i swobody dyskusji.

Michał CHMIELOWIEC

Nadeślane nowości wydawnicze

ŁOBODOWSKI (Józef). *Czerwona wiosna*. Powieść. Str. 319 i 1 nlb. Okładka i rysunki w tekście Janiny Chrzanowskiej. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn. 1965).

CZAPSCY (Józef i Maria). *Dwugłos wspomnień*. Str. 160. Okładka St. Gliwa, rysunki w tekście J. Czap-ski. Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1965).

MOSTWIN (Danuta). *Asteroidy*. Str. 240. Okładka i rysunki w tekście Ireny Ludwig. (Nakł. Polskiej

Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1965).

BALIŃSKI (Stanisław). *Talizmany i wróżby*. Nowele. Str. 155 i 5 nlb. Okładka i rysunki w tekście Danuty Laskowskiej. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn 1965).

TROŚCIANKO (Wiktor). *Nike i Skarabeusz*. Str. 316 i 4 nlb. Okładka i rysunki w tekście Tadeusza Orłowicza. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1965).

Dylematy Gospodarki Polskiej. Konferencja ekonomiczna w sprawach krajowych w dniach 5-7 czerwca 1964 w Londynie. Str. 271 i 1 nlb. Z angielskim streszczeniem, indeksem rzeczowym i nazwisk oraz listą uczestników konferencji. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1965).

JENNE (Józef). *Aspazja, on i ja.* Str. 126 i 2 nlb. Okładka Zuli Machnowskiej. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1964).

KĘDZIERSKI (J.Z.). *Jednorożec musi żyć i Kot w kalesonach oraz inne opowiadania, opisy, nowele i eseseje.* Przedmowa Zygmunta Nowakowskiego. Str. 463 i 7 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1965).

The Israel Year Book 1965. Str. 383. (Wyd. Israel Year Book Publ. Ltd. In cooperation with the Economic Department of the Jewish Agency).

Sprawozdanie Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego za okres od dnia 27 sierpnia 1954 roku do dnia 8 maja 1964 roku. Przemówienie Adama Ciołkosza. Str. 25 i 1 nlb. (Nakł. Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, Londyn).

KSIĄŻKI UKRAIŃSKIE

OSTRUK (Jarosława). *Rodina Gol-diw.* Powist. Str. 120. (Buenos Aires, 1964).

CZERNECKYJ (Antin). *Spomyny z moho žyttia.* Str. 142. (Wyd. „Nasze Słowo”, Londyn, 1964).

ANDIEWSKA (Emma). *Perwni.* Str. 34. (Wyd. „Suczastnist”, Monachium, 1964).

ONACKYJ (Jewhen). *Po pochylij płoszczi.* Zapysky żurnalista i dyplomata. Cz. 1. Str. 152. (Wyd. „Dniprowa Chwyla”, Monachium, 1964).

Wojennyje Prestuplenija Habsburgskoj Monarchii. 1914-1917 gg. Gałyckaja Gołgofa. Str. 158-48. (Iz-

MILLER (Peggy). *A Wife for the Pretender.* Str. 167 i 1 nlb. (Wyd. George Allen & Unwin Ltd., London, 1965, cena 30 sh.).

ANDRZEYEVSKI (George). *He Cometh Leaping Upon the Mountains.* Przeł. z polskiego Celina Wieniewska. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. Weidenfeld and Nicolson, Londyn, 1965), cena 21 sh.).

CHABROWSKI (Wacław T.). *Lyrical and Descriptive Poems.* Przeł. Jadwiga Zwolska Sell. Poezje. Str. 8. (Odbitka z The Polish Review, Vol. IX, No 4, 1964, New York).

STURTEVANT (Donald S.). *Peter Neagoë. An essay and Some Bibliographical Notes.* Str. 75 i 5 nlb. (Wyd. Syracuse University Library, Syracuse, N.Y., 1964).

Poland. An exhibition mainly of Printed Books. Katalog. Str. 11. Varsityper. (Wyd. National Library of Scotland, 1965, cena 3 sh.).

JUDEK (Stanisław, Ph.D., Prof. of Economics, Univ. of Ottawa). *Medical Manpower in Canada.* Str. XX plus 413. (Wyd. Queens Printer, Ottawa, 1964).

daniel Peter S. Hardy, USA, 1964).

CZECZKO (Andrij). *Zapysky slidczoho.* Str. 127 (Biblioteka MY I SWYT, Toronto, 1964).

WOŁODYMYR. *Słowo zołotoji dijademy.* Str. 22. (Orden, Londyn, 1963).

WOŁODYMER. *Balada lisowoho szumu.* Str. 32. (Orden, Londyn, 1963).

WOŁODYMYR. *Swiaszczenyj heroizm.* Str. 32. (Orden, Londyn, 1964).

SZEWCZENKO Taras. *Tryzna.* Perekład Wołodymyr. Str. 24. (Orden, Londyn, 1963).

Humor krajowy

PYTANIA I ODPOWIEDZI

Pytanie: — Czy komunizm się rozwija?

Odpowiedź: — Naturalnie: dotąd był jeden a teraz są już dwa!



Pytanie: — Dlaczego polska droga do socjalizmu jest tak trudna?

Odpowiedź: — Bo wiedzie z Motyką przez Moczary.



Pytanie: — Kto zdobył pierwszą nagrodę na światowym konkursie fotografiki?

Odpowiedź: — Breżniew — za zdjęcie Chruszczowa.



O ZWIERZĘTACH

Zwierzęta w krajach komunistycznych postanowiły wzorem ludzi założyć własny *Komekon* czyli Radę Współpracy Gospodarczej.

Na pierwszym ogólnym posiedzeniu dyskutowano sprawę budowy mostu na rzece. Wniosek poddano pod głosowanie. Pierwszy zabrał głos słoń i powiedział, że owszem, zgadza się, ale most musi być tak szeroki aby dwa stada słońi, biegnące w przeciwnych kierunkach, mogły się na nim pomieścić. Zakwestionował to kangur twierdząc, że taki most to wyrzucanie pieniędzy: wystarczy postawić na wodzie pale; po nich łatwo będzie przeskoczyć na drugą stronę. Małpa dodała że to też przesada — wystarczy dwa pale na dwóch brzegach rzeki i przeciągnięty sznur po którym można się przesunąć. Przysłuchujący się naradom sęp pokiwał głową i powiedział że to wszystko nie ma sensu, że żaden most nikomu nie jest potrzebny, bo przez rzekę i tak można przelecieć. Każdy bronił swojego punktu widzenia. Dyskusja była coraz gwałtowniejsza. Przerwał ją niedźwiedź i oświadczył: kłótnia jest nie na temat. To że most ma być wybudowany zostało już zdecydowane odgórnie. My mamy się tylko naradzić, nad tym czy ma być on przerzucony w poprzek czy wzdłuż rzeki...



Z Warszawy donoszą, że w związku z mającym nastąpić przesunięciem pomnika Księcia Józefa Poniatowskiego przed Prezydium Rady Ministrów nastąpiły pewne komplikacje. Mianowicie prawie wszyscy wyrazili na to zgodę: Gomułka się zgodził, Cyrankiewicz się zgodził, nawet Książę Józef się zgodził, ale zaprotestował koń... nie chce stać tyłem do złobu!

Zebrała: Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Johannesburg, 5 kwietnia 65.

Drogi Redaktorze,

Tych kilka artykułów omawiających w ostatnim numerze „Kultury” sprawy polskie jest, moim skromnym zdaniem, klinicznym przykładem urazu, na jaki cierpią emigracyjni (i polscy, *ad usum exilium*, piszący) autorzy, gdy pióro ich sięga do tematów krajowych. Podobnego urazu ofiarami zbyt często są niedobre stadła małżeńskie, u których nieubłagana krytyka i interpretacja najniewinniejszego poczynania partnera jako z podszeptu diabelskiego zastępuje rozumowanie.

Na przykład, jeśli chodzi o personalia.: Konia z rżędem temu, co w całej prasie emigracyjnej na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia znalazłby dobre słówko na temat urzędującego dygnitarza. Natomiast, gdy taki wyleci z posady, dowiadujemy się że był rozsądny, umiarkowany, że był rewizjonistą, że przygotował paździenik i tp. Wydaje się, że jedyną kwalifikacją na pozytywną ocenę w oczach emigracji jest fakt wylecenia z urzędu.

Wracając jednak do klinicznych artykułów, pozwolę sobie, drogi Redaktorze zrobić krótki przegląd poruszonych w nich zagadnień.

Sprawa Wańkowicza. Cała ta afera (nie pomniejszając w niczym jej słuszenie napiętnowanej obrzydliwości) jest dowodem zupełnego rozkładu ideologii. Rząd zdaje się nie mieć ani sił, ani odwagi wyciągnięcia konsekwencji ze swoich zamordystycznych przekonań i arcyważną sprawę odwołania się pisarza do opinii publicznej rozwiązuje w stylu opery buffo.

Czyż was to nie cieszy panowie autorzy? Czyż za Bieruta taka historia byłaby do pomyślenia? No więc, jeśli nie, to pochwalcie Gomułkę za jego kurtuazję w stosunku do Wańkowicza, i za to, że z własnych sędziów wałów zrobił, i za to wreszcie, że wielu pisarzy w wyniku tej komedii otworzyło zapewne szuflady, odczytuje rękopisy i zastanawia się czy już nie nadszedł czas na „wychylenie się”.

Sprawa odbudowy rzemiosła: Prasa krajowa szeroko omawia to zagadnienie, krytykując, omal że w tych samych słowach co nasi autorzy, dotychczasowe, doktrynalne podejście Rządu. Czyż nie czas, wobec tego powiedzieć naszym „podłączonym braciom”: *Well done, mieux vaut tard, que jamais.* Czyż nie czas zrozumieć w końcu tę prostą prawdę historyczną, że ideologii przedstawiającej olbrzymi immobilizm konserwatyzmu nie należy zwalczać przeciwną ideologią, ale że można wpływać na jej erozję wykazując jak narastające fakty przestają do niej pasować. Faktów więc nam potrzeba, i raz jeszcze faktów na podbudowanie istniejącego krytycyzmu prasy krajowej, na oświetlenie tych zagadnień, o których nie może ona pisać. A nie zawodzeń, że i tak wszystko beznadziejne, bo niedobrzy komuniści i td.

Brakoróbstwo i przekupstwo. Autorzy (i ja z nimi), rozdierają szaty nad tym zjawiskiem, ale nie umieją czy nie chcą dać nam analizy tego problemu. Dlaczego występuje nieuczciwość jako zjawisko nagminne w Polsce, dlaczego w niektórych krajach europejskich po naszej stronie

kurтины „domiary” i przekupstwo są podobną, (choć może nie tak powszechną) klęską społeczną. A przecież, gdyby autorów stać było na obiektywną ocenę, doszliby zapewne do wniosku, raczej oczywistego, że oszukiwanie państwa jest normalną samo-obroną społeczeństwa w wypadku gdy ocenia ono iż wartość świadczonych przez nie usług przewyższa wynagrodzenie jakie za te usługi pobiera. Aby więc temu zaradzić należałoby ten dystans w ocenie opinii wyrównać podwyższając generalnie płace. Ale skąd wziąć na to pieniądze?

Jestem przekonany, że analiza jakiegoś wybitnego ekonomisty, przyjmująca stan ekonomii polskiej jako warunek wyjściowy, mogłaby wykazać, że takie podwyższenie płac będzie w takim a takim roku wykonalne. Chętnie przeczytałbym na łamach „Kultury” taką właśnie analizę. Ale sprzeciwiam się potępianiu wszystkiego w czambuł gdyż wiem, że gdybym był uczciwym pracownikiem na niwie ekonomicznej w kraju (a przecież tacy są) i miał ambicje uzdrowienia mentalnego moich przełożonych, to by szlag mnie trafiał gdybym w artykule przemycanej „Kultury” nie znalazł pozytywnej recepty jak się do tego zabrać.

Budownictwo mieszkaniowe. Autorzy wydają się gorzko żałować dobrych czasów „minionego okresu” gdy państwo nie dopuszczało do kapitalizacji wewnętrznej. Cała prasa krajowa namiętnie dyskutuje plan państwowy na odcinku budownictwa mieszkaniowego domagając się odstąpienia od sztywnych norm metrażu i przywrócenia elastyczności w budowaniu mieszkań przystosowanych do indywidualnych potrzeb spółdzielcy.

Więc zdecydujemy się, czy chwalimy zamordyzm, czy liberalizację. *You can't have it both ways.* W obecnej chwili spółdzielcy latami czekają na zrealizowanie budowy; czyż przyspieszenie przez państwo tempa tego budownictwa jest aż tak wielkim złem?

Sednem sprawy jest, że artykuły polemiczne poruszające zagadnienie tak złożone jak budownictwo mieszkaniowe, nigdzie dotąd (poza Niemcami) nie rozwiązane, wymagają poziomu co najmniej równego poziomowi prasy krajowej.

Gospodarka monetarna: Jeden z autorów martwi się, że „postponuje się” własny pieniądz i „żebrze o walutę kapitalistyczną”, na dowód czego przytacza fakt, że „niektóre wódki sprzedaje się w Warszawie za dolary”. A drugi krytykuje politykę inwestycyjną Rządu starającą się rozbudować eksport na Zachód przetworów produktów rolnych. Chciałoby się spytać obu autorów: A panowie jakby to robili? Może by panowie wprowadzili wolny kurs złotego na rynku międzynarodowym by uniknąć wrażeń „postponowania” waluty? A dla podtrzymania wolnego kursu złotego i zapewnienia sobie w tym celu wystarczającego zapasu dewiz eksportowalibyście na Zachód samochody i telewizory (owinięte uprzednio w banknot studolarywy). Po czym konserwy z gruszek samibyscie zjedli?

Otóż panowie autorzy — wolnego. Dewizy zachodnie niezbędne rozbudowie kraju Polska zdobywać może właśnie za pomocą forsownego eksportu gruszek w kompocie i peklowanych szynek, i najsłuszniejsza jest zasada, że państwo rozbudowuje przetwórczość produktów rolnych. Bo tradycja tego przemysłu sięga, jak wiadomo, Rzepichy, podczas gdy produkcja samochodów i telewizorów jest w porównaniu do Zachodu, w powijkach. Co dobre dla Mongoli Zewnętrznej i Turcji (taksówki marki „Warszawa” kursują po Stambule), to nie od razu zachwyci panią Jones. Na to, by przemysłowiec z Detroit, zamiast Porsche'a kupić Syrenę, trzeba jeszcze nieco poczekać. Jak dobrze będziecie radzić „podłączonym Braciom” to może synowie nasi takie transakcje podpiszą. Ale to chyba już nie za naszego życia. Więc tymczasem gruszki, marmelady, jamy i inne grzyby w śmiętanie. A te pryncypia i złote zasady uzdrowienia gospodarczego kraju w stylu „dobrobyt kraju uzależniony jest od szybkości obrotów gospodarczych”

schowajmy do szuflady pod etykietką *conventional wisdom* i nie częstujmy nimi kraju, gdyż to nie wspólnego nie ma z problemami z którymi się kraj boryka.

Jedyny optymistyczny, ale chyba niezmierzony akcent wypływa z analizy jednego z autorów który twierdzi na jednej stronie, że inteligencja jest w Polsce klasą uprzywilejowaną, a na następnej, zapewne zapomniawszy o tej konstatacji, że i chłopci są klasą uprzywilejowaną. Czyli, że w sumie jakieś 75% statystycznego Polaka należy do benjaminków reżymu. Gdybyśmy na serio przyjęli wywody autora to nie powinno nam zostać nic innego do zrobienia jak spakować manatki i czym prędzej do kraju wracać, oczywiście o ile należymy do jednej z wymienionych klas.

Reasumując mój przydług list pragnąłbym Redaktora namówić by zmobilizował kilku ekonomistów (nie ze szkoły Keynes'a, bo ten już może nie wydoli, ale raczej któregoś z tych złordziałych Węgrów) najchętniej młodych, nie zarażonych kompleksem zdradzonego kochanka i dał nam surową, ale obiektywną krytykę poczynąń krajowej ekonomii i jej perspektyw. Taką, żeby różne dygnitarze popukały się w łysę przeważnie czaszki i powiedziały sobie: „A nuż oni mają rację”. Tak, jak nieraz sobie zapewne w zaciszu gabinetów myślą czytając Mieroszewskiego.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i uścisk dłoni

W. LEDOCHOWSKI



Melbourne, dnia 31. marca 1965

Szanowny Panie Redaktorze!

Po przeczytaniu artykułu Z. Jasińskiego pt. „CIEŃ FRANKOWSKIEGO W AUSTRALII” (Kultura Nr 11/205 — 1964) oraz odpowiedzi na ten artykuł, udzielonej przez Prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii (Kultura 3/209), podpisanej przez gen. J. Kleeberga, prezesa Rady Naczelnej i B. Kowalskiego sekretarza, prosimy o zamieszczenie poniższego oświadczenia.

Zajmując stanowisko na temat obu wypowiedzi, chcielibyśmy uniknąć jakiegokolwiek aspektów personalnych, natomiast chodzi nam o sprawę merytoryczną a mianowicie:

Czy przedstawiciele Prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii brali udział w rozmowach z wysłannikiem Polskiej Republiki Ludowej d-r'em Frankowskim, czy też spotkań takich nie było?

Z. Jasiński twierdzi, że spotkanie takie miało miejsce, natomiast gen. Kleeberg i p. B. Kowalski w imieniu Prezydium Rady Naczelnej, zaprzeczają temu.

Rada Organizacji Polskich w Stanie Wiktorii, jako członek Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, wysłała swoich delegatów na X-ty Zjazd Delegatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, który obradował w listopadzie 1962 r. w Ashfield — Sydney.

Na Zjeździe tym była również dyskutowana sprawa d-ra Frankowskiego, posła na sejm Polskiej Republiki Ludowej, który wizytował ośrodki polonijne w Australii.

W czasie trwania debaty na X-tym Zjeździe Delegatów Rady Naczel-

nej, jeden z przedstawicieli Polskiej Macierzy Szkolnej, mec. Iwczenko, skonfrontował prezesa Rady Naczelnej i innych działaczy Prezydium Rady, oświadczając, że tu w tym Domu Polskim w Ashfield, w jego (mec. Iwczenko) obecności, przyjmowano d-ra Frankowskiego. Nikt z wymienionych przez mec. Iwczenko faktów tego nie zaprzeczył.

Z. Jasiński, autor artykułu „Cień Frankowskiego w Australii”, był również obecny na tym Zjeździe.

Będąc w posiadaniu protokołu z X-go Zjazdu Delegatów Rady Naczelnej, poniżej dosłownie przytaczamy niektóre punkty, dotyczące sprawy Frankowskiego i jego spotkań z przedstawicielami Prezydium Rady Naczelnej.

Str. 8, p. 8 ad 8 — „H. Dutkiewicz (jeden z niżej podpisanych przyp. własny) kończąc swe przemówienie, zażądał wyjaśnienia w sprawie rozmów z posłem Frankowskim, zarzucając Radzie Naczelnej brak sprężystego, męskiego załatwienia sprawy. Złożył zastrzeżenie co do metod i środków w przeprowadzaniu spraw przez Radę Nacelną”.

W części tegoż protokołu X-go Zjazdu, która dotyczy udzielenia odpowiedzi, czytamy:

Str. 10 p. 2 „P. Karwicki (redaktor Wiadomości Polskich) oświadcza: „Celowo przemilczano pewne wydarzenia środowiska Polonii, jak np. rozmowa z p. Frankowskim, gdyż ogłoszenie tego mogłoby wprowadzić wiele zamieszania, a przez to spełnić zadanie reżymu komunistycznego”.

Do protokołu również dołączone jest sprawozdanie prezesa Rady Naczelnej gen. J. Kleeberga (załącznik 4, str. 32 p. 7) w którym gen. Kleeberg, w części dotyczącej sprawy d-ra Frankowskiego, podaje między innymi: „Prezydium Rady Naczelnej przyjęło do wiadomości sprawozdanie Prezesa i Vice-Prezesów z rozmów, odbytych z posłem na Sejm dr. Frankowskim i uznaje wynik tych rozmów za pożyteczny dla zrozumienia istotnych celów przyjazdu do Australii dr. Frankowskiego”.

Dla nas, jako delegatów na X-ty Zjazd, nie ulega wątpliwości, że spotkanie pomiędzy przedstawicielami Prezydium Rady Naczelnej a d-rem Frankowskim, posłem reżymowym, miało miejsce.

Fakt ten potwierdza brak zaprzeczenia ze strony Prezydium na oświadczenie mec. Iwczenko, wypowiedziane na X-tym Zjeździe, jak również wyżej przytoczone punkty wyjęte z protokołu X-ego Zjazdu Delegatów.

Nam bowiem nie chodzi o formę w jakiej Z. Jasiński czy Iwańczak podali do wiadomości o odbytych rozmowach, natomiast interesował i stale interesuje nas fakt, czy rozmowy te miały miejsce czy też nie. Nie ma wątpliwości, że spotkanie takie odbyło się.

Z. Jasińskiemu należy się uznanie, że nie zawahał się sprawę tę poruszyć na łamach „Kultury”.

Jasiński nie skłamał.

Nie należy być zaskoczonym, że obecny ustrój polityczny Polski Ludowej dążyć będzie do osiągnięcia wpływów na stosunkowo młodą polską Emigrację w Australii, stosując różne środki i metody.

Spraw tych nie należy ukrywać, jak usiłowali uczynić to niektórzy członkowie Prezydium Rady Naczelnej, jakoby wychodząc z założenia, że podanie do publicznej wiadomości rozmów z d-rem Frankowskim, odnieś się skutek niepożądany.

Przesyłamy wyrazy poważania.

Rada Organizacji Polskich w Stanie Victoria

Za Prezydium:

G. Cieśniewski
sekretarz

H. Dutkiewicz
przewodniczący

Bordeaux, dnia 7 kwietnia 1965.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym zeszyte „Kultury” p. Mieroszewski tak streszcza opinię londyńskiej Pandory o Pańskim miesięczniku: „w sumie jesteśmy sukur-santami propagandy sowieckiej, którzy spełniają amerykańskie zamówienia społeczne”.

Dawno nie czytałem Pandory, ale muszę powiedzieć, że zrobiła postępy, jeżeli rzeczywiście tak myśli, jak pisze p. Mieroszewski. Widocznie została zdjeta z amerykańskiego garnuszka, skoro może sobie pozwolić na myślenie prawdy. A może po prostu przejęła się opinią Mao-Tse tunga, który w lipcu ub.r. powiedział: „świat składa się odtąd z dwóch obozów: jeden, to obóz imperialistyczny, w którego skład wchodzi Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki; drugi obóz, to cała reszta świata, nie wyłączając Francji, Niemiec, Chin itd.” Z czego jasno wynika, że kto robi politykę amerykańską, robi i sowiecką, a kto chce być antysowiecki, musi być i antyamerykański. I na odwrót, oczywiście.

Zapewne, to dziś już są banały, ale Polacy tak późno akceptują banały, że każdy Polak, spóźniony tylko o kilka miesięcy, zasługuje raczej na uznanie.

Odkądże to jednak nazywanie rzeczy po imieniu jest „gonieniem w piętkę”, jak sądzi p. Mieroszewski?

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Jan ULATOWSKI



Londyn, 6 kwietnia 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze (4/210) „Kultury” znalazł się mój przekład „Batrachomyomachii”. Sposób wydrukowania jego tytułu mógł wprowadzić w błąd czytelników. Utwór ten przypisywano dawniej Homerowi i dlatego nazwałem nieznanego autora „Pseudo-Homerem”. Grecki tytuł przełożyłem wyrazami: „Bój żabomysi”. Tymczasem zamiast Pseudo-Homera wyszedł w druku „Pseudo Homer” (bez łącznika), co nie jest zrozumiałe; co gorsza zaś, tytuł wydrukowano małą literą i w tym samym wierszu z autorem (Pseudo Homera bój żabomysi), co wygląda na to, że ów autor toczył jakiś bój nazwany z niewiadomych powodów żabomysim.

Ten sam błąd znajduje się w spisie rzeczy na początku numeru.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Ignacy WIENIEWSKI

© Copyright by Institut Littéraire, 1965.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e trimestre 1965

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prénumérata	
		1/2-roczn	Roczn
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leihbibliothek, godz. 19-21)		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZILIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 6335, Sao Paulo, Tél.: 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tél.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiaskowiec », 1475 Queen St., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta pocz. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30.00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer, Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Marnil-la-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CX

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

WOJNA I SEZON

„Wojna i sezon” jest dalszym ciągiem „Dzieciństwa i młodości Tadeusza Irteńskiego” — powieści, która w latach 1959-1960 była czymś w rodzaju best-sellera emigracyjnego. Tamta „powieść” zamknęła się dniem 1 sierpnia 1914, ta — obejmuje okres od początku pierwszej wojny do dnia 18 września 1939 roku. Obie książki mają charakter gawędy. Jest jednak między nimi zasadnicza różnica. O ile „Dzieciństwo i młodość” obraca się przede wszystkim dokoła przeżyć *Tadzia*, o tyle „Wojna i sezon” jest „małą historią” małych i wielkich zdarzeń widzianych oczami i z podwórka *Tadeusza*. Postać „bohatera” schodzi przy tym na dalszy plan. Chwilami autor zdaje się zupełnie zapominać o jego istnieniu. Lata pierwszej wojny i rewolucji rosyjskiej przechodzą w „sezon” czyli okres „pieredyszki” w całej niemal Europie między dwiema wojnami.

Str. 308

Cena egz. 15 F (22/6; \$ 3,25)



TOM CXI

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

INNY ŚWIAT

• Książka Gustawa Herlinga-Grudzińskiego o łagrach sowieckich *Inny Świat* ukazała się w przekładzie na angielski (dwa wydania w Anglii, wydanie normalne i kieszonkowe w USA), niemiecki, hiszpański, włoski (drugie wydanie włoskie w przygotowaniu), szwedzki, japoński, chiński i arabski. Pierwsze wydanie polskie z roku 1953 zostało wyczerpane.

Str. 256

Cena egz. 13.50 F (20/-; \$ 3.00)